

**JOANNA M.
CHMIELEWSKA**

Mąż zastępczy



**JOANNA M.
CHMIELEWSKA**

Mąż zastępczy



*Jurkowi
mojemu Mężowi (nie zastępczemu bynajmniej)
z podziękowaniem za anielską cierpliwość
w rozjaśnianiu zawilości technicznych*

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję:

Piotrowi Jasiczakowi – człowiekowi wielu talentów (doktor filozofii, wykładowca akademicki, sportowiec, majsterkowicz, twórca marki Mąż na Godziny) za inspirującą rozmowę i podzielenie się odczuciami, refleksjami i doświadczeniami z działalności Męża na Godziny,

Jurkowi – mojemu mężowi najprawowitszemu od lat 25 z okładem, który był pierwszym czytelnikiem i recenzentem książki, za wyszukiwanie technicznych porównań dla wyrażenia przeżyć męża zastępczego oraz anielską cierpliwość w rozjaśnianiu zawiłości technicznych,

Aldonie Żyjewskiej za towarzyszenie mi przy pisaniu książki, pomysły i zdjęcie na okładkę,

Teresie Gumińskiej – za porady prawne i wiertarkę, jako atrybut prawdziwego mężczyzny,

Przemkowi Żuchowskiemu za porady z zakresu ratownictwa medycznego,

Reni Bodnar za konsultacje psychologiczne,

moim córkom – Julce i Oli za postać Tosi,

Agnieszce i Michałowi Ostrowskim, Beacie Sowie, Danusi Szauer, Ani Kosmendzie, Uli i Kornelii Serewis, Dance Schmeling, Markowi Sawickiemu – za wsparcie i pomysły, które wykorzystałam w książce.

Joanna M. Chmielewska

ROZDZIAŁ 1

– Kurrr... – Piotr nie dokończył. To słowo, które większości ludzi dawno już spowszedniało, jemu nie mogło przejść przez gardło. Odepchnął książkę. W tej też nie znalazł niczego sensownego. Niczego, co pozwoliłoby mu zrozumieć.

„W inkryminowanych predyspozycjach cerebralnych kryją się nieraz eufemistyczne namiastki kompleksów psychicznych, ekwiwalenty fantasmagorycznych efemeryd sensualnej ambiwalencji”^[1] – ni z tego, ni z owego przyszło mu do głowy zdanie zasłyszane od Izki kiedyś w podstawówce. Tata Izki wyczytał je w jakiejś książce Dołęgi-Mostowicza, a Piotrek, zafascynowany tym nagromadzeniem niezrozumiałych słów, nauczył się go wtedy na pamięć. Mniej więcej takim żargonem psychologicznym pisana była książka, którą właśnie odłożył. Ostatnia z wypożyczonego jakiś czas temu stosu. Może gdyby poprosił bibliotekarkę o pomoc, znalazłaby mu coś lepszego. Ale wstydził się, bo przecież pani Ania знаła jego upodobania czytelnicze. Wiedziała, że lubi sensację i thrillery medyczne. Co miał jej powiedzieć? Że tym razem potrzebuje poradnika, jak zrozumieć kobiety? Nie chciał, żeby zaczęła snuć jakieś domysły. Z działu psychologii wybrał cztery popularne poradniki i tę książkę, którą rzucił przed chwilą. No i co z tego, że je przejrzał? Teraz miał jeszcze większy mętlik w głowie. Zdecydowanie wolał już *Poradnik tokarza*. Tam przynajmniej były konkrety. Proste zdania mówiły, co zrobić, żeby osiągnąć pożądany efekt. Żeby uzyskać gładką powierzchnię, wałek na tokarce musiał obracać się z dużą prędkością przy małym posuwie noża tokarskiego, żeby wywiercić mały otwór, wiertło musiało mieć duże obroty – w obróbce skrawaniem prawidłowości były jasne, a wynik przewidywalny. W psychologii nie. Dobór odpowiednich środków wcale nie gwarantował oczekiwanego rezultatu, a zmiennych było zbyt wiele, żeby relacje między ludźmi ująć w jakieś sensowne wzory. A do tego wszystkiego jeszcze jakieś niedookreślone pojęcia worki, w które można wrzucić wszystko: subiektywny bilans emocjonalny związku, ambiwalentne pragnienia, emocjonalne niespełnienie.

Piotr gubił się w tym wszystkim.

Miał już dosyć pogrążania się w przeszłości i grzebania we własnych uczuciach, bo im bardziej się w to zagłębiał, tym było gorzej – tak jakby walcząc z pleśnią, popełnił błąd i zamiast środków grzybobójczych zastosował preparaty sprzyjające jej rozwojowi. Rozrastała się więc, a on nie potrafił się jej pozbyć.

Walnął pięścią w kant stołu. Z całych sił. Tak żeby poczuć ból. Stojący na blacie kieliszek odpowiedział żalonym brzęknięciem. I znów zapadła cisza. Głucha. Nabrzmiała nieobecnością. Niemal nie do zniesienia.

A jednak Piotr ją znosił.

Codziennie masochistycznie pogrążał się w ciszy, nie mogąc zdobyć się na to, żeby ją przerwać. Z pozoru niby nic trudnego. Wystarczyło wstać z krzesła, sięgnąć po jeden z pilotów i nacisnąć guzik. Karolina miała zwyczaj rozrzucania pilotów po całym mieszkaniu, lecz tym razem zostawiła je ułożone równo na szafce.

Leżały tam nietknięte od dziewięćdziesięciu dwóch dni.

I od dziewięćdziesięciu dwóch dni Piotr, wchodząc do pokoju, szukał ich wzrokiem z irracjonalną nadzieją, że zmieniły swoje położenie. Ale jedyną zmianą, jaką dostrzegał, była narastająca powoli, lecz nieubłagane warstwa kurzu. Po odejściu żony ani razu nie włączył telewizora, radia czy odtwarzacza. Zresztą przedtem też rzadko to robił. Częściej wyłączał sprzęt, jeśli Karolina, wychodząc z domu, o tym zapominała.

To dzięki niej dom był pełen dźwięków. W pokoju grał telewizor, w kuchni radio,

a Karolina, krzątając się po domu, coś sobie podśpiewywała, rozmawiała przez telefon albo opowiadała Piotrowi, co jej się przydarzyło. Lubił jej słuchać. A właściwie lubił na nią patrzeć, gdy mówiła. Robiła to z takim przejęciem. Potrafiła zachwycać się książką, filmem, czwórką z chemii syna znajomych, który przychodził do niej na korepetycje, odkryciem naukowym, o którym usłyszała w telewizji, kilogramami straconymi przez odchudzającą się koleżankę, ładną pogodą i osiągnięciami sąsiada, który zajął pięćdziesiąte szóste miejsce w biegu na sto kilometrów.

Przypomniało mu się, jak kiedyś po pokazie jakiegoś sprzętu kuchennego chyba przez godzinę opowiadała o cudach, jakie można z pomocą tego urządzenia przygotować. Piotr z natury nie był podejrzliwy, ale jej zaangażowanie i rumieńce na policzkach spowodowały, że spytał, kto prowadził ten pokaz. Jego obawy okazały się bezpodstawne. Wcale nie chodziło o faceta. Za to później, kiedy naprawdę miałby powody do zazdrości, nie wykazał się czujnością. Zresztą czy to by coś zmieniło? Nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Podobnie jak i na wiele innych dotyczących Karoliny.

Nie miał pojęcia, dlaczego właściwie go pokochała. I nie miał pojęcia, dlaczego przestała go kochać. Czy stało się to nagle pod wpływem oczarowania, czy też on był ślepy i nie zauważył zapowiedzi zbliżającej się katastrofy?

W życiu Piotra niewiele było pewników. Karolina była jednym z nich. Pewnie, że raz układało się między nimi lepiej, raz gorzej, jak to w małżeństwie, ale Piotrowi nigdy nie przyszło do głowy, że mógłby zdradzić żonę i nigdy też nie przyszło mu do głowy, że ona mogłaby to zrobić.

Tamtego dnia świeciło słońce, ptaki śpiewały jak szalone, w powietrzu nareszcie czuć było wiosnę, a ludzie spragnieni ciepła po długiej zimie tłumnie wylegli na ulicę. W taki dzień grzechem było siedzieć w murach, więc Piotr dwoił się i troił, żeby skończyć pracę wcześniej niż zwykle. Zamarzyło mu się, żeby zabrać żonę na wycieczkę rowerową. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pojechali gdzieś razem rowerami. To musiało być jakieś trzy... nie... chyba jednak cztery lata temu. A przecież dawniej...

Ruszył energicznym krokiem do domu, zadowolony, że spędzą razem czas. Miał nadzieję, że Karolinę ucieszy jego pomysł.

Już w korytarzu poczuł, że coś jest nie tak.

Była w domu.

Jej buty stały tuż przy drzwiach, jakby gdzieś się spieszyły, tuż obok nich czerwona torebka. A przecież Karolina nigdy nie stawiała torebki na podłodze. Żartowała, że to dlatego, by pieniądze z niej nie uciekły. „Przesąd nie przesąd – mówiła – ale lepiej nie ryzykować”.

Piotr odruchowo podniósł torebkę, postawił na szafce i poprawił zsuwający się z wieszaka płaszcz żony. Zaniepokoiły go dźwięki dochodzące z pokoju; jakieś szuranie, trzaskanie zamykanych szafek, słyszał je wyraźnie, bo wyjątkowo Karolina nie włączyła ani telewizora, ani radia.

Przecisnęła się przez uchylone drzwi, które tarasowała wypchana walizka. Na jego widok Karolina upuściła tekturową teczkę, którą właśnie wyjęła z szuflady. Dokumenty rozsypały się po podłodze.

– Wyjeżdżasz? – spytał zdziwiony, bo nic mu wcześniej o żadnym wyjeździe nie wspominała.

– Miałaś wrócić później!

– Miałem, ale pogoda taka, że szkoda siedzieć w domu. Chciałem cię zabrać na rower. Pamiętasz, kiedy ostatnio byliśmy na rowerach? – Piotr mówił szybko, słowami próbując przywrócić zwyczajność. – Moglibyśmy pojechać na Owcze Górki albo do tego zajazdu pod

lasem, zapomniałem, jak on się nazywa.

Karolina, nie patrząc na niego, nerwowo zgarniała porozrzucane papiery. Milczała.

– Jak nie chcesz rowerem, to możemy się wybrać samochodem. Pochodzimy sobie po lesie.

Wciąż nie odzywała się.

– Co się stało? – spytał bezradnie.

– Odchodzę. – Nie patrzyła mu w oczy.

– Co powiedziałaś?!

– Odchodzę.

Nie wierzył. To nie mogła być prawda. Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś wytłumaczenia. I nagle go olśniło. Wybuchnął histerycznym śmiechem. Śmiał się, śmiał i nie mógł przestać.

– Czemu się śmiejesz? – spytała zaskoczona jego reakcją.

Nie odpowiedział. Nie mógł. Łzy leciały mu z oczu, mięśnie policzków bolały, ale nie potrafił się uspokoić.

– Przestań! Zwariowałaś?! – krzyknęła Karolina.

Udało mu się opanować tylko na moment i zaraz znowu zaczął się śmiać. Właściwie powinien być na nią zły, bo przecież są jakieś granice żartu, lecz uczucie ogromnej ulgi nie pozwalało mu się złościć.

– Ależ ci się udało! – wykrztusił wreszcie między napadami śmiechu.

– O czym ty mówisz? – Patrzyła na niego jak na wariata.

– Prima aprilis! Zupełnie zapomniałem. Nie wiedziałem, że z ciebie taka aktorka!

Nie uśmiechnęła się. Kartki, które trzymała w rękach, drżały.

– Odchodzę – powtórzyła.

Śmiech ucichł jak ucięty nożem.

Piotr nie był w stanie wykrztusić słowa. Miał wrażenie, że ogląda scenę z filmu, a jednocześnie sam gra w tym filmie, tylko że nikt mu nie wyjaśnił, na czym polega jego rola. Widział swoją żonę składającą papiery, robiła to z wyjątkową dokładnością. Inaczej niż zwykle. Przecież Karolina zawsze była roztrzepana. Wiecznie coś jej ginęło – rachunki, dokumenty – znajdowała je potem w różnych dziwnych miejscach, albo nie znajdowała wcale. To on w końcu posegregował i powkładał do teczek te papiery, które Karolina teraz rozdzielała na dwa stopy. Jedne schowała do walizki, inne odłożyła do szuflady. Potem podeszła do wiszącego na ścianie obrazu. Musiała wspiąć się na palce, żeby go dosięgnąć. Abstrakcja, której sensu nie potrafił pojąć. Kolorowe mazaje przypominały płataninę kabli, to coś niebieskie w prawym górnym rogu mogło być pinezką, ale reszta z niczym mu się nie kojarzyła. Karolina kupiła ten obraz jakiś miesiąc po ślubie. Pamiętał, że nie mogła zdecydować się, gdzie go powiesić. A gdy w końcu nowy nabytek zawisł na gwoździu wbitym przez Piotra w ścianę, kochali się na dywanie pod tym obrazem. Potem leżeli nasyceni miłością, Karolina wpatrywała się w obraz, a Piotr próbował zobaczyć go jej oczami, odkryć w nim to coś, co ją zachwyciło. Nie umiał. Nie potrafił tego dostrzec, choć bardzo się starał. Karolina powiedziała mu wtedy, że sztuki nie pojmuje się rozumem, lecz sercem.

Nie rozumem, lecz sercem...

Te słowa przypominały mu się czasami, kiedy usiłował ją zrozumieć – na przykład, gdy Karolina miała do niego jakieś pretensje i wydawało mu się, że mówi o rozwodzie, a jej chodziło jedynie o romantyczną kolację, gdy usiłował pojąć, jak można jednocześnie obierać ziemniaki, mieszać sos, rozmawiać przez telefon i nie pogubić się w tym wszystkim, albo jak można ciągle coś tłuc, strącać i czegoś szukać, przecież wystarczy skoncentrować się na jednej czynności

i wtedy wszystko jest pod kontrolą. Albo gdy Karolina nagle ni z tego, ni z owego zaczynała płakać, a na pytanie, co się stało, odpowiadała, że właściwie nic, ale czasami tak jej się nabiera i wtedy po prostu musi się wypłakać. Parzył jej wtedy herbatę i podawał pudełko chusteczek.

Ale ani rozum, ani serce nie podpowiedziały mu, co zrobić, żeby Karolina z powrotem włożyła dokumenty do szuflady, powiesiła obraz na ścianie i żeby wszystko było jak dawniej. Albo nie jak dawniej, niechby nawet było inaczej, byle razem.

Próbował ją zatrzymać, ale oświadczyła, że ma już trzydzieści dziewięć lat i to ostatni dzwonek, żeby coś w życiu zmienić, że gdyby nie spróbowała, żałowałaby do końca życia, długo się wahała, ale teraz już się nie cofnie, bo między nimi wszystko się wypaliło, a ona znowu się zakochała, nie planowała tego, nie spodziewała się, ale stało się, dostała prezent od losu...

Gdy to mówiła, miała w oczach coś takiego, że Piotrowi przypomniały się nagle ich pierwsze randki, ukradkowe pocałunki, głośne bicie jej serca, gdy po raz pierwszy nieporadnie rozpiął jej bluzkę, zatęsknił nagle za tym wszystkim, ale nie umiał znaleźć słów, które by ją zatrzymały. Nigdy nie umiał znaleźć odpowiednich słów...

Czy tamten je znalazł?

Ten nędzny wypłosz, inżynierek w okularkach, który nawet worka cementu nie potrafił udźwignąć. Falszywy drań. „Jesteś moim najlepszym pracownikiem, wiem, że ludzi dopilnujesz, roboty nie spieprzysz i uczciwie się rozliczysz” – powiedział, wysyłając Piotra z brygadą na budowę pod Hamburg, a potem do Essen. A on, głupi, był dumny, że szef mu ufa i dobrze płaci. Przez ponad rok był jedynie gościem w swoim domu. Przywoził Karolinie perfumy i słodycze, kupił nowy telewizor, odnowili mieszkanie i nie musieli liczyć się już z wydatkami jak dawniej. Kiedy przyjeżdżał, żona przygotowywała jakieś wymyślne potrawy, a on nie mówił, że wolałby zwykłego schabowego i dzielnie przełykał krewetki, które stawały mu w gardle. Piotrowi wydawało się, że wszystko jest w porządku. Że Karolina jest zadowolona, bo nareszcie mieli trochę finansowego luzu. Kupiła sobie kilka nowych ubrań. I jakoś tak młodziej wyglądała, myślał, że to po tej serii zabiegów u kosmetyczki, a że kochać się już nie chciała... Powiedziała, że bierze lekarstwa, takie tam sprawy ginekologiczne. Zapytał tylko, czy to nic poważnego, a gdy uspokoiła go, nie dopytywał się więcej. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mogłaby mieć inny powód. Taki był naiwny.

Nie miał pojęcia, jak długo go oszukiwała. I być może ciągnęłaby to dalej, gdyby nie fakt, że na początku marca przyjechał do domu na dłużej. Następna robota za granicą szykowała się dopiero za dwa miesiące, a do tego czasu szef zatrudnił brygadę Piotra na miejscu. Robili wykończeniówkę w galerii handlowej.

Piotr cieszył się, że nareszcie pobędzie trochę w domu, ale Karolina długo nie wytrzymała tej sytuacji.

Rzuciła go po trzech tygodniach. On tego samego dnia rzucił robotę.

Od tego czasu trzy razy podejmował pracę. Oczywiście w budowlance, na tym przecież znał się jak mało kto.

Pierwszą robotę zostawił po tym, gdy szef próbował oszukać go przy wypłacie, drugą, bo traktowali go jak chłopca na posyłki, a trzecią, bo nie mógł dłużej znosić partactwa, patrzeć na marnowanie materiałów ani udawać, że nie widzi worków kleju pakowanych do bagażnika Zygmunta i wypchanej wkretami torby Mariana.

– Bierz – Marian podsunął mu raz garść wkretów – zawsze się przydadzą. A może co innego ci trzeba, to weź se, tylko nie za dużo, żeby Profesorek nie zobaczył.

– Nie chcę.

– A co ty, kurwa, taki święty? – oburzył się Marian. – Jakiś gratis nam się chyba za robotę należy!

Piotr nie mógł milczeć, widząc to wszystko, nie mógł też patrzeć w oczy Profesorkowi, który na budowlanca się nie znał i na życzenie fachowców posłusznie zakupił rurki miedziane w ilości wystarczającej na instalacje wodne w dwóch takich mieszkaniach jak jego, a farby tyle, że trzy duże pokoje, a nie dwa malutkie dałoby się pomalować.

– Kurwa, zielona! Moja stara chciała żółtą, ale ma za darmochę, to niech się nie czepia – mruknął Marian, chowając dwa wiaderka farby do samochodu, ale gdy do trzeciego dołał wody, tego już było dla Piotra za dużo, szczególnie że Profesorek, kiedy wypłacał im tygodniówkę, powiedział:

– Panowie, ja się zupełnie na tym nie znam, ale ufam, że robicie jak dla siebie.

– Jasne, szefie – odpowiedział Marian – rodzonej mamusi lepiej bym nie zrobił.

Piotr dokończył swoją robotę i oznajmił, że więcej nie przyjdzie, niech szukają kogoś innego. Potem zadzwonił do Profesorka i poradził, żeby ludziom na ręce patrzył, a najlepiej gdyby miał jakiegoś znajomego, co na remontach się zna i mógłby ich sprawdzać, jak robią.

Teraz nie pracował już dwa tygodnie. Niby to niedużo, ale Piotrowi wydawało się, że minęły wieki. W robocie nie miał czasu na rozpamiętywanie. Tynkował, przecierał, szlifował, kleił, malował, próbując myśleć tylko o tym, żeby zrobić dobrze i równo, a najbardziej lubił te prace, które wymagały planowania. Wtedy w jego głowie nie było już miejsca na Karolinę. Pracował do późnych godzin, wieczorem wracał wykończony, padał na łóżko i zasypiał niemal od razu. Ale gdy całymi dniami nie miał konkretnego zajęcia, ciągle o niej myślał.

Pewnie, że i w domu robotę jakąś mógłby sobie znaleźć, na przykład uszczelkę w kranie przydałoby się wymienić albo silikon przy wannie nowy położyć.

Ale po co? Dla kogo?

Bez Karoliny dom nie był prawdziwym domem. Jakby nagle zabrakło mu duszy.

Dziś po raz pierwszy zobaczył ich razem. Z daleka. Na ulicy. Trzymali się za ręce jak nastolatki. Wypłosz coś mówił, Karolina się śmiała. Na szczęście byli zbyt zajęci sobą, żeby go zauważyć. Karolina szepnęła Wypłoszowi coś na ucho, a on ją pocałował. Potem wsiedli do samochodu. Piotr stał jak wmurowany, dopóki jakaś kobieta nie ofuknęła go, że tarasuje drogę.

To było kilka godzin temu, ale do tej pory nie potrafił wyrzucić z głowy obrazu swojej żony szepczącej słodkie słówka innemu facetowi. Sięgnął po butelkę z wódką. Napełnił kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Skrzywił się. Zakaszłał. Nie czekał długo – swędzące czerwone plamy na twarzy i szyi pojawiły się jak zwykle po kilku minutach.

Jej to podobno nie przeszkadzało.

– Uczulenie na alkohol? I to u faceta? Nie, to się w głowie nie mieści! – podśmiewała się trochę już wstawiona Gośka. To było na ich weselu. Piotr nie odezwał się wtedy – czekał na reakcję swojej dopiero co poślubionej żony. Nie mógł sobie teraz przypomnieć jej słów, ale stanęła po jego stronie i powiedziała coś takiego, że Gośce w pięty poszło.

Wypłosz (Piotr nie potrafił już myśleć o nim po imieniu) nie miał uczulenia. W każdym razie nie na alkohol. Mocnej głowy też nie miał, ale pił. A przecież w ich fachu okazje do picia zdarzały się ciągle. To fundamenty trzeba było oblać, to znowu strop, wiechę obowiązkowo, podłogi, żeby się nie rozeschły, kafelki, żeby nie odpadały, rozpoczęcie roboty, zakończenie roboty, a jak już żadnego powodu nie dało się znaleźć, to piło się bez okazji i już. Piło się często i dużo. Piotr musiał się tłumaczyć. O uczuleniu na alkohol mało kto słyszał, jedni nie dowierzali, myśląc, że to wymówka, że pić z nimi nie chce, bo taki ważniak, drudzy spoglądali na niego z litością, a jeszcze inni nawet nie próbowali ukryć pogardliwego uśmiechu. Przecież prawdziwy facet powinien pić i umieć rzucić mocnym słowem. Dać w mordę, kiedy trzeba. Posadzić drzewo, zbudować dom i spłodzić syna.

Drzewo Piotr chciał posadzić zaraz po ślubie. Na pamiątkę. Ale Karolina się nie zgodziła,

bo – „jeżeli uschnie, to będzie zły znak, daj sobie spokój”. Domu też nie chciała – „dla nas dwojga nie warto”.

W tym „dla nas dwojga” Piotr wyczuwał wyrzut, choć to przecież nie on był winien, że nie mieli dzieci, ona zresztą też nie, niby badania lekarskie wykazywały, że wszystko jest z nimi w porządku, ale co z tego, kiedy dziecka jak nie było, tak nie było.

Wypłósł miał dzieci. Dwie córki. Piotr pamiętał, jak kilka lat temu, gdy matka dziewczynek wyjechała do sanatorium, ojciec przyprowadził je na budowę i na przerwie śniadaniowej zrobił im kanapki. Krzywo ukrojone, złożone pajdy były tak grube, że dzieci ledwie mogły je ugryźć, ale ta młodsza, śliczna blondyneczka o niebieskich oczach, powiedziała: „Tato, twoje kanapki są najlepsze na świecie. Gdybyś mieszkał z nami...” i rozplakała się nagle. Starsza przytuliła ją wtedy, a Wypłósł nie wiedział, co zrobić.

Piotr nie chciał myśleć o Wypłószu, o dzieciach, których nie miał i które mieli inni, o Karolinie, o robocie, nie zamierzał wcale robić życiowego bilansu, bo jasno i niezbitcie z niego wynikało, że jest nieudacznikiem i zwyczajnym dupkiem.

Wstał, gwałtownie odsuwając krzesło. Żeby nie ugrzęznąć w myślowym szambie, musiał natychmiast zająć się czymś konkretnym. Butelka do barku. Kieliszek umyć. Zepsuta uszczelka. Klucz dziewiętnastka. Zakręcić zawór, odkręcić nakrętkę przy kranie, zdjąć wylewkę, wymienić uszczelkę, przykręcić wylewkę, odkręcić zawór. Sprawdzić. Seria dobrze znanych czynności. Przewidywalny efekt. Satysfakcja. Właściwie mógł to zrobić już wcześniej. Karolina kilka razy prosiła go, żeby naprawił kran. Ale Piotr nie lubił, kiedy jej oczekiwania zmieniały jego plany. Taka uszczelka to niby drobna rzecz, lecz chciał zrobić to sam z siebie, a nie wtedy, kiedy ona mu przypominała. Tylko że... nie zdążył.

Zły na siebie, że znowu o niej myśli, zabrał się do porządkowania w szafce z narzędziami. Wrzucił do pudełka wkrętaki i kończył właśnie segregowanie porozrzucanych śrubek i gwoździ, gdy nagle zadzwonił dzwonek. Zanim Piotr zdążył dojść do drzwi, zniecierpliwiony dzwonek odezwał się po raz drugi.

– Och, już bałam się, że pana nie ma w domu! Niech mnie pan ratuje, panie Piotrusiu! – Zawsze elegancka pani Augustyna tym razem miała na sobie szlafrok i turban z ręcznika na głowie.

– Źle się pani czuje?

– Ja? Nie! Toaleta! Całkiem mi się zapchała! Przepraszam za mój strój. – Starsza pani zarumieniła się, przytrzymując rozchylające się poły szlafroka. – Próbowałam przepchać szczotką, „kreta” wlałam i tak to zostawiłam. Ale jak wypuszczałam wodę z wanny, to zaczęło wylewać się z muszli! Całe szczęście, że byłam w łazience. Zatkaną wannę i od razu wytarłam podłogę. Mam nadzieję, że nie zalałam sąsiadów! Pomoże mi pan, panie Piotrusiu?

– Za moment będę u pani, tylko spiralę z piwnicy wezmę.

– Uff! To ja już idę i czekam na pana.

Piotr wcale nie był zaskoczony, że pani Augustyna zwróciła się właśnie do niego. Sąsiedzi z kamienicy często prosili go o pomoc. Jeśli ktoś niespodziewanie potrzebował gwoździ, wkrętów, nietypowych kluczy, uszczelk, rozpuszczalnika, pierwsze kroki zazwyczaj kierował do niego i dalej już nie musiał szukać. A ileż to razy Piotr woził bliźniaki Brygidy z trzeciego piętra do lekarza. Brygida samochód miała, ale prawa jazdy już nie, a jej męża marynarza prawie nigdy w domu nie było, za to bliźniakom co rusz coś się przytrafiało – a to ręka złamana, to znowu noga skręcona, rozcięta głowa, fasola w nosie czy też gorączka, której nie dało się zbić. Kamili z oficyny Piotr naprawił kiedyś pralkę, innym razem skręcił meble, a jak wyjechała, to karmił jej kota i kwiaty podlewał. Te sąsiedzkie prośby czasami bywały nieco kłopotliwe, ale Piotr nigdy nie odmawiał pomocy.

Szybko wbiegł po schodach na drugie piętro, gdzie mieszkała pani Augustyna.

Kiedy otworzyła mu drzwi, zauważył, że zdążyła zmienić szlafrok na spódnicę i bluzkę oraz wysuszyć włosy. Wyglądała teraz nobliwie jak zawsze. Tylko rumieńce zdradzały, że jest podenerwowana.

– No, niech pan sam zobaczy, panie Piotrusiu, co to się stało! Trochę mi głupio, że ja pana do takiej brudnej roboty proszę. Gdyby tak mój Stasiu żył... – Westchnęła głęboko, prowadząc Piotra do łazienki. – Och, samotnej kobiecie czasami trudno sobie ze wszystkim poradzić. Ale kiedy ma się dobrych sąsiadów, to zawsze lżej. No, to ja już panu nie przeszkadzam. A jak coś będzie potrzeba, to proszę mówić. – Wycofała się do kuchni, zostawiając go samego.

Piotr rozwinął spiralę, a ponieważ w starej instalacji kanalizacyjnej nie było otworu rewizyjnego, wsunął ją do muszli i zaczął kręcić. Złapał się na tym, że dostosowuje ruchy do rytmu muzyki płynącej z radia. Ogólnie rzecz biorąc, przepychanie rur nie było miłym zajęciem, ale dzisiaj mu to nie przeszkadzało. Nareszcie był komuś potrzebny. Robił coś pożytecznego i wiedział, że robi to dobrze.

– Przypominam, że rozmawiamy dzisiaj o nietypowych profesjach – odezwała się prowadząca program. – Czekamy na państwa telefony i maile. Właśnie zadzwoniła do nas pani Alina, która ostatnio skorzystała z usług męża do wynajęcia. Dzień dobry, pani Alino.

– Dzień dobry.

Piotr nastawił ucha.

– Nasi słuchacze pewnie są zaciekawieni i spodziewają się jakiejś pikantnej historii. No cóż... Pani Alino, proszę nam zdradzić, jak doszło do tego, że postanowiła pani wynająć męża i czym właściwie taki mąż do wynajęcia się zajmuje?

– Zaczęło się od zepsutej lampy w łazience, która raz świeciła, a raz nie, a ja bałam się ją włączać, żeby mnie prąd nie poraził. Zadzwoniłam do elektryka, ale ten powiedział, że takimi drobiaz-gami się nie zajmuje. I wtedy sobie przypomniałam, że czytałam kiedyś artykuł o mężu do wynajęcia. To po prostu fachowiec od drobnych napraw, przysłowiowa „złota rączka”. W internecie znalazłam numer telefonu, no i umówiłam się.

– I mąż poradził sobie z lampą?

– Poradził sobie, i to nie tylko z lampą, bo przy okazji poprosiłam go o zawieszenie suszarki łazienkowej. Ten pan wszystko wykonał błyskawicznie, na dodatek posprzątał po sobie, a przy tym był bardzo sympatyczny, więc umówiłam się z nim jeszcze na malowanie kuchni.

– Dziękuję, pani Alino. Myślę, że niejednej z nas przydałby się taki mąż i od razu przychodzi mi do głowy kilka rzeczy, z którymi sama bym sobie nie poradziła. Na przykład skręcanie mebli. Znam kobiety, które doskonale radzą sobie z takimi zadaniami, moja koleżanka nie tylko meble skręca, ale dom i dwie łódki zbudowała i u niej mąż do wynajęcia pewnie roboty by nie znalazł, ale ja zmys-łu technicznego nie mam, więc u mnie miałby co robić. I u wielu moich znajomych również. A wśród klientek pewnie znalazłyby się nie tylko kobiety samotne, ale również niejedna mężatka, która miesiącami nie może się doprosić, żeby mąż wbił kilka gwoździ w ścianę. O, mamy kolejny telefon.

– Dzień dobry. Uważam, że mąż do wynajęcia to rewelacyjny pomysł! Koniecznie muszę znaleźć kogoś takiego. Chociaż my z koleżanką znalazłyśmy trochę inną metodę. Po prostu wymienialiśmy się mężami. Tylko do prac domowych oczywiście. Bo ja to mogłam mojemu sto razy powtarzać, żeby coś naprawił, ale jak Kasia spojrzała na niego sarnim wzrokiem i zapytała: „Andrzeju, a czy ja mogłabym mieć do ciebie taką maleńką prośbę? Okap kupiłam do kuchni i trzeba go zamontować, a Darek jakoś się do tego nie zabiera, wiesz, on chyba nie bardzo wie, jak to zrobić i głupio mu się przyznać, nie każdy jest taką złotą rączką jak ty. Mogę na ciebie

liczyć?” – to przecież nie mógł jej odmówić. A ja z kolei prosiłam Darka, żeby mi kran w łazience wymienił, bo ten mój Andrzej chyba nie bardzo wie, jak to zrobić, a nie każda ma takie szczęście jak Kasia, która trafiła na męża złotą rączkę. I sprawa była załatwiona. Albo zajął się tym mąż koleżanki, albo własny mąż unosił się honorem i brał do roboty, w każdym razie problem techniczny był rozwiązany.

– Panie Piotrusiu kochany, jak pan skończy, zapraszam na szarlotkę. Dzisiaj piekłam. – Głos pani Augustyny zagłuszył radio. – O, widzę, że już pan sobie poradził! Co ja bym bez pana zrobiła?

Starsza pani patrzyła na niego jak na cudotwórcę, w radiu leciała piosenka *We are the champions*, woda spływała w głąb rur, unosząc fekalia oraz resztki papieru toaletowego, a Piotr poczuł, jakby równocześnie coś nagle odetkało się w jego mózgu i cały ten szlam, który tak długo zapychał mu głowę, spłynął do kanalizacji.

– *We are the champions...* -- zanucił, myjąc ręce i jednocześnie układając w myślach plan działania.

Wyprostował zgarbione plecy i odetchnął głęboko. Był gotów.

ROZDZIAŁ 2

Świtało już, gdy drukarka wypuła ostatnią kartkę. Piotr wstał od komputera. Miał za sobą pracowitą noc. Ale właściwie wcale nie był tak bardzo zmęczony, tylko oczy piekły od wielogodzinnego wpatrywania się w ekran i plecy trochę bolały. Przeciągnął się i ziewnął. Może i całkiem miło byłoby teraz wyciągnąć się na łóżku, lecz czuł, że emocje nie pozwoliłyby mu zasnąć, postanowił więc doprowadzić rzecz do końca. Zanim ulice wypełnią się spieszącymi do pracy ludźmi, zdąży jeszcze porozwieszać ulotki.

Przypadkiem usłyszana audycja radiowa była dla niego objawieniem.

Mąż do wynajęcia! Aż trudno uwierzyć, że mógłby robić to, co lubi i na czym się zna, a na dodatek dostawać za to pieniądze. Pracować na własny rachunek, bez sterczącego za plecami szefa. Nie wstydzić się za cudze niedoróbki. Nie dzielić z nikim odpowiedzialności, satysfakcji i pieniędzy. „Jeśli zmienisz pasję w pracę, całe życie będziesz miał wakacje” – przypomniała mu się zasłyszana kiedyś maksyma. A poza tym... taka działalność jest okazją do poznania różnych kobiet. Może życie nauczy go więcej niż poradniki? Może zrozumie, co takiego zrobił albo czego zaniedbał i jak mógłby sprawić, żeby Karolina do niego wróciła?

Zaraz po powrocie od pani Augustyny Piotr usiadł przed komputerem i gorączkowo zaczął przeszukiwać internet. Mąż do wynajęcia, o którym słyszał w radiu, nie był jedyny. „Mąż nie mąż”, „Superfaceci”, „Faceci z Wenus”, „Mąż do wynajęcia”, „Mąż na godziny” – przeglądał te strony z wypiekami na twarzy, sprawdzał zakres działalności, opinie klientów, wypowiedzi na forach, wywiady prasowe, oglądał fragmenty programów telewizyjnych, robił notatki, zajęło mu to dobre parę godzin, ale wyniki poszukiwań były obiecujące. Skoro te firmy działały już kilka lat, rozwijały się i miały oddziały w różnych miastach, to znaczy, że warto spróbować. Tym bardziej że – o ile zdążył się zorientować – w jego mieście nikt jeszcze tego nie robił. A w każdym razie na pewno nie umieszczał swojej oferty w sieci.

„Mąż zastępczy” – to była pierwsza nazwa, jaka przyszła mu do głowy, i innej już nie szukał. Od razu przez internet zamówił dwie czarne koszulki z takim nadrukiem. Z napisem na samochodzie postanowił poczekać, aż działalność trochę się rozwinie. Najwięcej czasu zajęło mu zredagowanie ogłoszenia. Chciał, żeby tekst był konkretny, ale nie drętwy, i żeby miał w sobie jakiś haczyk, na który złapią się potencjalne klientki.

Długo siedział nad pustą kartką, gryząc ołówek. Wolał pisać ręcznie niż na komputerze, bo zazwyczaj tak mu się lepiej myślało, ale tego dnia nic nie przychodziło mu do głowy. Wyobraźnia Piotra błąkała się po klatce schodowej jakiejś kamienicy, gdzie on w firmowej koszulce i z walizką narzędzi w ręku stał przed drewnianymi drzwiami z ozdobną klamką, które otwierała filigranowa brunetka. Zleciła mu przemeblowanie pokoju. Zabrał się więc do przedstawiania szafek, a ona patrzyła na niego takim wzrokiem, jak kiedyś dawno temu patrzyła Jasmin. Wcale nie była do niej podobna, tylko to spojrzenie...

Jasmin...

Tyle to już lat minęło, a wystarczyło tylko zamknąć oczy, żeby przywołać jej obraz. Piotr pamiętał dokładnie ten moment, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Bawili się z chłopakami w chowanego, a on chciał się schować w krzakach za stodołą starego Borowskiego. Biegając w kierunku kryjówki, jak zwykle rzucił okiem na huśtawkę, którą Borowski zrobił na początku wakacji. Przez kilka dni ją robił, a Piotrek, ile razy tamtędy przechodził, zastanawiał się, po co staremu huśtawka.

Borowski mieszkał sam, goście do niego nie przyjeżdżali, dorosła córka wyprowadziła się już dawno – ludzie gadali, że przed wyprowadzką pokłóciła się z ojcem i od tego czasu nie

utrzymują kontaktu. A Borowski, kiedy już skończył z huśtawką, wysprzątał podwórko, płot pomalował i nawet trawę zaczął kosić częściej niż zwykle. Czasami w bramie stawał albo przed domem na ławce siadał, palił papierosy i na drogę patrzył, jakby na kogoś czekał.

Piotrek sam nie wiedział, czemu nogi jakoś tak same niosły go pod dom Borowskiego. Kiedyś poniosły go tam nocą. Była pełnia, noc ciepła i jasno prawie jak w dzień, a Piotrek nie mógł zasnąć, więc cichutko, żeby nikogo nie obudzić, wymknął się z domu. Huśtawka Borowskiego przyciągała go jak magnes. Myślał nawet, że może się na niej pobuja, po przeciw ludzi śpią, więc nikt go nie zobaczy. Pomylił się.

Na huśtawce ktoś siedział.

Stary Borowski! Stary Borowski z butelką w ręce huśtał się, mamrocząc coś pod nosem. I płakał. Przestraszył się wtedy Piotrek tego Borowskiego, bo przecież dorośli faceci nie huśtają się po nocach, dorośli faceci nie huśtają się w ogóle, w każdym razie ci, których znał. I nie płaczą. Ale Borowski zawsze był jakiś dziwny. Trzymał się na uboczu, właściwie nie rozmawiał z ludźmi, a gdy go ktoś zagadnął, to odburknął coś i szedł dalej.

A co, jeśli Borowski zwariował?

Nagle ta nocna wyprawa przestała się Piotrkowi podobać. Wycofał się ostrożnie za róg ulicy, a potem pobiegł szybko do domu.

Ale podwórko Borowskiego wciąż go przyciągało. Intrygowała go ta huśtawka.

I wtedy właśnie, gdy biegł schować się za stodołę, zobaczył na huśtawce dziewczynkę.

W pierwszej chwili nie wiedział, czy to prawdziwa dziewczynka, czy może jakaś wróżka albo królewna z baśni. Przecież to był zwykły dzień, nie żadne święto czy niedziela, a ona miała na sobie białą, falbaniastą sukienkę. Piotrek jeszcze nigdy takiej sukienki nie widział. Ani u miejscowych dziewczyn, ani u tych, co przyjeżdżały na wakacje. I te jej włosy... rozpuszczone i tak długie, że gdy siedziała na huśtawce, to prawie sięgały do ziemi. Miały kasztanowy kolor i błyszczały jak świeżo wyjęte z łupiny kasztany. Jesienią Piotrek zawsze zbierał kasztany dla dziadka. Podobno pomagały na reumatyzm, dlatego dziadek nosił je w kieszeniach i trzymał w tapczanie, a Piotrek bardzo lubił je zbierać i wyłuskiwać z łupinek; były takie gładkie i przyjemnie chłodne.

Nieznajoma wcale nie zauważyła, że chłopak przygląda się jej zza płotu, za to on zapomniał zupełnie o kolegach, o zabawie w chowanego i o całym świecie. Stał i patrzył, bojąc się poruszyć, żeby nie spłoszyć tej niezwykłej istoty.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć... sto! Szukam! – Głos Andrzeja przypomniał Piotrkowi, po co tu przybiegł. Ale teraz krzaki za stodołę Borowskiego nie wydawały mu się już taką dobrą kryjówką. Gdyby Andrzej przyszedł tu po niego, mógłby zobaczyć dziewczynkę. A Piotrek nie chciał, żeby inni ją widzieli. Nie chciał i już. Dlatego pobiegł w drugą stronę i dał się znaleźć Andrzejowi.

Wieczorem znowu przyszedł pod dom Borowskiego. Ale tym razem dziewczynki nie było. Dopóki się nie ściemniło, Piotrek z nadzieją zerkał w kierunku zamkniętych drzwi, usiłując zaczarować je wzrokiem, wymusić, by dziewczynka wyszła, a gdy w domu zabłysło światło, wypatrywał jej za firanką. Nie pojawiła się jednak.

A rano okazało się, że chłopaki już wiedzą.

– Słyszeliście, że do Borowskiego wnuczka przyjechała? – wyskoczył z nowiną Marek.

– A kto nie słyszał?! Antoniowa pod sklepem siedzi i każdemu gada, czy chce słuchać, czy nie. – Jacek wzruszył ramionami. – Jakieś imię dziwne ma ta dziewczyna, podobne do nazwy kwiatu, nie pelargonii, nie konwalii, takie niedziewczyńskie to imię, nie goździk...

– Jasmin – wtrącił Marek. – Jej ojciec podobno nie jest Polakiem i dlatego tak dziwnie ją nazwali.

– A fajna chociaż ta dziewczyna? – spytał Olek.

Okazało się, że wnuczki Borowskiego nikt jeszcze nie widział. Oprócz Piotrka. Ale on się nie odezwał.

Jasmin stała się główną atrakcją tego lata. Zawsze otaczały ją koleżanki, a chłopcy prześcigali w pomysłach, jak zwrócić na siebie jej uwagę.

Udawała, że ich nie widzi, ignorowała zaczepki. Nie zrobił na niej wrażenia Olek, który z liny zawieszanej na drzewie najdalej skakał do wody i wygrał wyścigi w pływaniu, ani Andrzej, przeskakując przez ognisko, ani Darek, który założył się, że zje muchę, i wygrał. Wzruszyła ramionami, kiedy usłyszała, że Marek z Jackiem bili się o nią i nawet nie spytała, kto zwyciężył. Zdawało się, że tym bardziej Piotrek nie ma żadnych szans. Pływał i owszem, ostatecznie mieszkał przecież nad jeziorem, ale gdzie mu tam było do Olka, bić się nie umiał i w ogóle niczym specjalnym się nie wyróżniał.

Tymczasem Piotrkowi się poszczęściło...

Wracał właśnie z jagód. Sam. Lubił tak sobie czasami samotnie pochodzić po lesie i podpatrywać zwierzęta. Jak zobaczył jakiegoś ptaka czy inne zwierzę, którego nie znał, zaraz sprawdzał w atlasie. Podobały mu się nazwy łacińskie – na przykład *Natrix natrix* brzmiało zdecydowanie ciekawiej niż „zaskroniec zwyczajny”, a *Accipiter gentilis* lepiej niż „jastrząb”.

Szedł leśną ścieżką, podjadając jagody i bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie łacińską nazwę padalca, którego przed chwilą omal nie nadepnął, kiedy na zakręcie pojawiła się Jasmin z rowerem. Piotrek zdziwił się, że nie jedzie na nim, tylko go prowadzi, chociaż wcale nie było pod górę. Nagle dziewczyna potknęła się i upadła. Wstała, zanim zdążył do niej podbiec.

Nie wiedział, co się robi z płaczącymi dziewczynami. Gdyby chociaż miał w kieszeni chusteczkę (mama mówiła, że zawsze powinno się nosić chusteczki, bo nigdy nie wiadomo, kiedy się mogą przydać), ale niestety chusteczki nie miał, a coś zrobić musiał, więc po prostu spytał, co się stało. Odpowiedziała, że spadł jej łańcuch od roweru i że prowadzi ten rower już chyba z godzinę, dwa razy się wywróciła i ma wszystkiego dosyć, zostawi go w lesie i wszystko jej jedno, co się z nim stanie. Nos miała czerwony od płaczu, na twarzy brudne smugi łez zmieszanych z kurzem, ale wcale nie wyglądała brzydko, tylko wzruszająco, a w jej oczach widział nieśmiałą nadzieję, więc chociaż jeszcze nigdy łańcucha nie zakładał, gotów był męczyć się z nim choćby i kilka godzin, byle tylko nie zawieść dziewczyny.

Udało się! Naprawił rower!

A Jasmin spojrzała na niego tak, że poczuł się niczym rycerz, który uratował królową z paszczy smoka i gotów był dla niej sto rowerów naprawić, morze przepłynąć albo w ogień skoczyć i zrobić wszystko, czego tylko chciała.

Ale nie chciała niczego.

Podziękowała, wskoczyła na rower i odjechała do domu. A on po chwili nie był już pewien, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę, czy może wyobraźnia splątała mu figla.

Następnego dnia, kiedy siedział z chłopakami na plaży, przyszła Jasmin z koleżankami. Musiała opowiedzieć o wszystkim dziewczynom, bo patrzyły na Piotrka jakoś inaczej. Chłopaki mu zazdrościli, bo Jasmin zagrała z nim w badminton, a w drodze powrotnej pozwoliła, by niósł jej plażową torbę.

I na maliny z nim poszła do lasu.

Potem mama Piotrka zrobiła naleśniki z malinami. A gdy jedli razem te naleśniki, chłopak nie mógł uwierzyć, że Jasmin siedzi sobie tak zwyczajnie w jego domu przy kuchennym stole. Nad górną wargą miała plamkę od malinowego soku. Piotrek nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o jej ustach, że na pewno są miękkie i ciepłe... I tak bardzo pragnął ich dotknąć. Ciekawe, jak zareagowałyby Jasmin, gdyby się odważył, ale nie zrobił tego, bo mama kręciła się

po kuchni.

Pod koniec sierpnia Jasmin wyjechała, obiecując, że przyjedzie za rok na wakacje. Piotrek nie poprosił o adres. Jasmin była bardzo dobrą uczennicą i na pewno wiedziała, jak się pisze każdy wyraz, a on, chociaż był średnim uczniem, robił strasznie dużo błędów. I bardzo się tych błędów wstydził. Zadania domowe zawsze sprawdzała mu mama, ale za nic nie dałby jej do sprawdzenia listu do Jasmin, nikomu nie pozwoliłby go sprawdzić, a nie mógłby go wysłać, gdyby nie miał pewności, że jest napisany bezbłędnie.

Nie miał pojęcia, co się u niej dzieje, ale codziennie wieczorem, zanim poszedł spać, wykreślał jeden dzień w kalendarzu i liczył, ile ich jeszcze zostało do wakacji. Od Borowskiego dowiedział się, że wnuczka przyjedzie dopiero pod koniec sierpnia, więc bez żalu w lipcu pojechał na kolonie. Nie mógł przecież przewidzieć, że Borowski dostanie nagle ataku serca i lekarze nie zdążą go uratować. Kiedy Piotrek wrócił z kolonii, było już dawno po pogrzebie, córka Borowskiego wystawiła dom na sprzedaż, a Jasmin nie miała do kogo przyjeżdżać.

Jasmin... Czy pamiętała go jeszcze?

Ogłoszenie. Miał przecież napisać ogłoszenie. Wstał z krzesła, żeby trochę rozprostować kości, nastawił wodę w czajniku, chwilę wahał się między herbatą a melisą, na rozbiegane myśli pewnie lepsza byłaby melisa, ale w końcu zdecydował się na herbatę. Lecz w puszcze znalazł tylko odrobinę czarnego pyłu. No tak, miał przecież zrobić zakupy.

W szafce za pojemnikami z mąką, cukrem i bułką tartą wyszperał torebkę z odręcznym napisem: „Królewska Malina”. Musiała ją kupić Karolina, bo on zadowalał się zwykłą czarną herbatą bez żadnych dodatków. W tej oprócz herbacianych liści pływały suszone maliny, kawałki jabłka i pączki róży; ładnie pachniała i smakowała całkiem nieźle. Tylko jakoś do niego nie pasowała. Ani do kubka, z którego ją pił. Taką herbatę powinno się podawać w filiżance z delikatnej porcelany, a nie w zwyczajnym fajansowym kubku.

Karolina lubiła filiżanki.

Ogłoszenie. Musiał wreszcie coś napisać. Cokolwiek. Byle tylko zmienić bieg myśli. Sięgnął po ołówek.

Nie masz męża albo chciałabyś, żeby ktoś go wyręczył? Zadzwoń do mnie!

„Mąż zastępczy” oferuje:

drobne i większe naprawy

montaż mebli

remonty i prace budowlane

„brudną robotę” (sprzątanie strychów, piwnic, komórek itp.)

usługi transportowe

prace ogrodowe

Piotr przygryzł ołówek. Ogłoszenie nie może być za długie, a jednocześnie powinno obejmować jak największy zakres usług. Co tu jeszcze ująć?

podejmuje również zlecenia nietypowe – dopisał – a ponadto – zamyślił się i nagle w głowie zaczęła mu się układać rymowanka. Pisał, skreślał, poprawiał, liczył sylaby, a wreszcie odczytał głośno swoje dzieło:

Zawsze jest miły, uśmiechnięty,

pracuje szybko, bez zachęty.

Naprawi, wkręci, zaszpachluje,

doradzi, ściany pomaluje.

Na stół wyklada wszystkie karty,

Na propozycje jest otwarty.

A przy tym nie marudzi wciąż

taki zastępczy mąż – nie mąż...

Dumny, że tak ładnie mu wyszło, przeczytał tekst jeszcze dwa razy, potem przebiegł wzrokiem całe ogłoszenie i dodał na końcu:

Podsumowując:

Mąż zastępczy ma wszystkie zalety męża i ani jednej jego wady!

Podpisał się, podał numer telefonu oraz adres e-mail, przepisał tekst na komputerze, umieścił ogłoszenie na kilku portalach internetowych i wydrukował okazały plik ulotek, żeby porozwieszać w mieście.

Kiedy zegar na kościelnej wieży wybijał szóstą, Piotr na słupie koło przystanku autobusowego przyklejał właśnie ostatnią ulotkę. Dopiero teraz poczuł zmęczenie. Dowlóknął się do domu i nawet nie rozbierając się, padł na łóżko.

ROZDZIAŁ 3

W pierwszej chwili Piotr zupełnie nie wiedział, co się dzieje. Skąd nagle w sercu dzikiej dżungli dźwięk telefonu? Czyżby wioska była tuż-tuż? Ale jeśli tubylcy mają telefony, to pewnie dotarły do nich również i inne zdobycze techniki, a w takim wypadku jego misja w ogóle nie miała sensu. Niepotrzebnie przedzierał się przez gąszcz splątanych lian, uginając się pod plecakiem wypełnionym najprzeróżniejszymi narzędziami, które chciał ofiarować tubylcom.

Zniechęcony, wbił w ziemię maczetę, zrzucił plecak i nie zdążył zastanowić się, co dalej, bo powtarzająca się natarczywie znajoma melodyjka nie dawała mu spokoju.

– Piotr Kowalczyk, słucham – rzucił w słuchawkę, nie otwierając oczu.

Przez chwilę nikt się odzywał i Piotr miał już zamiar odłożyć telefon, ale dosłyszał jakieś szmery, więc spróbował raz jeszcze:

– Słucham.

– Dzień dobry. Czy to „Mąż zastępczy”? Dobrze się dodzwoniłam?

– Bardzo dobrze. W czym mogę pani pomóc? – Piotr usiadł na łóżku całkiem już rozbudzony. Pierwsze zlecenie! Serce waliło mu jak młotem. Miał nadzieję, że rozmówczyni tego nie słyszy.

– Wyczytałam, że oferuje pan usługi transportowe.

– Tak, oczywiście.

– I podejmuje pan również zlecenia nietypowe.

– Tak... A w czym mógłbym pomóc?

– Bo widzi pan, ja dzwonię z zoo... – Kobieta urwała, a Piotr wyobraził sobie ogromnego słonia, którego bezskutecznie próbuje upchnąć w swoim busie.

– A co pani chciałaby przewieźć?

– To taki nietypowy ładunek.

– Tak?

– Widzi pan, próbowałam już w innych firmach transportowych i nikt nie chciał się zgodzić.

– Dlaczego? – Słoń w wyobraźni Piotra zamienił się w stado jadowitych węży pełzających po podłodze jego samochodu.

– Pan jest ostatnią moją nadzieją!

– Ale co mam przewieźć? – Piotr miał nadzieję, że rozmówczyni w jego głosie nie wyczuje niepokoju.

– Nie odmówi mi pan, prawda?

– Proszę pani, ja muszę najpierw wiedzieć, co to za ładunek.

– Skunks – kobieta powiedziała tak cicho, że ledwie usłyszał.

– Skunks?!

– No, tak i cały problem w tym, że my nie mamy takiego specjalnego transportera. Musiałby pan złapać skunksa, zawinąć w coś i włożyć do samochodu. No i oczywiście po dowiezieniu na miejsce wyjąć i zanieść do klatki.

– Ale... ten skunks to gruczoły ma wycięte?

– W tym sęk, że nie.

– Ale przecież wydzielina skunksa strasznie śmierdzi i tego zapachu w ogóle nie można się pozbyć!

– No właśnie. – Westchnęła. – Dlatego wszyscy mi odmawiają.

– I pani oczekuje, że ja się zgodzę?

– Mam taką nadzieję.

Piotr zamilkł. Przewożenie skunksa w samochodzie było czystym wariactwem, ale ta kobieta, a właściwie raczej dziewczyna (miała taki młody głos) liczyła na niego. W ogłoszeniu napisał, że przyjmuje nietypowe zlecenia, a kiedy takie dostał, miałby odmówić? Miałby poddać się przy pierwszym zleceniu?

– Proszę pani, ja muszę się zastanowić, poczytać o skunksach, proszę mi dać trochę czasu.

– Och, dziękuję, że pan nie odmówił! Zadzwoń za godzinę.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył jej powiedzieć, żeby raczej nie robiła sobie nadziei.

Włączył komputer i gorączkowo zaczął przeszukiwać internet. Dowiedział się, że skunks zwyczajny (po łacinie *Mephitis mephitis*) może wystrzelić cuchnącą wydzielinę na odległość sześciu metrów. Ostrzega najpierw lojalnie napastnika, odwracając się do niego tyłem, podnosząc ogon i tupiąc, a jeśli to nie pomoże, strzela. Zaskoczyło go, że skunksy są zwierzętami towarzyskimi i coraz więcej osób trzyma je w domu (oczywiście po wycięciu gruczołów). Na YouTube znalazł filmik, jak złapać skunksa. Tylko że ten skunks, którego, jak wynikało z tytułu, należało złapać, był już w klatce, a facet prawie przez cały film zbliżał się do niego z ogromną brezentową płachtą. Zarzucił ją w końcu na klatkę, którą następnie wstawił do samochodu, wywiózł w odludne miejsce, otworzył i tam zostawił razem z brezentową płachtą i ze skunksem w środku. Drugi filmik o podobnej tematyce zaczynał się również sceną ze skunksem w klatce. Piotr trafił jeszcze na trzeci przedstawiający, jak skunks broni się przed wilkiem. I dopiero po obejrzeniu tego wszystkiego przyszło mu do głowy, że właściwie ten telefon był jakiś dziwny. Niby czemu zoo miałyby zwracać się do niego? Przecież taka instytucja musi mieć transportery do przewożenia zwierząt i odpowiedni samochód, a jeśli nie mają swojego, to na pewno wiedzą, kto się takimi przewozami zajmuje. Sprawdził ostatnie połączenie w swoim telefonie – nieznane. Znalazł numer telefonu zoo i zadzwonił.

– Ktoś od nas rozmawiał z panem w sprawie transportu skunksa? – zdziwiła się sekretarka. – Chwileczkę.

Nie czekał długo.

– Proszę pana, to na pewno nie był telefon od nas. W naszym zoo w ogóle nie ma skunksów.

Zadzwoń jeszcze czy nie zadzwoni? – zastanawiał się Piotr, przygotowując kanapki z serem na śniadanie, chociaż właściwie pora była raczej obiadowa. Kończył właśnie jeść pierwszą kanapkę, gdy rozległ się dźwięk telefonu. Rzut oka na wyświetlacz potwierdził jego przypuszczenie – znowu nieznane.

– Piotr Kowalczyk, słucham.

– Dzień dobry raz jeszcze. To jak? Przewiezie pan tego skunksa?

– Dzwoniłem do naszego zoo i dowiedziałem się, że w ogóle nie mają tam skunksów.

– OK, punkt dla pana. – Kobieta odłożyła słuchawkę.

Piotr skończył śniadanie i poszedł do piwnicy. Przesiedział tam aż do wieczora, porządkując swój warsztat, sprawdzając stan narzędzi i czekając na pierwsze zlecenie. Ale chociaż nie rozstawał się z komórką i co jakiś czas błagalnie patrzył na wyświetlacz, tego dnia nikt już nie zadzwonił.

ROZDZIAŁ 4

I tym razem telefon wyrwał Piotra ze snu. Rzucił okiem na zegar – było piętnaście po czwartej.

– Proszę pana, ja bardzo przepraszam, że dzwonię tak wcześnie i pana budzę, ale przeczytałam ogłoszenie i tam były zlecenia nietypowe i ja bardzo proszę, żeby pan zaraz do mnie przyjechał. – W głosie kobiety słychać było zdenerwowanie. – Ojej, on znowu tu jest! – krzyknęła nagle.

– Proszę pani, co się stało? – zaniepokoił się Piotr.

W odpowiedzi usłyszał jedynie szurania, łomoty, coś się przewróciło, trzasnęły jakieś drzwi.

– Co się dzieje? Czy pani mnie słyszy?

Nie potrafił jednoznacznie zinterpretować dźwięków, jakie do niego dochodziły. A jeżeli to odgłosy walki? Może ktoś napadł tę kobietę, a on jest jedynym świadkiem i w ogóle jedyną osobą, która może pomóc? Ale co miał zrobić? Rozłączyć się i dzwonić na policję? Co im powiedzieć? A jeśli nie wyświetlił się jej numer? Czy odnajdą ją na podstawie historii połączeń? Czy zdążą? A może nic jej nie jest? Może to znowu jakiś głupi żart?

– Słyszysz mnie pani?! – krzyknął.

– Proszę, niech pan przyjedzie! On wisi przy suficie w korytarzu! Nie wyjdę z łazienki, dopóki ktoś go nie zabierze!

Wariatka? – pomyślał Piotr, ale na wszelki wypadek spytał:

– A kto wisi?

– Nietoperz! We włosy może się wkręcić! Ja stąd nie wyjdę!

– Wczoraj skunks, dzisiaj nietoperz? – spytał podejrzliwie.

– Jaki skunks? Nie żaden skunks, tylko nietoperz! Lata mi po mieszkaniu! Proszę, niech pan go zabierze! – Głos jej drżał od powstrzymanego płaczu.

– Spokojnie, zaraz u pani będę. – Piotr uznał, że nie ma jej co tłumaczyć, że nietoperze nie wkręcają się we włosy, bo i tak mu nie uwierzy. – Proszę podać nazwisko i adres.

– Uff! – Kobieta odetchnęła z ulgą. – Dziękuję. Bardzo panu dziękuję. Ewelina Czyżyk, Kaletnicza 21, mieszkania 7.

– To jest mieszkanie w kamienicy, prawda?

– Tak, na trzecim piętrze.

– Ma pani drabinę?

– Drabinę? Nie, nie mam.

– Wobec tego wezmę swoją. Będę za pół godziny.

– Tylko że ja panu nie otworzę! Nie wyjdę na korytarz, dopóki on tam jest! Okno łazienki jest od podwórka. Jak pan tam wejdzie, proszę zadzwonić, rzucę panu klucze. I niech pan szybko przyjeżdża, proszę!

Piotr spodziewał się, że Ewelina Czyżyk będzie bezbarwną pięćdziesięciolatką panicznie bojącą się nie tylko nietoperzy, ale również myszy, szczurów, węży, jaszczurek, żab, pajaków, dżdżownic i wielu innych Bogu ducha winnych stworzeń.

Tymczasem atrakcyjna brunetka, od której dostał w głowę kluczami, miała około trzydziestki. I wcale nie chciała go tymi kluczami uderzyć. To przecież nie jej wina, że kiedy rzucała klucze, jakiś kot zaplątał się Piotrowi pod nogami, odwracając jego uwagę. Na szczęście klucze były w skórzanym etui, co trochę złagodziło uderzenie.

– Ojej, bardzo pana przepraszam! – zawołała kobieta, wychylając się przez okno.

– Och, to nic takiego – odmruknął bohatersko Piotr, chociaż bolało jak diabli i w tym momencie najchętniej zostawiłby tę babę na pastwę całego stada nietoperzy. – Już do pani idę.

Zanim wdrapał się z drabiną na trzecie piętro, na czole zdążył mu wyrosnąć okazały guz. Ale ból trochę zelżał.

Piotr otworzył drzwi. Półmrok korytarza rozpraszało światło dochodzące z otwartych drzwi pokoju.

– Dzień dobry! – krzyknął.

– Dzień dobry! Dziękuję, że pan przyszedł! Widzi go pan? – Głos Eweliny Czyżyk dochodził zza drzwi naprzeciwko wejścia.

Nietoperz, pogrążony w błogim śnie, zwiślał nieruchomo głową w dół pod sufitem tuż przy drzwiach wejściowych.

– Widzę! – odrzyknął Piotr, wkładając rękawiczki. Wszedł na drabinę. Przyjrzał się uważnie nieproszonemu gościowi, żeby potem sprawdzić, jaki to gatunek. Zapamiętał, że sierść na grzbiecie była ciemnoszara z jaśniejszymi końcówkami, pyszczek, uszy i skrzydła bardzo ciemne. Następnie odczepił intruza od ściany. Nietoperz zasyczał, ukazując drobne, ostre ząbki, ale wrzucony do papierowej torby zamilkł.

– Pani Ewelino, już po wszystkim!

– Złapał go pan? – W głosie kobiety słychać było ulgę, lecz drzwi nadal pozostały zamknięte.

– Złapałem.

– I co pan z nim zrobił?

– Mam go w torbie. Zaraz wypuszczę za okno.

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie. – Bo znowu mi tu wleci! Niech go pan wyniesie do parku, to tylko dwie przecznice stąd, bardzo pana proszę! Ja nie wyjdę, dopóki on jest w domu!

– Dobrze. Wyniosę nietoperza i zaraz wracam.

– Bardzo panu dziękuję!

Kiedy Piotr wrócił, w mieszkaniu pachniało kawą, a pani domu miała na sobie dzinsy i zieloną bluzkę zamiast fioletowego szlafroka.

– O Boże! To ja panu zrobiłam? – przejęła się, widząc guz. – Jeszcze raz przepraszam. Trzeba szybko przyłożyć coś zimnego.

Po chwili Piotr siedział w fotelu z paczką mrożonej marchewki na czole, przed nim stał talerz parującej jajeczniczy i filiżanka kawy, a Ewelina Czyżyk podsuwała mu cukierniczkę.

To była całkiem miła odmiana po samotnych śniadaniach, jakie jadał od dłuższego czasu. O ile w ogóle je jadał. Często jego pierwszym posiłkiem był dopiero obiad, zazwyczaj z mrożonki albo ze słoika.

– Wie pan, pająki mi nie przeszkadzają, jakieś stonogi czy inne robale miłe nie są, ale sobie sama z nimi poradzę, ale myszy i szczury – ohyda! A nietoperz to jeszcze gorzej! Te błoniaste skrzydła – obrzydliwość! Gdyby tak dotknął mnie takim skrzydłem... – Wzdrygnęła się ze wstrętem. – Nie wiem, co bym bez pana zrobiła. – Upiła łyk kawy. – Często ma pan takie nietypowe zlecenia?

– Prawdę mówiąc, to jest w ogóle moje pierwsze zlecenie – odpowiedział trochę zakłopotany. – Dopiero zaczynam działalność.

– Naprawdę? To może trzeba pomóc panu w reklamie? Podobno najlepszy jest marketing szeptany, a ja jestem kosmetyczką, przez nasz salon przewija się mnóstwo kobiet. Ma pan ze sobą jakieś ulotki?

– Akurat mam, bo zamierzałem porozwieszać w mieście.

– To świetnie! Rozłożę w naszej poczekalni, opowiem szefowej i dziewczynom, zachęcę

klientki i gwarantuję panu, że niedługo telefony będą się urywać.

– Oby tak było. Niech się urywają, nie mam nic przeciwko temu. – Piotr uśmiechnął się, podając Ewelinie Czyżyk okazały plik ulotek. – Bardzo pani dziękuję za pomoc.

Zapłaciła mu dwa razy więcej, niż powinna. Kiedy chciał zwrócić nadwyżkę, powiedziała, że w żadnym wypadku, bo jest mu winna odszkodowanie za przerwany sen oraz za uszczerbek na zdrowiu i że na pewno się z nim jeszcze skontaktuje w razie potrzeby.

Pierwsze koty za płoty – pomyślał Piotr, wsiadając do samochodu. – Ciekawe, jakie będzie następne zlecenie. I kiedy.

Po drodze zatrzymał się na osiedlu Kwiatowym i rozwiesił kilkanaście ulotek, które mu jeszcze zostały. Tuż przed szóstą był w domu. Szybko dodrukował ulotki i rozwiesił je na pobliskim osiedlu. Wolał zrobić to, kiedy na ulicach nie było jeszcze ruchu, bo nie chciał, żeby ludzie zaglądali mu przez ramię. Postanowił więc, że będzie wstawał wcześniej i codziennie rano objedzie kilka ulic.

Wracając, zrobił zakupy. Miał już dość obiadów z gotowych półproduktów. Marzył mu się rosół. Prawdziwy, domowy rosół. Ulubiona zupa dzieciństwa. Smak świętowania niedzieli i innych ważnych dni. Kiedy tata dostał w pracy podwyżkę, kiedy Piotrek skończył szkołę, kiedy po dwóch latach biegania po sądach rodzicom udało się wreszcie zakończyć sprawy spadkowe po śmierci babci albo kiedy Piotr oznajmił, że się żeni, wtedy mama gotowała rosół. Pamiętał, że składniki trzeba było wrzucać w jakiejś określonej kolejności, że mama dodawała przypieczoną nad ogniem cebulę i cierpliwie zbierała szumowiny, kiedy rosół powoli pyrkotał na ogniu, zdaje się, że warzywa wrzucała dopiero po zebraniu szumowin, a przyprawy jeszcze później. Na pewno był tam pieprz ziarnisty, bo Piotrek pamiętał ostry smak na języku, gdy zdarzało mu się czasami rozgryźć czarną kuleczkę pływającą w talerzu. I ziele angielskie, bo nie wszystkie kuleczki smakowały tak samo. Makaron mama najczęściej robiła własnoręcznie. Piotrek lubił jej towarzyszyć. Dostawał kawałek makaronowego ciasta i lepił z niego ludziki albo rozgniatał ciasto na placki, które mama wrzucała potem do wrzącej wody razem z makaronem.

Rosół gotował się długo, więc zdarzało się, że zasiadali do obiadu dopiero późnym popołudniem. Mama nakrywała stół obrusem i wyciągała z szuflady tak zwane platerki – posrebrzane, świąteczne sztucce, a cały dom pachniał niedzielą...

Rosół pojawiał się na stole również wtedy, kiedy ktoś w rodzinie chorował albo trzeba było podjąć ważną decyzję. Wtedy też był obrus, posrebrzane sztucce i rodzina przy stole. Chory mógł siedzieć ze wszystkimi lub jeść w łóżku. Kiedy Piotrek chorował, zazwyczaj nie miał apetytu, ale mimo wszystko zawsze starał się zjeść choć kilka łyżek rosółu.

Maminy rosół nie miał sobie równych. I był skuteczniejszy niż lekarstwa. Po rosolu Piotrek od razu czuł się lepiej, a na działanie lekarstw trzeba było czekać.

Ostatnio Piotr jadł rosół jakiś miesiąc po rozstaniu z Karoliną, gdy wreszcie zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć o tym mamie. Nie chciał jej martwić, ale dłużej nie mógł ukrywać prawdy. Co miał mówić, kiedy pytała, jak czuje się Karolina, albo jak tam u niego w pracy? Wykręcał się, odpowiadał półsłówkami, lecz mama tak łatwo nie dawała się zbyć. Musiał jej w końcu powiedzieć, co się stało, lecz nie zamierzał robić tego przez telefon. Mama chorowała na serce i Piotr obawiał się, że taki wstrząs może jej zaszkodzić. Pojechał więc do niej. Chciał, żeby zobaczyła, że nic mu nie jest i świetnie sobie radzi bez Karoliny. Jednak chyba był mało przekonujący, bo mama co rusz zerkała na niego z troską. Nie mówiła wiele, nie pytała, nie udzielała żadnych rad, czego się obawiał, tylko zabrała się do rosółu.

– Są rzeczy, których przyspieszyć się nie da, synu – powiedziała, a Piotr czekał na jej dalsze słowa, bo „synu” mówiła wtedy, gdy chciała mu przekazać coś ważnego. Ale mama nie spieszyła się. Dokończyła skrobanie marchewek, umyła je, odłożyła do miski, zajrzała do garnka,

w którym powoli gotowało się już mięso. – Ot, choćby taki z pozoru zwykły rosół...
W odpowiednim czasie musisz zebrać szumowiny, żeby wywar był klarowny, a potem gotować długo na wolnym ogniu, inaczej wyjdzie ci zupa z kurczaka zamiast prawdziwego esencjonalnego rosółu.

Tamtego dnia rosół gotował się bardzo długo i miał wyjątkowy smak...

A dzisiaj był dobry dzień, żeby to on nauczył się robić rosół samodzielnie. Nie zupę kurczakową, ale rosół doskonały, godny miana „prawdziwego rosółu”, przyrządzany zgodnie z wszelkimi tajnikami sztuki kulinarnej.

Piotr zadzwonił więc do mamy, żeby mu te tajniki zdradziła. Nie odbierała. Próbował kilka razy, aż wreszcie zniecierpliwiony sięgnął po wskazówki do internetu. Na hasło – prawdziwy rosół – wyskoczyło od razu kilkanaście stron. Przeczytał kilka przepisów wraz z komentarzami. Najwięcej sprzecznych rad dotyczyło klarowania, ale to akurat wiedział, jak zrobić. Zgodnie z zaleceniami wrzucił więc mięso do zimnej wody, żeby powoli oddawało smak, po zagotowaniu zebrał szumowiny, następnie dodał marchew, pietruszkę, seler, przypieczone cebulki, liść laurowy, ziele angielskie, pieprz ziarnisty, a na końcu sól i pozwolił rosółowi leniwie pyrkotać.

Zadzwonił telefon. Piotr spojrzął na wyświetlacz. Nie znał tego numeru.

– Mąż zastępczy, słucham.

Nikt się nie odezwał, przez moment słychać było jedynie czyjś oddech, a potem połączenie zostało przerwane.

Za chwilę telefon zadzwonił ponownie. To był ten sam numer co przedtem.

– Firma „Mąż zastępczy”, Piotr Kowalczyk, słucham.

– Piotrek?! To ty?!

– Cześć, mam! Coś się stało z twoim telefonem, że dzwonisz z innego?

– Piotrek, bój się Boga, co ty robisz?!

– Teraz? Wyobraź sobie, że gotuję rosół. Dzwoniłem do ciebie kilka razy, żeby się dowiedzieć o przepis, ale nie odbierałaś, więc skorzystałem z internetu.

– Ty mi się rosołem nie zasłaniaj, tylko mów, co robisz! Przecież to nie może być prawda!

– Mam, nie wiem, o co ci chodzi. Dlaczego się denerwujesz?

– Nie wiedziałaś, że to ja dzwonię! Gdyby nie ten nowy telefon, nie miałabym o niczym pojęcia! Myślałaś, że to ktoś obcy!

– Mam, a skąd mogłem wiedzieć, że to ty? Myślałem, że klientka. Ale co się stało?

– O Boże! Mój syn! Nie mogę w to... – Płacz zagłuszył jej dalsze słowa.

– Mam, ale czemu ty płaczesz? O co chodzi? Mam... – Piotr nie miał pojęcia, co robić. Musiało wydarzyć się coś poważnego, skoro mama płakała. Zazwyczaj starała się ukrywać przed nim złe wiadomości. Ileż to razy dowiadywał się, że chorowała, dopiero wtedy, gdy była już całkiem zdrowa. No właśnie, przecież lekarz kazał jej unikać stresu. – Mam, proszę, uspokój się. Wiesz, że nie możesz się denerwować. Masz przy sobie te tabletki na serce?

– Ty niby troszczysz się... o moje... serce? – wyszlochała. – Wolę umrzeć, niż patrzeć, jak mi się dziecko łajdaczy!

– Łajdaczy się? Jakie dziecko?

– Ty nie rób ze mnie wariata! Głucha nie jestem! Za pierwszym razem myślałam, że pomyłka. Że zadzwoniłam do kogoś innego albo się przesłyszałam, ale przecież głos był twój. Lecz za drugim razem nie było mowy o pomyłce – mąż zastępczy, Piotr Kowalczyk – powiedziałeś, więc teraz nie próbuj się wypierać!

– Ale ja wcale nie zamierzam się wypierać! Założyłem firmę „Mąż zastępczy” – nie

zdążyłem ci jeszcze o tym powiedzieć, bo działałem dopiero od wczoraj.

– Mąż zastępczy?! I tak po prostu to mówisz?! Sumienia nie masz?! Nie tak cię wychowałam! – I znowu się rozplakała.

Dopiero w tym momencie do Piotra dotarło, o co mamie chodzi. Nie mógł opanować śmiechu.

– Mamo, czy ty pomyślałaś, że ja... naprawdę pomyślałaś, że jestem męską prostytutką? No, coś ty! Zajmuję się różnymi naprawami, remontami, usuwaniem awarii, wiesz, takimi męskimi pracami domowymi.

– Męskie prace domowe? I nic więcej? Na pewno? – spytała nieufnie.

– No wiesz, mamo! Za kogo ty mnie masz?! – oburzył się.

– To dlaczego „mąż zastępczy”?

– Bo takie prace w rodzinie zazwyczaj wykonuje mąż. A jak go nie ma albo z jakichś powodów tego nie robi, to wtedy przyda się mąż zastępczy. Mamo, takich firm jest sporo na rynku i nazwy mają podobne do mojej: „Mąż na godziny”, „Mąż do wynajęcia”. Gdybym dał nazwę „Złota rączka” albo coś w tym stylu, mało kto zwróciłby na to uwagę. A tu już sama nazwa intryguje. To taki chwyt marketingowy.

– Chwyt marketingowy? Hmm... A jak jakaś baba pomyśli, że ty inne usługi oferujesz?

– Mamo, bez przesady. Przecież w ogłoszeniach piszę, czym się zajmuję.

– Nie podoba mi się ta nazwa. Wcale. A jak cię ludzie na języki wezmą? Plotka wróblem wyleci, a wróci wołem. Mógłbyś to jakoś inaczej nazwać – bez tego męża.

– Mamo, daj spokój. Mnie się ta nazwa podoba i nie zamierzam nic zmieniać.

– A mnie się nie podoba!

– A dlaczego ty masz nowy numer telefonu? – Piotr zmienił temat rozmowy. – Tamten jest już nieaktualny?

– Tak, nowy. Mówiłam ci przecież o tych ciągłych pomyłkach. Wydzwaniali do mnie jacyś faceci i pytali o agencję towarzyską. Od jednego dowiedziałam się w końcu, że ta agencja niedawno powstała, a nasze numery różnią się tylko kolejnością dwóch cyfr. A jak wczoraj w nocy obudził mnie jakiś dziwkarz pytaniem, czy mamy nieogolone dziewczyny, bo on lubi takie z włosami i nie dał sobie wytłumaczyć, że to pomyłka, tylko kilka razy dzwonił, to miałam już tego dość. Wyłączyłam telefon, ale do świtu zasnąć nie mogłam. A dzisiaj z samego rana poszłam, żeby mi numer zmienili. I po tym wszystkim, jak zadzwoniłam do ciebie i usłyszałam w słuchawce: „mąż zastępczy”, to wyobrażasz sobie, co czułam? – Piotr nie zdążył odpowiedzieć, bo mama mówiła dalej: – Nie, ta nazwa wcale mi się nie podoba. A jak Jaśkiewiczowa będzie pytać, co u ciebie, to co mam powiedzieć? Że jesteś mężem zastępczym? Wiesz, co ona pomyśli? A co po wsi rozpowie? Już i tak ostatnio rozpytywała, czemu bez żony przyjechałaś.

Piotr dobrze znał Jaśkiewiczową. Była największą plotkarą we wsi, a kiedy chciała się czegoś dowiedzieć, niełatwo dało się wykręcić. Jeśli ktoś unikał odpowiedzi albo odpowiadał zdawkowo, to dopiero wyobraźnia Jaśkiewiczowej miała pole do popisu. A że swoimi przypuszczeniami dzieliła się chętnie, niezależnie czy kogoś to interesowało, czy nie, zaraz po wsi zaczynały krążyć niestworzone historie. Lepiej było nie wzbudzać ciekawości Jaśkiewiczowej.

– Oj tam, mamo, w razie czego powiesz jej, że zajmuję się remontami.

– No, nie wiem. Nie podoba mi się to i już.

Ledwie Piotr skończył rozmowę, telefon odezwał się znowu.

Ewelina Czyżyk spełniła obietnicę. Dzwoniła klientka gabinetu kosmetycznego z pytaniem, czy Piotr mógłby zamocować listwy przypodłogowe. Panele miała już położone, ale

niestety zapłaciła fachowcom zbyt wcześnie. Mieli dokończyć te listwy następnego dnia, tymczasem minął już miesiąc, a oni nie pokazali się i nie odbierają telefonów.

Piotr ucieszył się z kolejnego zlecenia, szczególnie że tym razem było to coś normalnego, żaden skunks, nietoperz, wąż boa ani tygrys, którego miałby poskromić, tylko najzwyczajniejsze listwy przypodłogowe – wystarczy je wymierzyć, pociąć i zamocować – łatwa i niewymagająca wysiłku robota. Najchętniej zrobiłby to od razu, ale klientka miała być w domu dopiero o szesnastej. Umówili się więc na szesnastą trzydzieści.

Rosół powoli nabierał smaku, do szesnastej trzydzieści zostało jeszcze mnóstwo czasu, a Piotra rozpieszczała energia. Rozejrzył się po domu. Zauważył pajęczyny pod sufitem, wysuszone muchy na parapecie, na dywanie niezidentyfikowane paprochy i grubą warstwę kurzu na szafkach. Zdziwił się, że dostrzegł to dopiero dzisiaj. Taki kurz musiał zbierać się długo, ale jakoś wcześniej Piotrowi to nie przeszkadzało. A teraz miał wrażenie, że kurz wciska mu się do gardła i osiada w płucach. Musiał natychmiast się go pozbyć.

Piotr nie znosił sprzątanego. Nie dlatego, że był leniwy. Zazwyczaj po pracy szukał sobie jakiegoś zajęcia, żeby nie siedzieć beczynnemu, ale żałował czasu na działania, które nie przynosiły trwałych efektów. A sprzątanie niestety takich nie dawało. Piotr zostawiał je więc Karolinie, a w jego gestii pozostały naprawy, remonty, dbanie o samochód i inne prace tradycyjnie uznawane za męskie. Czasami mył naczynia, czasami okna (gdy żona o to poprosiła), od czasu do czasu odkurzał dywany, a nieraz nawet coś ugotował – nic specjalnie skomplikowanego – parówki w sosie pomidorowym, ryż ze śmietaną na słodko, jajecznice. No i jeszcze naleśniki. Z serem, z dżemem czy też bardziej wyrafinowane, na szczególne okazje – z truskawkami i ajerkoniakiem.

Karolina lubiła jego naleśniki...

Po naleśnikach kuchnia przypominała pobożowisko, a Piotr nie miał pojęcia, skąd się wzięły resztki masy naleśnikowej na podłodze i na szafkach, dlaczego oliwa uparcie rozlewała się na kuchenkę i do czego użył tylu talerzy, misek, łyżek i widelców, że nie mieściły się w zlewie, który przedtem był zupełnie pusty.

Kiedy już zjedli, Karolina ze stoickim spokojem zabierała się do sprzątanego. Piotr nie wiedział, czy przyjmowała to jako naturalną kolej rzeczy, czy też ukrywała irytację, ponieważ wolała naleśniki z bałaganem w pakiecie od porządku bez naleśników.

Nie wiedział o niej tylu rzeczy...

Może gdyby znał ją lepiej, zauważyłby, co się dzieje. Może umiałby ją zatrzymać... Ale on uznał, że ślub daje gwarancję. Nie wszystkim może, bo przecież nie żył na księżycu, znał żony zdradzające mężów i mężów zdradzających żony. Ale w swojej naiwności sądził, że on wygrał szczęśliwy los na loterii. To prawda, że w początkowym okresie po ślubie prawie się nie rozstawali, a gdy już musieli się rozstać, wracali potem do siebie jak na skrzydłach, że potrafili rozmawiać godzinami i kochać się całe noce ciągle nienasytzeni i ciekawi jedno drugiego. A potem coraz więcej mieli spraw osobnych i osobnych ścieżek, rozmowy były coraz krótsze i kochali się też rzadziej... Co jakiś czas płomień rozpałał się mocniej, by później znowu zmienić się w ledwie tłący się ogieniek. Ich związek przypominał sinusoidę. Ale tak przecież dzieje się w każdym małżeństwie, to normalna kolej rzeczy – tłumaczył sobie Piotr, gdy zaczynało brakować pierwotnego żaru, Karolina odwracała się w łóżku na drugi bok, mrużąc, że właśnie zasypia, a on przypominał sobie, że dawniej budziła go w środku nocy pocałunkami.

Nie chcieli dziecka od razu po ślubie, a kiedy wreszcie się na nie zdecydowali, okazało się, że nie wszystko da się zaplanować. Mijały kolejne miesiące i za każdym razem kiedy zbliżał się termin miesiączki, Karolina miała nadzieję, że krwawienie się nie pojawi, bo przecież piersi miała takie tkliwe, brzuch pełny i czuła się jakoś inaczej. Nie kupowała podpasek, żeby nie

zapeszyć, a gdy nadzieja rozplywała się w rdzawych kroplach, Piotr biegł do sklepu po podpaski, bo to była jedyna konkretna rzecz, którą mógł dla niej zrobić.

– Może następnym razem się uda. Spokojnie. Mamy czas – próbował ją pocieszyć. Ale nie udawało się.

U Karoliny w pracy co rusz jakaś koleżanka szła na urlop macierzyński, potem przynosiła zdjęcia swojego malucha. Rozmowy głównie toczyły się wokół ochów i achów nad osiągnięciami dzieci, wybieraniem przedszkoli, potem szkół, a ona chodziła do lekarzy, zielarzy, bioenergoterapeutów, homeopatów i nic. Piotr chodził razem z nią, robił badania, posłusznie pił przepisane ziółka, godził się na seks zgodnie z wyliczeniami kalendarza, wybierając dni najbardziej płodne i tylko czasami żał mu było, że spontaniczność gdzieś się zapodziała, a on czuje się nie jak kochanek, ale jak automat do produkcji plemników. Nie mówił o tym, bo i po co. Chciał tego dziecka. Bardzo. Kiedy widział faceta z niemowlakiem na rękach, coś ścisnęło go w gardle. O tym też nie mówił. Ani o tym, że czasami ogarniało go poczucie winy, bo myślał sobie, że może z kimś innym Karolinie udałoby się... Nie chciał rozdrapywać ran. Ona też milczała. Po kilku latach bezowocnych starań temat dziecka stał się dla nich tabu.

Odłożył na półkę zapomnianą podpaskę w niebieskim woreczku, która poprowadziła jego myśli takimi drogami. Czego właściwie szukał w tej szafce? Aha, ściereczki do kurzu. Nie wiedział, gdzie Karolina je chowała, nie pamiętał nawet, czym ścierała kurze. W końcu zdecydował się na wilgotny ręcznik jednorazowy. Zaczął od pokoju dziennego. Otworzył szeroko okno, sięgnął po pilota, wyczyścił go, włączył radio i zabrał się do sprzątanego. Usunął pajęczyny i kurz pamiętający jeszcze Karolinę, wytarł podłogę, odkurzył dywan, a nawet umył okna. Wyrzucił kwiaty doniczkowe, z których po tak długim okresie posuchy zostały tylko sterczące martwe kikuty.

– Przecież każdy dzień może być początkiem nowego, a taki lipcowy, słoneczny jak dzisiaj z pewnością przyniesie państwu coś dobrego. Oby tylko tego nie przegapić – powiedział spiker, kiedy Piotr podziwiał właśnie efekt swojej pracy.

W mieszkaniu zrobiło się teraz całkiem przyjemnie. Pokój pojaśniał i nareszcie przestał przypominać mauzoleum. Gdyby tak jeszcze czymś przesłonić ten gwóźdź, z którego Karolina zdjęła obraz... Maski! No oczywiście! Wszedł na krzesło i zaczął poszukiwania na pawlaczu. Gorączkowo przekładał kartony i reklamówki pełne rzeczy, z którymi nie wiadomo co zrobić, bo a nuż kiedyś jeszcze się przydadzą. Gromadziły się tu przez lata, cierpliwie czekając na swoje pięć minut, kiedy ktoś sobie o nich przypomni i znowu okażą się potrzebne. Wreszcie znalazł pudło, którego szukał. Postawił je na podłodze. Starł kurz z pokrywy. Otworzył.

Była tam.

Prawdziwa afrykańska maska. Niegdyś przedmiot jego dumy i zazdrości kolegów. Prezent, który Piotrek dostał na dziesiąte urodziny od wujka marynarza. Przez lata maska wisiała na własnoręcznie wbitym przez chłopca gwóźdźu na honorowym miejscu w jego pokoju.

Irek, który miał bardzo bogatych rodziców, najlepszy rower, najmodniejsze spodnie i wszystko, czego tylko zapragnął, chciał ją odkupić, proponował naprawę dużo pieniędzy, ale Piotrek się nie zgodził. Fajnie było mieć coś, o czym Irek i inni koledzy mogli tylko pomarzyć.

Ale nawet gdyby nikt nie zwrócił uwagi na maskę, dla Piotrka i tak była niezwykła. Kiedy dotykał jej gładkiej hebanowej powierzchni, przychodziło mu do głowy mnóstwo pytań. Zastanawiał się, kto wyrzeźbił tę maskę? Przez ile rąk przeszła, zanim do niego trafiła? Czy były to tylko ręce dorosłych, czy również dzieci? Może należała kiedyś do jakiegoś chłopca i jego rodzice musieli ją sprzedać, bo nie mieli pieniędzy na jedzenie albo na lekarstwa? I ten chłopiec zastanawia się teraz, co się z nią stało? Może wyobraża sobie jej nowego właściciela? Może ich myśli spotkają się po drodze gdzieś nad oceanem i chłopiec poczuje, że maska jest w dobrych

rękach?

Czasami gdy Piotrkowi wydawało się, że życie jest do dupy, a on sam do niczego się nie nadaje, wkładał maskę i patrzył na świat oczami afrykańskiego wojownika. Czuł wtedy, że uda mu się poprawić i dwóję z matematyki, i kiepskie wyniki w bieganiu. Zaciskał zęby, rozwiązywał zadania, biegał codziennie, nawet gdy padał deszcz, i potem przynosił mamie do podpisu kartkówkę z czwórką, a wuefista porównując jego wyniki z poprzednimi, mówił, że może jeszcze będą z niego ludzie.

Gdy Jasmin była u niego w domu ten jeden jedyny raz, od razu zwróciła uwagę na maskę.
– Ale fajna! Mogę jej dotknąć?

Skinął głową. Dziwnie się czuł, kiedy palce Jasmin błędziły po twarzy wojownika. Tak jakby był z nim połączony. Miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Odruchowo przymknął oczy, ale pomyślał, że to głupio, więc szybko je otworzył, mając nadzieję, że dziewczyna niczego nie zauważyła.

Jasmin nie patrzyła na niego, tylko na maskę.

– Czujesz to? – spytała szeptem. – Czujesz to, kiedy jej dotykasz?

Piotrek nie wiedział, co Jasmin ma na myśli. Bał się, że odkryje, co się z nim teraz dzieje, że dotykając maski, odgadnie, że on chciałby... chciałby tak bardzo, żeby dotknęła jego twarzy, chociaż przypadkowo, chciałby złapać ją za rękę i... sam nie wiedział, co dalej, bo to wszystko było takie dziwne, nigdy jeszcze się tak nie czuł i nie miał pojęcia, czy to czary wojownika, czy też może czary Jasmin.

W tym momencie weszła mama i zawołała ich na ciasteczka, które właśnie upiekła. Kruche ciastka kręcone przez maszynkę, pyszne, chrupiące, jeszcze ciepłe, które pachniały tak mocno, aż kręciło się w głowie. Usiedli więc przy kuchennym stole, chrupali ciasteczka, popijając mlekiem, mama podawała Jasmin przepis i już nie było mowy o masce.

Piotr, szykując się do wyprowadzki z rodzinnego domu, najpierw spakował afrykańskiego wojownika.

Nigdy go nie powiesił – Karolina stwierdziła, że nie pasuje do wystroju mieszkania.

Teraz ostrożnie wyjął maskę z pudła, otarł z kurzu i zaniósł do pokoju. Afrykański wojownik zasłonił jasny prostokąt na ścianie, a pokój nabrał bardziej zdecydowanego charakteru.

Karolina nie miała racji – pomyślał Piotr.

Odsapnął chwilę w fotelu, pijąc herbatę, a potem zabrał się do sypialni, łazienki, kuchni i korytarza. Sprzątał wytrwale, pogwizdując pod nosem melodię, która nie wiadomo czemu akurat teraz się przyplątała. Przecież wcale nie myślał o szkole i znajomościach z tamtych lat, więc skąd nagle ten przebój chłopaków z trzeciej be? Tajny przebój, bo w obecności dorosłych nie mogli go śpiewać.

Uśmiechnął się na wspomnienie tamtej lekcji polskiego.

To była któraś tam rocznica rewolucji październikowej i wychowawczyni jak co roku tłumaczyła im, że rewolucja październikowa wybuchła w listopadzie, a oni nie mogli tego zrozumieć, bo niby jak październik może być w listopadzie? A potem opowiadała, jak to Lenin jako mały chłopiec dzielił się cukierkami z dziećmi, których rodzice nie mieli pieniędzy na słodczyce, a później został przywódcą rewolucji. I wtedy zgłosiła się Renia.

– Proszę pani, a ja wiem, jak nazywała się żona Lenina – pochwaliła się.

– Naprawdę? – zdziwiła się pani. – No to powiedz nam wszystkim.

– Nadieżda Krupska.

– Świetnie, Reniu! – ucieszyła się pani Lesińska. – Dostajesz piątkę. Słyszeliście?

Nadieżda Krupska była żoną Włodzimierza Lenina – przywódcy rewolucji. A teraz głośno powtórzmy wszyscy razem, jak nazywała się żona Lenina?

– Na-dież-da Krup-ska – wyskandowała klasa.
– A co tak cicho? Śniadania nie jedliście? Głośniej, tak, żeby pani dyrektor w swoim gabinecie słyszała.
– Na-dież-da Krup-ska!
– No, teraz było całkiem nieźle. Reniu, a skąd ty wiesz, kim była Nadieżda Krupska?
– Od taty.
– Tata ci opowiadał?
Renia milczała, skubiąc koniec warkocza.
– No, powiedz nam, Reniu. – Wychowawczyni uśmiechnęła się zachęcająco.
– Bo... bo mój tata śpiewa przy goleniu taką piosenkę i ja zapytałam, o kim to jest i tata mi powiedział, że o żonie Lenina.
– A jaka to piosenka? – zaciekawiała się nauczycielka.
– Mam zaśpiewać?
– Śmiało, Reniu!
– Ale...
– Nie wstydź się. Śpiewaj!

Renia była posłuszną dziewczynką, wzięła więc głęboki oddech i zanuciła nieśmiało:
– *Nadieżda Krupska nie żalowała dupska...*
Piotr do dziś pamięta minę wychowawczyni i śmiech klasy. I to, że pani od razu zmieniła temat i już nie mówiła więcej o Leninie, tylko o listopadzie i spadających liściach. A potem kazała narysować jesienne liście, ale niektórzy chłopcy (w tym i Piotrek) zainspirowani piosenką zamiast tego rysowali ogromne dupsko Nadieżdy Krupskiej. Na przerwie pół klasy otoczyło Renię i wszyscy pytali, co jest dalej w tej piosence. Trochę byli rozczarowani, że tata śpiewa tylko taki krótki kawałek, ale zaraz zaczęli się wygłupiać i wyśpiewywać ten fragment na różne melodie, próbować, jak to będzie brzmiało z klaskaniem, grzechotaniem pudełkami pełnymi kredek, uderzaniem kamieniem o kamień, oczywiście robili to nie w szkole, żeby żaden nauczyciel się nie przyczepił, ale pod drzewem w kącie boiska. Pięknie im wychodziło! Tak pięknie, że aż szkoda, że nie mogli pokazać tego pani. Gdyby to była inna piosenka, za jej wykonanie na pewno wszyscy dostaliby piątki.

Z wiejskich ploteczek Piotr wiedział, że Renia została lekarzem, a pani Lesińska, chociaż już dawno mogłaby przejść na emeryturę, nadal uczy w szkole.

Nie musi już opowiadać trzecioklasistom o rewolucji – pomyślał – może ten czas poświęcić na rzeczowniki, czasowniki i przymiotniki, ciągle przecież robiła nam z tego kartkówki. Ale mogę się założyć, że wiele osób z naszej klasy, które już dawno zapomniały, co to jest czasownik, do dziś pamięta, jak nazywała się żona Lenina.

Wyłączył rosół, spróbował i postanowił dać mu jeszcze trochę czasu, żeby się przegryzł. Mieszkanie było wysprzątane. Uff! Nie przypuszczał, że zajmie mu to aż tyle czasu. Zrobiło się już piętnaście po drugiej. Zdąży jeszcze zjeść i chwilę odsapnąć.

Sięgał właśnie po chochlę, gdy rozległa się znajoma melodyjka. To była trzecia klientka! I znowu od Eweliny Czyżyk. Zlecenie na przestawianie mebli, ale dopiero na pojutrze. Szybko zanotował namiary, ale rosół nalać nie zdążył, bo nie odłożył jeszcze telefonu, gdy ten zadzwonił ponownie.

– Proszę pana, płacę podwójnie, ale proszę przyjechać natychmiast! Koniecznie z drabiną! Pani Ewelinka mówiła, że ma pan drabinę. Boję się, że Hrabia spadnie! Niech się pan spieszy! Ulica Konwaliowa 12 a, Józefina Klepacka. – W rozkazującym tonie kobiety wyczuwało się zdenerwowanie.

– Konwaliowa 12 a. – Zapisał. – A co się właściwie stało?

– Hrabia nie chce zejść! Włazł na sam czubek!

– Na jaki czubek? – spytał niepewnie, choć właściwie najpierw powinien dowiedzieć się czegoś więcej o hrabim. Może jest wariatem, a może chce przed żoną zmanifestować swą niezależność? Może po prostu ma coś do zrobienia na tym czubku, a kobieta zwyczajnie histeryzuje? W każdym razie ściąganie z jakiegokolwiek czubka faceta, który nie ma zamiaru z niego schodzić, to zadanie dla negocjatora albo sanitariuszy psychiatryka. Ale z drugiej strony w jego sytuacji każde zlecenie było na wagę złota, a zadowolony klient to najlepsza reklama.

– Na czubek drzewa! Jabłoń, jakieś cztery metry!

– A po co ten mężczyzna tam wszedł?

– Jaki mężczyzna? – W jej głosie zabrzmiało coś takiego, że Piotr poczuł się jak półgłówek, który nie może pojąć najprostszych rzeczy. – Kot! Kot wszedł na drzewo! Zdejmie go pan czy nie?

– Już jadę. – Zrobiło mu się naprawdę głupio. Powinien od razu domyślić się, że chodzi o kota, albo przynajmniej jakoś inteligentniej zapytać.

Znalazł Konwaliową 10 i Konwaliową 14, domyślił się więc, że ten stojący między nimi dwurodzinny dom bez numeru to będzie dwunastka. Pozostawało jeszcze tylko rozstrzygnąć, czy 12 a to zielone drzwi po lewej stronie, czy też brązowe po prawej. Przed zielonymi starszy mężczyzna kosił trawnik.

– Dzień dobry – zagadnął Piotr – szukam Konwaliowej 12 a.

Mężczyzna wyłączył kosiarkę i otarł pot z czoła. Mimo upału miał na sobie flanelową koszulę w kratkę i długie spodnie. Zmierzył Piotra zaciekawionym wzrokiem.

– A pan może do kota?

– Do kota – potwierdził Piotr.

– Znowu jej uciekł – mężczyzna uśmiechnął się złośliwie – ale ja się wcale temu kotu nie dziwię, bo ile można wytrzymać ze starą wariatką? Tylko że ja na jego miejscu nie włożyłbym na drzewo, ale spierdalał gdzie pieprz rośnie, żeby mnie baba nie dorwała. Już chyba wszyscy sąsiedzi tego jej kota ściągali z drzewa. Ale żeby choć podziękowała jakoś po ludzku, to nie ma, jeszcze cię opierdoli, że kwiatki podeptałeś albo kota za mocno chwyciłeś. Wredna jędz! – Wyciągnął z kieszeni zgniecioną paczkę papierosów i podsunął Piotrowi. – Proszę.

– Nie, dziękuję, nie palę.

– To będzie tamto wejście. – Wskazał na brązowe drzwi. – Ale skoro kot na drzewie, to ona jest w ogrodzie. Pójdiesz pan ścieżką przy domu, ogród jest z drugiej strony.

– Dziękuję, wezmę tylko z samochodu drabinę i zaraz wracam.

– Ja tam już jej nawet „dzień dobry” nie mówię, bo udaje, że nie słyszy – odezwał się sąsiad Józefiny Klepackiej, gdy Piotr mijał go ponownie – a jak czasami odpowie, to przy tym tak spojrzy na człowieka... no, jak na gówno, co to się do buta przykleiło.

– Mój najukochańszy jedyny koteczku, proszę, zejdź! Zejdź do swojej pańci. Wątróbki ci dam świeżutkiej, pachnącej, popatrz, jaką mamusia ci wątróbkę kupiła, mamusia wie, co Hrabis lubi najbardziej. Niedobry ty, pańcię denerwujesz! Wiesz, że pańcia ma chore serce i zawału może dostać? I kto się wtedy Hrabisem zaopiekuje? No kto? Sąsiedzi niedobrzy, koteczka nie chcą, do schroniska pójdiesz, zobaczysz. Lepiej ty pańci nie denerwuj, zejdź z drzewa, to i wątróbkę będziesz miał i wszystko, co tylko chcesz. Kici, kici... kici, kici, Hrabieńku, chodź do pańci, no chodź!

Piotr najpierw usłyszał głos, a dopiero potem zobaczył niewysoką, przysadzistą kobietę stojącą na taborecie pod drzewem. W wyciągniętej ręce trzymała długi kij z nabitą na końcu wątróbką, drugą ręką podtrzymywała zsuwający się z głowy słomkowy kapelusz. Wiatr podwiewał jej falbaniastą sukienkę, odsłaniając nieopalone, spuchnięte nogi.

Hrabia siedział na najwyższej gałęzi i ze stoickim spokojem oblizywał sobie łapę.

– Dzień dobry – odezwał się Piotr za plecami kobiety.

Józefina Klepacka aż podskoczyła na stołku.

– Przestraszył mnie pan! – zawołała z pretensją w głosie.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

– To chyba oczywiste, że w takiej sytuacji każdy byłby zaskoczony! – Zmarszczyła grubo pociągnięte czarną kredką brwi.

Pod wpływem jej wzroku Piotr poczuł się jak... no, może nie całkiem jak gówno, co się do buta przykleiło, ale prawie.

Przemógł się i widząc, że Józefina Klepacka chce zejść ze stołka, wyciągnął rękę.

– Pomogę pani – zaproponował.

– Poradzę sobie – odpowiedziała wyniośle. – Zazwyczaj radzę sobie sama. A pan niech lepiej zajmie się Hrabią. Tylko ostrożnie, żeby nie zrobić mu krzywdy.

Piotr zacisnął zęby. Wszedł na drabinę. Kot był na wyciągnięcie ręki.

– Kici, kici...

Hrabia ani drgnął. Jego właścicielka, ze złożonymi jak do mod-litwy rękami, błagalnie patrzyła w górę.

– Kici, kici, no chodź tutaj. – Piotr złapał Hrabiego za kark, ściągnął z gałęzi i przycisnął do siebie. Syknął z bólu, bo kot wczepił się w niego pazurami.

– Niech pan uważa! Trochę delikatności! Przecież on się boi! – Józefina Klepacka bezsilnie miotała się pod drzewem. Na przemian łapała się za serce, to znowu chwytiała drabinę i o mało nie wydłubała Piotrowi oka, usiłując podetknąć Hrabiemu kij z wątróbką.

– Proszę odsunąć się od drabiny i dać nam zejść.

Posłuchała. Ale ledwie znaleźli się na ziemi, niemal się na nich rzuciła.

– Moje małeństwo kochane! Ty niewdzięczniku niedobry! Koteczku słodki, nic ci się nie stało? Żeby tak pańcię zdenerwować! Jak mogłeś?! – wykrzykiwała, usiłując oderwać Hrabiego od Piotra. Kot miauczał, wczepiając się jeszcze mocniej. – Co mu pan zrobił, że tak się boi?

– Zdjąłem go z drzewa – Piotr z trudem zachowywał spokój. – Proszę – Podał jej przeraźliwie miauczającego kota.

Co za babsko! Facet miał rację! – myślał Piotr, czekając w ogrodzie na zapłatę. Klepacka miała zostawić Hrabiego w domu i przynieść pieniądze, ale minęło pewnie z dziesięć minut, a jej jak nie było, tak nie było. Piotr zamierzał już iść jej szukać, gdy wreszcie raczyła się zjawić.

– Chyba pan rozumie, że najpierw musiałam zająć się Hrabią. Biedaczek był taki zestresowany. Nawet wątróbki nie chciał jeść. Proszę. – Podała mu pieniądze. – I do widzenia.

– I jak poszło? – Na jego widok sąsiad Klepackiej przerwał koszenie.

– W porządku. Kot uratowany.

– A sąsiadka jak się panu podobała?

Piotr nawet nie próbował odpowiedzieć, tylko uśmiechnął się lekko, ale z jego twarzy mężczyzna wyczytał resztę.

– A nie mówiłem? Sam się pan przekonałeś! Ale pan wrócisz sobie do domu i będziesz miał święty spokój, a ja tu niestety mieszkam.

ROZDZIAŁ 5

– Bardzo panu dziękuję. Teraz to zupełnie inny korytarz – cieszyła się Jagoda Węgielska.
– A pan mąż będzie jeszcze malować? – Umazana dżemem truskawkowym Antosia, czteroletnia córka Jagody Węgielskiej, wychyliła się z kuchni. – Możemy malować kuchnię. Ja panu mężowi pomogę.

– Tosiu, prosiłam, żebyś mówiła do pana: proszę pana albo panie Piotrze – zwróciła jej uwagę mama.

– Ale panie mężu fajniej!

– Niech mówi, jak jej wygodnie. – Piotr uśmiechnął się.

– Dziękuję, panie mężu! – Antosia przytuliła się do Piotra, przy okazji wycierając upaakaną buzię w jego koszulkę.

– Tosiu! Zobacz, co zrobiłaś! – krzyknęła mama.

– Spokojnie, nic takiego się nie stało – odezwał się Piotr. – Koszulka jest i tak do prania.

– Nie chciałam pana męża pomalować dżemem. – Tosia próbowała zabrać się do czyszczenia koszulki umorusanymi łapkami, ale mama zdążyła ją złapać.

– Antosiu, nie! Masz brudne ręce. Chodź szybko do łazienki.

– Nie mów tak bzydko!

– A co ja brzydkiego powiedziałam? – zdziwiła się.

– Ręce!

– Ręce – to jest brzydko?

– Bzydko – potwierdziła Tosia.

– A jak jest ładnie?

– Łapki.

– Antosiu, to są ręce – Jagoda Węgielska złapała córkę za ręce – a czasami mówimy na nie łapki.

– Ja lubię: łapki! – oświadczyła zdecydowanie Tosia.

– No to chodź umyć łapki.

Jagoda Węgielska nie zamknęła drzwi łazienki. Piotr, zbierając z korytarza swoje narzędzia, widział, jak pochyłona nad umywalką odkręca kran, bada ciepłość wody, podsuwa córce mydło, sprawdza, czy dokładnie wypłukała ręce, podaje ręcznik, a w międzyczasie jeszcze odpowiada na pytania, których Antosia miała całe mnóstwo. Codziennosc. Zwyczajna rodzinna scena, żadnej sensacji, nic takiego, co w powszechnym mniemaniu uchodziłoby za intymne, a jednak Piotr czuł się trochę jak podglądacz. Ta zwyczajność fascynowała go w dziwny sposób i nie mógł się oprzeć pokusie podpatrywania. Przez ostatnie dwa dni w tym mieszkaniu (tyle zajęło mu wyrównywanie ścian i malowanie korytarza) kilkakrotnie przeżywał coś podobnego, obserwując Jagodę i jej córkę.

Lubił na nie patrzeć, kiedy były razem, lubił słuchać niekończących się łańcuszków dziecięcych pytań i matczyńskich odpowiedzi. Jagoda traktowała córkę poważnie, cierpliwie tłumaczyła jej świat, jeśli czegoś nie wiedziała, obiecywała, że sprawdzi, a potem sumiennie sprawdzała i odpowiadała na pytanie. Kiedy Antosia ze skrzywioną miną mówiła, że się nudzi, wymyślała różne zabawy. A dziewczynka nudziła się często, ponieważ od tygodnia była uwięziona w domu przez chorobę. I mama razem z nią. Gorączka już Tosi przeszła, więc w łóżku leżeć nie musiała, ale do przedszkola nie chodziła, nie wychodziła na dwór i nie spotykała się z koleżankami, nic więc dziwnego, że bywała marudna i nie bardzo wiedziała, co zrobić z nadmiarem energii. Mama grała z nią w gry planszowe, czytała książki, bawiła się

w przedszkole dla misiów, budowała namiot z krzeseł i lepila ludziki z plasteliny, wykazując przy tym anielską niemal cierpliwość. Miała w sobie coś ciepłego, miękkiego, co sprawiało, że Piotr bez trudu wyobrażał ją sobie otoczoną gromadką dzieci na przykład w przedszkolu lub w szkole i był bardzo zaskoczony, gdy dowiedział się, że jest księgową. Jagody przy biurku zasłanym stosami faktur nijak nie mógł sobie wyobrazić.

– Fajne są te twoje podusecki – stwierdziła Antosia, wtulając się w maminy biust, i Piotr całkowicie się z nią zgadzał. – Nie puszcę cię!

– Puść, Antosiu, puść. – Kobieta delikatnie próbowała się wyswobodzić.

– Nie puszcę!

Piotr słuchał tych przekomarzanek i niespodziewanie stanęła mu przed oczami inna scena gdzieś chyba sprzed dwóch lat.

Tam w parku też była matka i dziecko – chłopiec trochę mniejszy od Tosi – biegał po trawie za piłką, a matka go obserwowała. W pewnej chwili maluch zostawił piłkę i podbiegł do matki. Kobieta chwyciła go w objęcia i kręciła się z nim w kółko, a chłopiec śmiał się i piszczał z radości.

Karolina też była wtedy w parku. Siedziała na ławce, czekając na Piotra. Wyjęła książkę z torebki, ale jej nie otwierała. Całą jej uwagę pochłaniało dziecko.

Nie zauważyła nadchodzącego Piotra. Na szczęście. Mógł się wycofać, zanim go dostrzegła i przeczekać. Aż matka z dzieckiem sobie pójdą, a oczy Karoliny odzyskają normalny wyraz. Nie wiedział, że aż tak cierpi. A może po prostu nie chciał wiedzieć. Przecież nic nie mógł poradzić na ten ból. Stchórzył. Powinien był do niej podejść, przytulić, pocieszyć... ale jak miał pocieszać, skoro sam stracił nadzieję. Ona chyba też. Nie rozmawiali o tym. Ukryty ból łatwiej było znieść. Tak mu się wydawało. Czy Karolina też tak myślała?

– Przepraszam, powinnam najpierw pana puścić do łazienki, ale wizja dżemu na świeżo malowanych ścianach przeważała nad zasadami dobrego wychowania. Wypiorę panu tę koszulkę.

– Ja! Ja wypiorę panu mężowi! – zgłosiła się ochoczo Tosia.

– Ja sam wypiorę. A dla ciebie, Antosiu, mam specjalne zadanie. – Piotr ukucnął koło dziewczynki. – Chcesz zostać strażniczką?

– Nooo! A gdzie mam strazować?

– Będziesz strażniczką korytarza – oznajmił uroczyście Piotr. – Zobacz, jakie ściany są teraz czyste i jak ładnie wyglądają. Trzeba pilnować, żeby nikt ich nie dotykał brudnymi paluchami, a najlepiej żeby nikt ich nie dotykał w ogóle, bo ściany tego nie lubią. Będziesz pilnowała?

– Będę! Mamo, jestem strażniczką! Jestem strażniczką korytarza! – Dziewuszka podskakiwała z przejęcia. – Nie możesz dotykać ścian i mas myć łapki!

– Ma pan do niej podejście. Pewnie wypraktykowane na własnych dzieciach? – Mama Antosi uśmiechnęła się.

– Nie mam dzieci. – Piotr chciał, żeby zabrzmiało to obojętnie, ale chyba nie bardzo mu się udało.

– Przepraszam. To jak, mogę na pana liczyć, jak przyjadą te nowe meble? I kuchnię przydałoby się odświeżyć, ale to już w jakimś późniejszym terminie. – Jagoda Węgielska potokiem słów próbowała pokryć zmieszanie.

– Oczywiście, że może pani na mnie liczyć. Jeśli tylko będę potrzebny, proszę dzwonić.

– Mam hełm! Mam hełm! – Antosia przybiegła z kuchni w garnku na głowie. – Jestem strażniczką!

Jak na pierwszy tydzień całkiem nieźle – pomyślał Piotr, zbiegając po schodach.

W pamięci miał pożegnalny uścisk Antosi i jej słowa: „lubię cię, panie mężu”, a w kieszeni zapłatę za dwa dni pracy. Między ściąganiem nietoperza z sufitu i kota z drzewa a malowaniem korytarza trafiło mu się jeszcze kilka zadań – układanie listew wykończeniowych przy panelach, podłączenie pralki, przestawianie mebli, montaż okapu kuchennego, wymiana uszkodzonych kafelków na tarasie. Osiem zleceń, z tego trzy dzięki pośrednictwu Eweliny Czyżyk, dwa z internetu i trzy z ogłoszeń w mieście. Całkiem obiecujący początek.

Wsiadł do samochodu. Po drodze miał jeszcze wstąpić do salonu kosmetycznego z ulotkami, bo Ewelina Czyżyk dzwoniła, że te, które od niego dostała, rozeszły się jak świeże bułeczki, panie były zaintrygowane i na pewno niejedna skorzysta z jego usług choćby z ciekawości.

– Witamy pogromcę nietoperzy! – wykrzyknęła Ewelina w odpowiedzi na „dzień dobry”, a Piotr poczuł na sobie zaciekawiony wzrok kobiet, i tej w jasnofioletowym fartuszkun wyjmującej z pudła jakieś kosmetyki, i klientki siedzącej w poczekalni, która podniosła głowę znad notesu.

– A, to pan – ucieszyła się kobieta w fartuszkun – Ewelinka nam tu legendy o panu opowiadała. Barbara Sosnowski – przedstawiła się, podając mu rękę – nie Sosnowska, tylko Sosnowski, proszę pamiętać.

Miała ciemne, błyszczące oczy i dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechała.

– Pogromca nietoperzy? – zaciekawiła się klientka z notesem. Piotr zastanawiał się, kim mogła być. Lubił tak przypatrywać się spotykanym ludziom i zgadywać, co też mogą w życiu robić. Czasami udało mu się odgadnąć, czasami nie, najczęściej po prostu nie miał możliwości sprawdzenia, czy jego przypuszczenia są słuszne. A teraz zaintrygowała go ta kobieta; szlachetne rysy, orzechowe oczy, opadające na ramiona ciemnoblonde włosy. I na dodatek jeszcze ten notes... nie wyglądał na terminarz ani zeszyt z przepisami. Gdyby miała przed sobą czasopismo, których cały stos leżał na stoliku, mógłby przypuszczać, że robi notatki z artykułu. Ale najwyraźniej pisała coś z głowy.

– Tak, pani Jolu. Ten pan jest mężem zastępczym – odezwała się Ewelina – ale to nic z tych rzeczy, o których pani myśli – dodała szybko, widząc zmianę wyrazu twarzy swojej rozmówczyni. – Pan Piotr wykonuje różne prace, jakie zazwyczaj w domu robi facet; naprawy, przesuwanie mebli, transport, no i jeszcze zlecenia nietypowe. I właśnie u mnie łąpał nietoperza, który koniecznie chciał ze mną zamieszkać. Ten nietoperz znaczy się. A pan Piotr skutecznie mu to wyperswadował.

– Zlecenia nietypowe... – Pani Jola wpatrywała się w Piotra badawczo. – Czy mogę prosić o wizytówkę? Może będę miała coś dla pana.

Piotr wyszedł z salonu kosmetycznego, gwizdząc *We are the champions*. Barbarze Sosnowski spodobała się jego propozycja współpracy i wzajemnych zniżek dla klientów, a pani Jola na jego „do widzenia” odpowiedziała „do zobaczenia”. Bardzo był ciekaw, jakie nietypowe zlecenie chce mu powierzyć.

Podbudowany małymi sukcesami tego pierwszego tygodnia postanowił zmienić taktykę rozwieszania ulotek. Niby dlaczego miał się przejmować, czy ktoś obserwuje go, czy nie. Ostatecznie nie miał się czego wstydić. Powinien nawet chcieć, żeby ludzie zaglądali mu przez ramię, wtedy może ktoś go zagadnie o coś, zapyta, a przecież kontakt z człowiekiem daje więcej niż ulotka. Jest okazja, żeby wyjaśnić wątpliwości, zachęcić. Poza tym Piotr zauważył, że sam też niekoniecznie czyta wszystkie ogłoszenia, natomiast jeśli widzi kogoś wieszającego ulotkę, zawsze sprawdza, co to takiego. Miał nadzieję, że inni reagują podobnie.

Zaczął od osiedli Kwiatowego i Piastowskiego. Oba miały dwie zalety; po pierwsze – znajdowały się niedaleko jego domu, a po drugie – były duże. Piotr był tam już kilka dni temu,

a teraz chciał sprawdzić, czy jego ogłoszenia jeszcze wiszą.

Gdybym tak od jednego mieszkańca z każdej klatki schodowej dostał po jednym zleceniu, miałbym co robić przez dłuższy czas – rozmarzył się, zdejmując naderwaną ulotkę i na jej miejscu przyczepiając nową. Trochę był zaskoczony, że na Kwiatowym większość ogłoszeń przetrwała, natomiast na Piastowskim z kilkunastu ogłoszeń zostało tylko jedno.

Rozwiesił ulotki, wrócił do domu, zrzucił buty i zamierzał pogрузić się w słodkim lenistwie, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

– Proszę pana, to taka nietypowa sprawa – odezwał się trochę zawstydzony dziewczęcy głos.

– Tak, słucham?

– Bo widzi pan, ja wychodzę za mąż. I właśnie mierzę ślubną suknię. A wie pan, że w ślubnej sukni nie można pokazywać się narzeczonemu, bo to źle wróży na przyszłość?

– Nie wiedziałem. – Piotr nie mógł sobie przypomnieć, czy Karolina pokazywała mu suknię przed ślubem, czy nie.

– No i właśnie zamek mi się zaciął, boję się, że go zepsuję, koleżanka wyjechała, a ja tu nikogo nie znam, bo dopiero się przeprowadziłam. To nowe osiedle domków, dopiero się budują, poza tym nie mogę przecież w tej sukni po osiedlu latać, nawet drogi jeszcze nie ma, tylko wykopy wszędzie, a narzeczoney za jakąś godzinę wraca z treningu karate i sam pan rozumie, że nie mogę tak mu się pokazać! Bardzo proszę, niech pan szybko przyjedzie!

Piotrowi przypomniał się dowcip o fachowcu, który zamontował u klientki szafę wnękową. Kobieta mieszkała przy ruchliwej ulicy i kiedy przejechał tramwaj, szafa się rozpadła. Monter przyjął reklamację, złożył szafę na nowo, ale przy następnym przejeżdżającym tramwaju sytuacja się powtórzyła. Fachowiec, nie rozumiejąc, jak to możliwe, wszedł do szafy, żeby od środka zaobserwować, co się dzieje. Tymczasem wrócił mąż klientki, otworzył szafę i krzyknął: „Co pan tu robisz?”. Na to monter: „Wal pan w mordę od razu, bo jak powiem, że czekam na tramwaj, to i tak pan nie uwierzysz”.

Gdyby tak ten karateka zastał go przy rozpinaniu zamka sukni ślubnej swojej narzeczonej, pewnie też najpierw by walił, a potem dopiero pytał...

– Pomoże mi pan? Niech pan tylko nie odmawia, błagam!

– A co na to pani narzeczoney?

– On się nie może o niczym dowiedzieć! Musimy zdążyć, zanim wróci!

Piotr nie miał najmniejszej ochoty pakować się w kłopoty, ale głupio mu było odmówić dziewczynie w potrzebie. No i przy okazji wyjść na tchórza.

– A gdzie pani jest?

– Uff! Zgodził się pan! Dzięki! Mieszkam na Okrągłej, wie pan, gdzie to jest?

Wiedział. Dojazd zajmie jakieś niecałe czterdzieści minut. Powinien zdążyć przed facetem.

– A jaki numer?

– Jeden-jeden! – wykrzyknęła triumfalnie. – Remis!

Połączenie zostało przerwane.

W pierwszej chwili Piotrowi przyszło do głowy, że dziewczyna ogląda jakiś mecz i wynik tak ją ucieszył, że z wrażenia upuściła telefon albo rozłączyła się przez przypadek. Co prawda nie wyobrażał sobie, jak można robić dwie rzeczy jednocześnie, on nie potrafiłby skoncentrować się na mierzeniu ślubnego garnituru i oglądaniu meczu, ale podobno kobiety mają podzielną uwagę. A poza tym jeśli ona była zapalonym kibicem, a transmisja akurat zbiegła się w czasie z nieobecnością narzeczonego, nic dziwnego, że próbowała połączyć te dwie rzeczy.

Piotr włożył buty, wrzucił do kieszeni kluczyki i dokumenty i czekał na sygnał. Trzy

minuty powinny wystarczyć na włożenie baterii i ponowne uruchomienie telefonu, tymczasem minęło siedem, a komórka milczała.

Może aparat uszkodził się w czasie upadku, a może specjalnie zakończyła rozmowę, bo narzeczony wcześniej wrócił, ale to już nie moja broszka – pomyślał, bez żalu wrzucając kluczyki i dokumenty z powrotem do szuflady.

*

– A, to pan! Spodziewałam się pana trochę później. – Jolanta Czernik spojrzała na Piotra nieco nieprzytomnym wzrokiem. Włosy miała w nieładzie, rumieńce na twarzy, a w ręku trzymała jakiś zwinięty kawałek czarnego materiału.

– Umawialiśmy się między osiemnastą a dziewiętnastą.

– A to już osiemnasta? Naprawdę? – Kobieta szerzej uchyliła drzwi. – Proszę wejść.

– Dochodzi dziewiętnasta. – Piotr uśmiechnął się, zerkając na zegarek.

– Ojej, zupełnie straciłam poczucie czasu! Tu jest kuchnia, proszę sprawdzić zawiasy w szafkach i szuflady, z tymi dwoma są kłopoty. – Wskazała szuflady na dole. – A tu znajdzie pan nowe uchwyty. – Wskazała tekturowe pudełko stojące na blacie.

Piotr rzucił na nie okiem, ale o wiele bardziej intrygowała go czarna szmatka, którą kobieta nerwowo mięła w ręce. Majtki? Chustka? Ściereczka?

– Muszę pana zostawić na chwilę, bo mi ucieknie. Będę w pokoju obok.

Piotr nie wiedział, co mogło jej uciec, ale ostatecznie nie musiała mu się przecież tłumaczyć. Zabrał się do roboty. Właściwie kiedy Jolanta Czernik zadzwoniła, przypominając, że dał jej wizytówkę w salonie kosmetycznym, spodziewał się jakiegoś ambitniejszego zadania, a tu zwyczajne zawiasy i uchwyty.

Szybko uporał się z robotą.

– Pani Jolanto, finisz! – zawołał, przykręcając ostatni uchwyt.

Jego słowa nie wywołały żadnego odzewu.

– Już gotowe, pani Jolanto! – zawołał głośniejszym głosem, lecz właścicielka mieszkania nie reagowała. Odczekał chwilę i podszedł do uchylonych na jakieś dwa centymetry drzwi pokoju. Z dochodzącej z pomieszczenia mieszaniny odgłosów wyłowił czyjś przyspieszony oddech, gwałtowne uderzenia w klawiaturę i przyciszoną muzykę w tle. Dźwięki w powiązaniu ze wspomnieniem czarnej tkaniny w ręku Jolanty Czernik i dziwnego przywitania nasuwały Piotrowi jednoznaczne skojarzenia. Tylko stukot klawiszy był pewnym dysonansem i nijak nie dawał się wkomponować w sceny podsuwane przez wyobraźnię.

Piotr nie bardzo wiedział, jak się zachować. Po chwili wahania zapukał. Nic. Zapukał mocniej. Pod naciskiem palców drzwi uchyliły się i Piotr ujrzał scenę, która przerastała jego wyobrażenia.

Widział profil Jolanty Czernik, a właściwie jedynie jej nos, bo resztę zasłaniała czarna kominiarka. Kobieta siedziała przy biurku. Uderzając w klawisze komputera, wyglądała jak natchniony pianista wydobywający z instrumentu najpiękniejsze dźwięki. Dyszała ciężko. Miał wrażenie, że jest wyczerpana, ale siłą woli pokonuje opór ciała. Momentami zatrzymywała się, gubiła rytm, ale zaraz odnajdywała go, palce na nowo podejmowały szaleńczy taniec po klawiaturze, a Piotr patrzył jak zahipnotyzowany. Aż wreszcie ręce znieruchomiały, oddech się uspokoił, kobieta zdjęła kominiarkę. Otarła pot z czoła. Schowała twarz w dłoniach i chwilę tak siedziała. Chyba wyczuła czyjąś obecność, bo odwróciła się w stronę drzwi. W pierwszej chwili spojrzała na Piotra, jakby nie miała pojęcia, kim on jest i skąd się tu wziął, ale zaraz zobaczyła w jej oczach błysk przypomnienia.

– A, to pan! – powtórzyła te same słowa, którymi go przywitała.

– Skończyłem właśnie pracę, uchwyty zamontowane, szafki nie będą się już same otwierać i z szufladami też nie będzie miała pani kłopotu. Proszę sprawdzić. – Widząc zakłopotanie kobiety, Piotr próbował jej jakoś pomóc. Sam też był zakłopotany, ale tłumaczenie się, że najpierw wołał, a potem pukał, nawet dwa razy, drzwi same się uchyliły i naprawdę nie miał zamiaru jej podglądać, pogłębiłoby jeszcze wzajemną konsternację, wobec tego udawał, że nic się nie stało.

Patrzyła na niego z wahaniem, aż wreszcie chyba podjęła jakąś decyzję, bo napięcie z jej twarzy znikło. Uśmiechnęła się.

– Profesjonalista z pana. Ma pan taką minę, jakby kominiarka była standardowym nakryciem głowy podczas pracy przy komputerze.

– Standardowe czy niestandardowe to nieważne. Ja swoje zadanie wykonałem, a kominiarka, melonik czy pletwy to już nie moja sprawa.

– No tak... – Jolanta Czernik wyglądała na zadowoloną z jego odpowiedzi. – To pierwsze zlecenie to był tylko pretekst. Ale zanim dam panu następne, muszę coś wyjaśnić. Proszę usiąść.

– Podsunęła mu krzesło. – Czy obowiązuje pana tajemnica zawodowa?

– Ależ oczywiście. – Usiadł na brzeжку krzesła, niepewny, dokąd prowadzi ta rozmowa.

– Widzi pan, ja jestem pracownikiem naukowym, matematyka mnie pasjonuje, lubię swoją pracę, ale zawsze chciałam napisać kryminał. No i właśnie piszę... – Zarumieniła się. – Może to śmieszne, ale kominiarka pomaga mi wczuć się w atmosferę książki. Gdyby rodzina kręciła się po domu, głupio byłoby tak siedzieć przy biurku w kominiarce, więc męża z dziećmi wysłałam na wakacje. Ta książka to moja tajemnica. Oni myślą, że piszę pracę naukową. Jeśli się uda i znajdę wydawcę, to im powiem. A jeśli nie, to się nie dowiedzą. Rozumie pan, że w tej sytuacji nie mogę prosić o pomoc przy książce męża ani znajomych. I dlatego właśnie zwróciłam się do pana.

– Ja mam pani pomóc pisać książkę? Przecież ja się kompletnie na tym nie znam!

– No, niezupełnie pisać. Potrzebna mi pańska pomoc, żeby sprawdzić różne rzeczy. Widzi pan, ja jestem dokładna, może dlatego, że jestem matematyczką, w każdym razie nie chcę popełnić jakiegoś błędu. Akcja dzieje się w konkretnym miejscu, tu, w mojej dzielnicy. Proszę spojrzeć w okno. Widzi pan bank WBK tu po prawej?

– Widzę.

– No więc mój bohater biegnie z tego banku na ulicę Szewską 5 i chowa się tam na strychu. I to byłoby właśnie zadanie dla pana – sprawdzić, ile czasu to zajmuje. Może to pan zrobić?

– Nie wiem, czy moje wyniki będą miarodajne. Wie pani, ostatni raz biegałem chyba w szkole.

– To dobrze, bo mój bohater również – ucieszyła się Jolanta Czernik. – To jak, zgadza się pan?

– Zgadzam.

– Niech pan biegnie najszybciej, jak pan może. Gonią pana. To bieg o życie. – Sięgnęła do biurka. – Proszę, a to klucz od strychu.

– Mam tam wejść?

– Tak. Proszę zanotować, ile minut pan biegł, a kiedy już znajdzie się pan na strychu, proszę się skupić na swoich wrażeniach. I jeszcze jedno. Odszuka pan na tym strychu małą metalową szkatułkę. Proszę mi ją przynieść.

– A gdzie ją znajdę?

– Nie podpowiem panu. – Uśmiechnęła się. – Proszę poszukać. I zapamiętać swoje odczucia.

Na początku to było całkiem zabawne doświadczenie. Do czasu, gdy w biegu Piotr niechcący lekko potrącił jakiegoś przechodnia. Przeprził, nie zatrzymując się. Ale wytatuowanemu facetowi najwidoczniej to nie wystarczyło. Rzucił się za nim w pogoń. Piotr, lekceważąc czerwone światło, przebiegł tuż przed nadjeżdżającym tramwajem. Strach dodawał mu sił. Nie miał pojęcia, czy prześladowca dalej go goni, czy też zrezygnował z pościgu. Dyszał ciężko, a serce waliło mu jak szalone. Wreszcie dopadł bramy przy Szewskiej 5. Przeskakując po dwa stopnie, dotarł na strych. Zamknął za sobą drzwi na klucz i nasłuchiwał. Na schodach było cicho. Piotr odetchnął z ulgą. Dopiero teraz przypomniał sobie, że miał sprawdzić czas. Od siedmiu minut i piętnastu sekund, które pokazał stoper, odjął dwie minuty, bo mniej więcej tyle czasu upłynęło, od kiedy znalazł się na strychu. Serce i oddech powoli uspokajały się. No tak, jeszcze szkatułka. Brnąc w kurzu i przedzierając się przez pajęczyny, zaglądał w różne kąty, odsuwał stosy gazet, otwierał pudła i szafki, przewracał stosy szmat, a kiedy dostrzegł ją wreszcie na ukośnej belce pod sufitem, cieszył się jak dziesięciolatek, który znalazł skarb.

Jolanta Czernik zrobiła mu herbatę i z uwagą wysłuchiwała relacji. Na wieść o facecie, który gonił Piotra, najwyraźniej się ucieszyła.

– Przepraszam pana za moją reakcję, ale na szczęście jest pan cały i zdrowy, więc wszystko skończyło się dobrze, a to co pan przeżył podczas biegu, przypomina przeżycia mojego bohatera – usprawiedliwiała się, widząc jego minę. – Proszę opisać mi wszystko bardzo dokładnie.

Opisywał więc, a ona notowała.

– Z nieba mi pan spadł! – wykrzyknęła Jolanta Czernik, gdy kończyli rozmowę. – Świetnie pan opowiada! Czuję, że dzięki temu moja książka nabierze rumieńców. A czy mogłabym teraz pana zwięzać, zakneblować i popatrzeć, jak się pan uwalnia z więzów?

ROZDZIAŁ 6

– Pan mąż! Pan mąż psysedł! – Antosia rzuciła się Piotrowi na szyję. – Będziemy śrubokręcić safki. Ja mam śrubokręt! A ty mas?

– Pewnie, że mam. Cóż to byłby ze mnie za fachowiec bez narzędzi? – Piotr zaśmiał się.

– Antosiu, a chcesz poznać pewną tajemnicę?

– Pan mąż powie mi tajemnicę? – Dziewczynka wstrzymała oddech z przejęcia.

– Powiem. To jest tajemnica, którą musi znać prawdziwy majster. Chcesz być prawdziwym majstrem?

– Jak pan mąż?

Piotr uśmiechnął się.

– Tak.

– Chcę! Chcę! – Tosia podskakiwała niecierpliwie.

– Pokaż mi to. – Piotr wziął z rąk dziewczynki narzędzie. – Ludzie mówią, że to jest śrubokręt. Ale majster nie powie „śrubokręt”, tylko wiesz jak?

Antosia pokręciła głową, że nie wie.

– Wkrętak. Będziesz pamiętała?

– Wkrętak – powtórzyła z nabożeństwem Tosia. – Mamo, to jest wkrętak, nie śrubokręt, wiesz?! Pan mąż powiedział mi tajemnicę. Jestem majstrem! Jak pan mąż!

Mama Antosi uśmiechała się, ale w jej oczach Piotr dostrzegł nutkę żalu.

– A jaką twój wkrętak ma rączkę? Bo mój cerwoną!

– Jeden ma czerwoną, drugi zieloną, trzeci żółtą, a jakie reszta to sama sprawdzisz. – Piotr powoli stopniując napięcie, otwierał walizkę z narzędziami.

– Ale fajne! Mogę się pobawić? – Dziewczynka spojrzała błagalnie na Piotra.

– Możesz, tylko ostrożnie i nie porozrzucaj narzędzi.

Dźwięk, który się rozległ, gdy Antosia schylała się po wkrętak, wywołał rumieniec na twarzy jej mamy.

– Tosiu, chodź na chwilkę. – Wzięła dziecko na bok i szepnęła: – Antosiu, jak puścisz bąka, trzeba powiedzieć „przepraszam”.

– Przepraszam, bąku! – zawołała Tosia i pobiegła do walizki z narzędziami.

Skręcanie mebli trwało kilka godzin, a dziewczynka nie odstępowała Piotra ani na krok. Stękając z wysiłku, dzielnie wkręcała śruby imbusem. Na kolację zażądała kielbasy na gorąco jak pan mąż zamiast mleka z płatkami, które jadała zazwyczaj. Nie chciała iść spać i w końcu przy skręcaniu ostatniej szafki zasnęła na podłodze, przytulając do policzka klucz imbusowy.

– Może ja zaniosę ją do łóżka? – zaproponował Piotr.

– Jeśli pan chce, proszę bardzo. Chociaż taka czterolatka to już trochę waży.

Piotr próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio trzymał na rękach dziecko. Kilka lat temu na imprezie rodzinnej czwórka dzieci kuzynki usiłowała jednocześnie wdrapać mu się na kolana, a on próbował uchronić swoją koszulę przed łapkami wymazanymi czekoladą.

Podniósł Tosię z podłogi. Wydała mu się bardzo lekka, ale przecież nie miał porównania, bo nie nosił jej, kiedy była malutka i nie widział, jak rosła. Dziewczynka mruknęła coś przez sen i wtuliła ciepłą główkę w jego ramię. Pachniała dzieckiem. Ten zapach, którego nie umiał inaczej nazwać ani rozłożyć na czynniki pierwsze, budził w nim jakąś nieokreśloną tęsknotę...

Delikatnie położył dziewczynkę na łóżku, a potem patrzył, jak mama wyjmuje z jej rąk klucz imbusowy i zamiast niego wkłada misia, odgarnia włosy z czoła małej, całuje w czoło i gasi światło.

Codziennosc, ktorej nie dane mu bylo doswiadczyc...

– Juz koncze. Jeszcze tylko sprzane, pochowam narzedzia i gotowe. – Piotr slowami probowal pokryc wzruszenie. – Pientascie minut i finisz.

– Wobec tego kroje ciasto, zaparzam herbate i czekam na pana.

Czekala w polaczonej z kuchnia jadalni. Ciasto z wisniami bylo jeszcze cieple, a herbata z konfiturami przypomniala Piotrowi listopadowe wieczory, kiedy przybiegal przemarzniety do domu i grzal rece kubkiem herbaty z wisniowym sokiem z babcinej spizarni. Jagoda Węgielska tez robila przetwory. Na kuchennej szafce staly trzy rzadki slockow wypelnionych konfiturami i sokami. Pani domu siegnela po jeden z nich i podala Piotrowi.

– Proszę, to dla pana.

– Dziękuję bardzo. – Piotr zerwal sie z krzesla. – Juz sie zbieram.

– Alez nie – mieszala sie gospodyni. – Proszę jeszcze nie uciekac. Daje panu teraz, zeby potem nie zapomniec. Proszę sie jeszcze poczestowac.

Piotr lubil slodycze, a ciasto bylo naprawde pyszne, wiec chętnie siegnal po nastepny kawalek. I wlasnie wcale mu sie nie spieszylo. Dobrze mu bylo w tym domu pachnącym ciastem i nowymi meblami, gdzie wszystko mialo swoje miejsce. Podziwial Jagode Węgielska, ktora samotnie wychowywala dwie corki (Ada – trzynastolatka – nocowala dzisiaj u kolezanki), pracowala, dbala o dom, gotowala obiady, piekla ciasta i robila przetwory, czytala ksiazki, uczyla sie angielskiego, a ostatnio zapisala sie na kurs nurkowania. Nie mial pojecia, jak ona to wszystko potrafi pogodzic i zmiescic w grafiku. Powiedzial jej o tym, bo uwazal, ze negatywne opinie czasami warto zachowac dla siebie, ale dobrymi zawsze nalezy sie dzielic.

Zarumienila sie i rzekla:

– To sie tylko tak wydaje, ze wszystko gra. Dziewczynkom brakuje ojca, a ja... – Dziobala ciasto widelcem. – Jutro mielibyśmy czternasta rocznice slubu... Czasami myslę, ze glupio zrobilam. Nie walczyłam. – Westchnela. – Moze gdybym sprbrowala... Nie chcialam. Nie umialam wybaczyc. Kiedy czlowiek zaufa, staje sie bezbronny. Nawet mi do glowy nie przyszlo, ze mogly mnie zdradzic. Wydawalo mi sie, ze tak dobrze go znam. Ostatecznie byliśmy malzenstwem od ponad dziewieciu lat. Przepraszam pana, nie powinnam...

– Proszę mówić. Będzie pani lzej...

Siegnela po dzbanek z herbatą i dolala do obu kubkow.

– Moze gdyby to sie stalo w innym czasie... Nie wtedy, gdy bylam w ciazy... „Cud, ze pani donosila to dziecko” – powiedzial moj ginekolog, gdy urodzilam Antosie i okazalo sie, ze dziecko dostalo osiem punktow w skali Apgar. Tomek czekal pod drzwiami, ale nie chcialam go widziec. Juz nie. – Oparla glowe na rece i patrzyla gdzieś w dal.

– Ciaza od poczatku byla zagrozona. Musialam lezec, na przemian w szpitalu i w domu, o jakichkolwiek zblizeniach w ogole nie bylo mowy. Wiem, ze jemu tego brakowalo. Mnie czasami tez, ale dziecko przeciez bylo wazniejsze. Nie rozumial tego?! Nie mogl wytrzymac tych kilku miesiecy?! To bylo takie banalne – wyjazd sluzbowy, troche za duzo alkoholu i chętna panienka. Szczupla, bez rozstepow i plam ciazowych. Gotowa na wielokrotny seks w roznych pozycjach. Sklonna do eksperymentow. A ze inteligencja zblizona do blondynek z dowcipow to niewazne. W pewnych sytuacjach inteligencja ma drugorzędne znaczenie. Czy byla tak glupia, czy chciala, zebym sie dowiedziala? A moze to mnie uwazala za glupia? Wlasnie miala troche racji. Bo kiedy zadzwonila na telefon stacjonarny, pytajac o Tomka, i dowiedziawszy sie, ze go nie ma, poprosila, zeby przekazac podziekowania za kolezanska pomoc w czasie wyjazdu, niczego sie nie domyslilam. Dopiero gdy zobaczylam reakcje mojego meza na wiadomosc o telefonie, cos mnie tknelo. Zapytalam, w czym jej pomogl. Mieszal sie, mruknal cos o samochodzie i wyszedl. Probowalam nie analizowac jego reakcji, przekonywalam sama siebie,

że na pewno nic się nie stało, ale podejrzania nie dawały mi spokoju. Tomek mnie unikał, tłumacząc się pracą, uciekał wzrokiem przed moim spojrzeniem i był chętny jak nigdy do załatwiania różnych spraw poza domem. Wreszcie spytałam wprost. – Zaśmiała się gorzko.

– Niby chciałam znać prawdę, ale wcale nie byłam na nią gotowa. Kajał się, przeproszał, obiecywał, że nigdy więcej, usprawiedliwiał się, że to przez alkohol, a ta dziewczyna nic dla niego nie znaczy, nie widuje się z nią i gdyby mógł cofnąć czas, przecież tylko mnie naprawdę kocha... Nie mogę się denerwować, nie mogę się denerwować, powtarzałam sobie, bo dziecko rzuciło się niespokojnie i ja też czułam się jakoś dziwnie. On ciągle mówił i mówił, widziałam ruch jego ust, słyszałam jakieś dźwięki, ale ich znaczenie już do mnie nie docierało. Zemdlałam. Znowu trafiłam do szpitala i zostałam tam do porodu. Męża nie chciałam widzieć. Nie potrafiłam przebaczyć. Nie chciałam. Nie mogłam mu ufać, a bez zaufania nie wyobrażałam sobie wspólnego życia. „Ależ z ciebie idealistka – mówiła mi siostra – każdy facet zdradzi, jak trafi mu się okazja. Biologia, instynkt, dążenie do przedłużenia gatunku – to silniejsze od nich. Samiec jest poligamiczny z natury. Jak się z tym pogodzisz, będzie ci lżej. I jeszcze jedno warto wiedzieć. Samiec jest leniwy, więc mądra kobieta dba o to, żeby nie musiał szukać poza domem tego, co może dostać w domu. Jak ma blisko, nie będzie szukał daleko. Instrukcja obsługi faceta jest prosta – należy dbać o niego i uważać, żeby nie miał okazji do zdrady. Żony dzielą się na te, które zostały zdradzone, te, które będą zdradzone, oraz te, które mają cholerne szczęście, bo chłop nie trafił na odpowiednią okazję. Masz dzieci, o nich musisz myśleć. No i o sobie też. Sama je będziesz wychowywać czy z dwójką dzieci szukać nowego faceta? Pokazałaś chłopu, że jesteś honorowa, wzbudziłaś wyrzuty sumienia i dość. Teraz możesz okazać wspaniałomyślność. Wybacz mu, a po stopach cię będzie całował – przynajmniej przez jakiś czas”. Nie posłuchałam jej. Nie wybaczyłam. – Zamyśliła się. – Ale czasami przychodzi mi do głowy, że to było z mojej strony tchórzostwo, że poszłam na łatwiznę, że powinnam dać nam jeszcze jedną szansę. Choćby ze względu na dzieci i na te wspólne ponad dziewięć lat. – Ukryła twarz w dłoniach. – Właściwie sama nie wiem, czemu panu to mówię. Nigdy nie rozmawiałam o takich rzeczach z mężczyzną. Zresztą z kim miałam rozmawiać? To nie jest temat na rozmowę z bratem ani z mężami koleżanek. Niech mi pan powie, czy rzeczywiście tak jest? Instynkt, biologia, okazja i to wszystko tłumaczy? A rozum i wola?

Piotr westchnął.

– Wie pani, ponad rok pracowałem za granicą. Było nas kilku w brygadzie. Całe szczęście, bo chociaż po polsku dało się pogadać. Ale ta tęsknota... Ciągle śniła mi się żona. Budziłem się i szukałem jej w łóżku. Znajdowałem pustkę. Gryzłem poduszkę, żeby nie krzyżeć. Niejeden raz miałem ochotę rzucić to wszystko i wyjechać. Koledzy różnie sobie radzili. Dyskoteki, przelotne znajomości, pornosy, alkohol albo praca do upadłego. Kiedyś poszliśmy do pubu. Przy sąsiednim stole siedziały Polki. Kumpel je zagadnął. Złączyliśmy stoliki. Ewa pachniała podobnie jak Karolina. Pewnie po prostu używała tych samych perfum. Usiadła koło mnie. Kiedy spadła jej na ziemię łyżeczka, schyliliśmy się po nią niemal równocześnie. Włosy Ewy prześliznęły się po moim udzie. Straciłem głowę. Byłem napalony jak nastolatek. Chyba ją to bawiło. Powiedziała, że musi już iść i spytała, czy ją odprowadzę. Nie mogłem przecież odmówić kobiecie. Zresztą wcale nie chciałem odmawiać. Gotów byłem iść za nią nawet i do piekła. Gdzieś z tyłu głowy włączył mi się alarm, ale udawałem, że go nie słyszę. Dopiero zimne powietrze otrzeźwiło mnie trochę. Nie, nie mogłem tego zrobić Karolinie. Skończyło się na tym, że rozstaliśmy się pod domem Ewy. Nic nie powiedziała, ale wiedziałem, że jest na mnie zła, żałuje, że niepotrzebnie tak szybko opuściła imprezę i uważa mnie za dupka. – Zaśmiała się gorzko. – To prawda, że nie zdradziłem Karoliny, ale niewiele brakowało. Nie piję, mam uczulenie na alkohol. Ale gdybym pił, gdyby doszedł jeszcze ten jeden czynnik osłabiający

kontrolę, czy wystarczyłoby mi siły woli?

Przez chwilę oboje milczeli.

– To Karolina mnie zostawiła. Odeszła do innego. Najwidoczniej coś w naszym związku się zepsuło, a ja głupi nie miałem o tym pojęcia. To normalne, że coś działa, a potem przestaje działać, nieważne, co to jest, trzeba temu zaradzić. Ale najpierw należy rozpoznać awarię, stwierdzić, na czym polega uszkodzenie i jak do niego doszło. A ja nadal tego nie wiem.

I znowu siedzieli w milczeniu w półmroku letniego wieczoru. Świeczka na podgrzewaczu pod dzbankiem z herbatą powoli dogasała. Gospodyni rozlała do kubków resztę herbaty.

– Wiesz... przepraszam, wie pani...

– Mówmy sobie po imieniu, dobrze? – Podała mu dłoń. – Jagoda.

– Piotr. – Przytrzymał jej rękę trochę dłużej. – Dziękuję.

– To ja... ja dziękuję – odetchnęła głęboko i wreszcie się uśmiechnęła – za skręcanie mebli z opieką nad dzieckiem i terapią w jednym pakiecie.

ROZDZIAŁ 7

Piotr popijał poranną kawę, wspominając wczorajszą rozmowę z Jagodą. Dziwna to była rozmowa. Z pozoru zdawać się mogło, że każde z nich prowadziło własny monolog. Ale to nie tak. Piotr czuł, że Jagoda go słucha. On też słuchał. Wczuwając się w historię Jagody, jednocześnie przyglądał się własnej. A zapadające momentami milczenie nie było wyrazem obojętności, lecz przestrzenią dla słów, które swobodnie mogły się w niej unosić.

Przez otwarte okno dobiegały odgłosy przejeżdżających samochodów, strzępy rozmów, czyjś śmiech i dzwonek domofonu. Domofon odezwał się kilkakrotnie, osoba odbierająca mówiła, że otwiera, osoba dzwoniąca, że drzwi są nadal zamknięte, wreszcie ktoś zbiegł po schodach i wpuścił gościa, a Piotrowi przyszło do głowy, że czasami lepiej jest podjąć działanie bezpośrednio, niż korzystać z urządzeń pośredniczących. Tak też postanowił zrobić.

Od kiedy Karolina odeszła, bezskutecznie próbował z nią porozmawiać. Dzwonił mniej więcej raz w tygodniu, pisał esemesy, chciał się umówić na spotkanie. Nie odbierała jego telefonów, na esemesy odpowiadała, że w tej chwili nie ma nic więcej do dodania, niż powiedziała przy rozstaniu, że musi sobie jeszcze pewne rzeczy przemyśleć, nabrać dystansu i jak będzie gotowa do rozmowy, to się odezwie. I że przeprasza, naprawdę nie chciała go zranić, ale nie mogła dłużej tak żyć. Niewiele mu to wyjaśniało. Cotygodniowy telefon do Karoliny stał się nawykiem, ale właściwie od jakiegoś czasu Piotr nie spodziewał się nawet, że żona odbierze. Już się nie pocił, gdy wybierał jej numer, serce nie przyspieszało, ba, potrafił nawet, czekając, a właściwie nie czekając na połączenie, przeglądać gazetę. Bardziej zdziwiłby go głos Karoliny niż głos automatycznej sekretarki odzywający się po siedmiu sygnałach.

Co chciał jej powiedzieć? Przede wszystkim pragnął ją zobaczyć. A potem zapytać, czego nie zauważył, nie zrobił, albo co zrobił, że odeszła? Chciał poznać konkrety, a nie ogólniki. Minął już ten czas, gdy przede wszystkim zamierzał jej wykrzyknąć, że tak się nie robi. Że to nie fair. Że zachowała się po świńsku. Przecież tak bardzo jej ufał. Przecież ślubowała. Miało być na zawsze. W dobrej i złej doli.

Przez pierwsze tygodnie po odejściu Karoliny często mu się śniło, że wykrzykuje jej wszystko, co się w nim nazbierało, wyrzuca z siebie słowa, których na jawie by nie użył, nazywa żonę dziwką, a kiedy wreszcie milknie, czekając na jej reakcję, Karolina odchodzi bez słowa. Piotr biegnie za nią, szarpie za ramię, żeby się odwróciła, chce zobaczyć jej twarz, ale w tym momencie Karolina rozplywa się. Znika. Jakby była duchem. I wtedy się budził. A potem do rana nie mógł zasnąć.

Wykrzyczał się już w snach. Teraz przede wszystkim chciał zrozumieć. I... w głębi serca, liczył na to, że coś jeszcze da się naprawić. Gdyby tylko Karolina chciała wrócić... Gotów był o nią walczyć, gotów był przebaczyć, gdyby tylko chciała.

Dosyć bierności. Czas na działanie.

Tego dnia miał tylko jedno zlecenie. Kilka drobnych napraw u sympatycznej starszej pani, która na koniec obdarowała go ogórkami i pomidorami z własnego ogródka, zajęło mu niecałe dwie godziny. Następnie rozwiązał ulotki po mieście. Odwiedzał te same miejsca mniej więcej co dwa tygodnie. Jego ogłoszenia, podobnie jak i inne, spotykał różny los; zaklejano je, zrywano, czasami ktoś dopisał jakiś niewybredny komentarz, te, które przetrwały dłużej, płowiąły od słońca i deszczu, ale Piotr zauważył dziwną prawidłowość – najkrótszy żywot miały ulotki na osiedlu Piastowskim. Tym razem ocalały aż trzy, poprzednim razem dwie, a wcześniej jedna. Rozwiesił nowe w tych samych miejscach, a oprócz tego w kilku nowych punktach. Potem pojechał do centrum.

Cudem udało mu się zaparkować samochód zaledwie dwie przecznice od domu kultury, w którym pracowała Karolina. Kochała tę pracę. W urzędzie utonęłaby w stosach papierków i zanudziła się na śmierć, tutaj łapała wiatr w żagle. Mogła realizować różne pomysły, wymyślała projekty, zapraszała ciekawych ludzi, przygotowywała niebanalne imprezy. Robiła to oczywiście nie sama, ale zespół dobrał się świetnie i dobrze im się razem pracowało.

Piotr wszedł do cukierni naprzeciw domu kultury, zamówił kawę, od razu zapłacił, żeby mieć to z głowy, zajął miejsce przy stoliku pod oknem i czekał.

Gdy było coś do zrobienia na wczoraj albo jakąś imprezę trzeba było dopiąć na ostatni guzik, Karolina siedziała w domu kultury do późnego wieczora, zdarzało się tak dość często, ale Piotr wiedział, że środa to dzień święty, jeden jedyny dzień w tygodniu, kiedy Karolina na pewno wyjdzie z pracy około trzeciej. Muszę mieć jedno wolne popołudnie w środku tygodnia, żeby móc sobie spokojnie coś zaplanować – mówiła i chyba tylko kilka razy naruszyła tę zasadę.

Tuż przed trzecią w drzwiach domu kultury zobaczył żonę. Odetchnął z ulgą, widząc, że wychodzi sama, bez koleżanki. Zostawił niedopitą kawę i wybiegł na dwór. Karolina zbiegła po schodach. W odsłaniającej kolana pomarańczowo-turkusowej letniej sukience, której Piotr nie znał, i w skórzanych sandałkach na opalonych nogach wyglądała jak uosobienie lata. Ponętna, gorąca, nieprzewidywalna. Bliska i niewiadoma jednocześnie.

Piotr przyglądał się jej z daleka.

Poprawiła zsuwające się ramiączko stanika, znalazła w torebce pomadkę i pomalowała usta, uśmiechając się do swoich myśli. Zachowywała się swobodnie, nie mając pojęcia, że jest obserwowana. Piotr wiedział, że gdy go zauważy, będzie już inaczej, a chciał jeszcze choć na chwilę przytrzymać te dziwne odczucia, które ogarniały go, gdy patrzył na własną żonę nie jak na kobietę związaną z nim płataniną zasupłanych poprzecieranych lin, ale jak na fascynującą nieznajomą, za którą gotów był pójść, nieważne dokąd.

Ktoś do niej zadzwonił, w pośpiechu szukała telefonu, przyłożyła go do ucha, musiała usłyszeć coś miłego, bo rozpromieniła się cała. Zaczęła się rozglądać, ale nie dostrzegła Piotra, coś wcześniej przyciągnęło jej wzrok. Pomachała ręką i ruszyła w tamtą stronę.

Spotkali się w połowie drogi. Karolina i Wypłosz.

Piotr wycofał się do cukierni. Zamówił drugą kawę.

Nie miał jednak czasu na rozpamiętywanie tej sytuacji, bo ledwie wypił pierwszy łyk kawy, zadzwoniła Jolanta Czernik, prosząc, żeby przyjechał jak najszybciej, bo utknęła w miejscu i nie może pisać dalej, dopóki nie sprawdzi pewnych rzeczy. Sama tego nie może zrobić, tymczasem bohaterowie książki rwą się do działania, a wena tupie nóżkami z niecierpliwości. Jak wiadomo, pani wena bywa kapryśna, więc gdy czekanie ją znudzi, może wyprowadzić się gdzie indziej i co wtedy?

Mniej więcej tyle udało mu się wywnioskować z monologu, bo kobieta mówiła bardzo szybko i chaotycznie, i najpierw Piotr myślał, że utknęła samochodem w jakimś błocie, z którego ma ją wydobyć, i nie mógł zrozumieć, dlaczego on ma to robić, skoro jacyś bohaterowie są z nią i rwą się do działania, dlaczego nie chce przyjąć ich pomocy i co właściwie oni takiego zrobili, że nazywa ich bohaterami. Potem usiłował zrozumieć, kto tymi nóżkami niecierpliwie tupie – jego rozmówczyni, bohaterowie czy też jeszcze ktoś inny. Wreszcie wydawało mu się, że powiązał wszystko w logiczną całość – otóż ma pomóc w przeprowadzce pani Weni, a Jolanta Czernik i owi bohaterowie pomagają jej również, ale utknęli po drodze i nie był pewien, czy to przez błoto, czy może samochód im się zepsuł, w każdym razie trzeba im pomóc w transporcie i przeprowadzce. I dopiero, kiedy w odpowiedzi na pytanie, gdzie ma przyjechać, kobieta podała mu adres swojego domu, zwątpił, czy zrozumiał wszystko prawidłowo. Wytłumaczyła mu więc raz jeszcze, o co chodzi i miał nadzieję, że tym razem wszystko pojął prawidłowo. W każdym

razie wiedział, gdzie ma dojechać, a reszta okaże się na miejscu. Niepokoił go trochę stan Jolanty Czernik – zachowywała się jak pod wpływem alkoholu albo narkotyków, ale może artystki tak mają?

Przypomniawszy sobie historię o pewnej pisarce, opowiadaną przez Karolinę po jakimś spotkaniu autorskim. Otóż tamta pani po czterech godzinach pisania książki wiedziała, że jej bohaterka pokłóciła się z mężem i z nim nie rozmawia, ale zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, czy ona sama rozmawia z własnym mężem, czy też są w stanie wojny.

Piotr nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby nie pamiętać, czy pokłócił się z żoną, czy nie. No, ale też nie umiał sobie wyobrazić, że mógłby napisać książkę.

Nie wykluczał więc, że Jolanta Czernik znajduje się w stanie psychicznym niedostępnym zwykłemu śmiertelnikowi – w jakimś pisarskim transie, i że z tego twórczego chaosu wyłoni się dzieło. Trochę tylko niepokoiła go jej rozbuchana wyobraźnia i niepewność, jaką rolę mu na dziś wyznaczyła.

Pisarka otworzyła drzwi ubrana w letnią niebieską spódnicę do ziemi i powiewną kolorową bluzkę. Na szyi miała korale, włosy upięła w kok. Błyszczące oczy, wypieki na twarzy i czerwone plamy na szyi utwierdzały Piotra w podejrzeniach.

– O, jak dobrze, że pan już jest! – wykrzyknęła na jego widok. – Proszę na mnie napaść!

Piotr zaniemówił.

– Ależ niech się pan nie krępuje. Proszę na mnie napaść!

– Teraz? – spytał z głupia frant.

– Teraz – potwierdziła ochotczo. – Nie ma na co czekać.

– Ale jak ja mam na panią napaść? I po co?

– No tak, widzę, że pan nigdy nie napadał na kobietę, za porządnego pan jest – stwierdziła zrezygnowana. – Prawdziwego bandziora bałam się zatrudnić, bo gdyby tak się rozochocił i zapomniał, że to tylko gra? Niestety, ja też nigdy nie byłam ofiarą napadu, więc oboje jesteśmy amatorami. No cóż, musimy improwizować. To może ja opiszę panu jednak tę scenę. Otóż bandzior przebrany za listonosza wchodzi do domu i napada na właścicielkę mieszkania. Nie chce jej zgwałcić – w tym momencie Piotr odetchnął z ulgą – tylko obezwładnia ją, knebluje i przywiązuje do kaloryfera w łazience. Na tym koniec. Nie będziemy zaczynać od sceny na klatce schodowej, tylko od razu scena w korytarzu. Aha, proszę się nie przejmować, jeśli pan mi podrze ubranie, czy coś w tym stylu, to rzeczy z lumpeksu, kupione specjalnie na tę okazję, całość łącznie z koralami kosztowała 10 zł, tyle dla dobra literatury mogę poświęcić. To jak, zaczynamy?

Piotr westchnął zrezygnowany, patrząc na nią z miną zbitego psa.

– No, panie Piotrze, niech pan nie będzie taki spięty. Nie ma się czym przejmować. Może kieliszeczek na rozluźnienie?

– Nie, dziękuję.

– No to do roboty. Niech pan napada!

Łatwo nie było. Napadał ją czterokrotnie.

– Panie Piotrze, więcej agresji, nie jestem z porcelany, nie tak łatwo mnie uszkodzić, proszę się nie bać – powtarzała mu tyle razy, że w końcu miał tego dość, zaatakował ją, zawlókł do łazienki, drąc jej przy okazji bluzkę, zakneblował przy grzechocie rozsypujących się po kafelkach koralu i przywiązał do kaloryfera, a nawet zrobił coś więcej, bo zamiast zapytać, czy już wystarczy i teraz ma ją uwolnić, trzasnął drzwiami do łazienki i poszedł do kuchni zrobić sobie herbatę. Nie reagując na postępowania dochodzące z łazienki, siedział przy stole i pił tę herbatę. Chciała, żeby wczuć się w rolę, zachęcała do improwizacji, to teraz ma – pomyślał z mściwą satysfakcją – niech wie, że nie wszystko da się przewidzieć w scenariuszu. Dopięł

herbatę, umył kubek i gotowy na ewentualną awanturę poszedł ją uwolnić.

Była zachwycona.

– Panie Piotrze, pan jest po prostu genialny! To było cudowne! Spełnił pan zawiązką moje oczekiwania! Zamknął mnie pan i nie miałam pojęcia, co pan robi w mojej kuchni i jak interpretować dźwięki, które słyszałam. Zastanawiałam się, czy szuka pan noża, żeby mnie zabić, czy przeszukuje szafki, żeby znaleźć coś ważnego i zupełnie nie wiedziałam, co to może być. Ta niepewność, lęk... niesamowite! Muszę to natychmiast opisać!

Mama Piotra zadzwoniła, kiedy podrapany i nieco oszołomiony wychodził właśnie z mieszkania pisarki.

– No i jak ta twoja firma? Nazwę zmieniłeś?

Mąż zastępczy działał już ponad miesiąc. Piotr w tym czasie kilka razy rozmawiał z mamą przez telefon, ale od czasu tamtej pamiętnej rozmowy nigdy nie spytała o jego działalność. Wiedział, że w ten sposób wyraża swoją dezaprobatę, a jednocześnie był pewien, że ciekawość nie daje jej spokoju, stąd te częstsze niż zwykle kontakty. Miała nadzieję, że on coś jednak powie. Ale Piotr nie zamierzał przełamywać milczenia. Trochę bawiła go ta cała sytuacja i był ciekaw, kiedy mama pęknie. I nareszcie się doczekał.

– Firma świetnie. A nazwy nie zamierzałem zmieniać.

Po drugiej stronie słuchawki zapadło milczenie. Mama wahała się. Ale ciekawość zwyciężyła.

– No i co ty właściwie robisz w tej swojej firmie?

Piotr uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak zareagowałyby na wieść, że przed chwilą przywiązywał kobietę do kaloryfera.

– No mówiłem ci przecież – naprawy, remonty, montaż mebli...

– No ale tak bardziej konkretnie, co robiłeś dzisiaj na przykład i u kogo?

– Dzisiaj? Kilka drobnych napraw u pewnej starszej pani, wczoraj montaż mebli u samotnej matki, przedtem różnie – jakieś kafelki, panele, podłączenie pralki, zmywarki, wymiana zamka w drzwiach.

– A te baby... – mama się zawahała – niczego innego od ciebie nie chcą?

– No wiesz, mam!

– Gdybyś normalnie tę swoją firmę nazwał, nie zadawałabym ci takich pytań.

– Mamo, zapominasz, że od dłuższego czasu jestem już dorosły i odpowiadam za to, co robię.

– No, dobrze już, dobrze, nie denerwuj się. Po prostu troszczę się o ciebie. Matki już tak mają, nawet jak dzieci są dorosłe, to o nich ciągle myślą.

– Panie Piotrze, panie Piotrze! – Jolanta Czernik wychylała się z okna. – Mogę pana prosić jeszcze na chwileczkę?

– Mamo, muszę kończyć. Zadzwoniłaś, gdy wychodziłem od klientki i chyba coś jeszcze sobie przypomniała, bo mnie woła. No to na razie.

Pisarka czekała na niego na klatce schodowej.

– O, jak dobrze, że zdążyłam jeszcze pana złapać! To już do następnego rozdziału, ale tak mi teraz przyszło do głowy, że po co kolejny raz mam pana tu ściągać, kiedy możemy załatwić to od razu. Ma pan jeszcze wolne jakieś pół godzinki?

– Nawet i godzinkę jak trzeba. – Piotr uśmiechnął się z ciekawością, ale i z pewną obawą oczekując kolejnego zlecenia.

– Świetnie! To na początek musimy zamknąć się razem w wersalce!

ROZDZIAŁ 8

– Czy pan jest dobrym fachowcem? Klientki są zadowolone?

Dziwny był ten telefon. Kobieta zadzwoniła tuż przed dwudziestą drugą, wypytała dokładnie o zakres działalności, o ceny, koszty dojazdu, godziny pracy, upewniła się, że w razie nagłej potrzeby za dodatkową opłatą mąż zastępczy może przyjechać nawet w nocy, a wreszcie zadała to pytanie, na które Piotr nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć.

– Jak dotąd nie miałem żadnych reklamacji.

– To super! – ucieszyła się rozmówczyni. – W takim razie zapraszam. Szampan się chłodzi, truskawki są, a my z koleżanką nalewamy wodę do wanny.

Piotr zaniemówił.

– Halo! Słyszysz mnie pan?

– Tak...

– Podaję adres: Jaśminowa 23. To dom jednorodzinny na rogu Jaśminowej i Cyprysowej. Wie pan, gdzie to jest?

– Proszę pani, takich usług to ja nie świadczę, ale gdyby na przykład ciepła woda nie chciała lecieć albo przy wylewaniu wody z wanny okazało się, że zapchała się kanalizacja, proszę do mnie zadzwonić.

– Jak to, pan odmawia? Mąż zastępczy, zlecenia nietypowe – tak pan napisał, a teraz pan odmawia? To jest właśnie zlecenie nietypowe, a my jesteśmy gotowe zapłacić dużo więcej niż w cenniku, a poza tym mogę pana zapewnić – zmieniła ton głosu – że tej nocy pan nigdy nie zapomni.

Oczywiście podobne telefony już mu się czasami zdarzały. Ale dotychczas były to raczej żarty. Natomiast tym razem Piotr dostał konkretną propozycję, a klientka była nie tylko rozczarowana, ale wręcz urażona jego odmową. Mamie oczywiście o tym mówić nie zamierzał, ale Markowi opowiedział.

Marek był kumplem z podstawówki. Od kilku lat pracował za granicą i ilekroć przyjeżdżał na urlop do kraju, po drodze do domu wpadał do Piotra na jakieś dwa, trzy dni. Wspominali dawne czasy, opowiadali, co u nich nowego, a czasami milczeli, siedząc do późnych godzin nocnych przy piwie (Marek) i coli (Piotr). Nieraz, jak przed laty, rozpalali w lesie ognisko i zostawali przy nim aż do rana. I właśnie przy ognisku opowiadając Markowi o swojej działalności, wspomniął również o tym ostatnim telefonie.

– No co ty, stary, nie skorzystałeś? Naprawdę? Taka okazja! – zaśmiał się Marek.

– A ty byś skorzystał?

– Dwie laski mówisz? Wiesz, chyba jednak jestem tradycjonalistą. Jedna kobitka mi wystarczy. Ale pracę masz fajną. Ja sobie planuję, że posiedzę jeszcze w tych Niemczech kilka lat, kasy nabieram, a potem w kraju jakąś własną firmę otworzę. Może właśnie coś podobnego jak ty?

Około południa, gdy jeszcze odsypiali to ognisko, zadzwoniła pani z miejskiej biblioteki. W mieszkaniu nad biblioteką pękł bojler z gorącą wodą, załało magazyn i same bibliotekarki nie mogły sobie poradzić. Marek stwierdził, że pomoże Piotrowi, a panie ucieszyły się, że będzie ich dwóch, to robota szybciej pójdzie. Przepracowali więc w tej bibliotece cały dzień, przenosząc książki z miejsca na miejsce i próbując żartami poprawić humor kobietom, którym wcale nie było do śmiechu, gdy patrzyły na rozmiar zniszczeń.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem – stwierdził filozoficznie Marek. – Co się stało, to się nie odstanie, a same panie mówiły, że na szczęście tam były książki mniej chodliwe

i od dawna niewypożyczane. Co można uratować, to uratujemy, a zamartwianie się nic nie da. Dobre mają ciastka w tej cukierni naprzeciwko?

– Dobre – odpowiedziała pani Hania.

– No to ja lecę po jakieś ciastka na poprawienie nastroju.

– Proszę, oto „powiew nadziei”. – Marek z namaszczeniem rozpakowywał swój zakup.

– Ale się z ciebie zrobił poeta – zaśmiał się Piotr.

– Nie ze mnie, tylko z cukiernika – sprostował Marek. – Ciasto tak się nazywa. Wahałem się między „powiewem nadziei” a „przedsmakiem nieba”, ale stwierdziłem, że „powiew nadziei” będzie lepszy na dzisiaj.

„Powiew nadziei” był rozplywającym się w ustach jabłecznikiem z cynamonem i bitą śmietaną. Doceniła go nawet Sisi – biblioteczna kotka, błyskawicznie pochłaniając kawałek, który spadł Markowi na podłogę.

– Kot w bibliotece pewnie przyciąga czytelników, szczególnie tych małych – zagadnął Piotr, głaszcząc Sisi, której najwyraźniej podobały się jego pieszczoty.

– Oj, przyciąga, przyciąga. – Pani Kasia zaśmiała się. – A jak przyjdzie grupa przedszkolaków na zajęcia, to zamykamy ją na zapleczu, Sisi znaczy się, nie grupę, i dopiero na koniec zajęć przynosimy do dzieci, żeby mogły ją pogłaskać, bo inaczej i zajęcia nie odbyłyby się i kotka nie wytrzymałaby tych czułości. A teraz musimy szczególnie o nią dbać, bo niedługo będzie się kocić.

– No rzeczywiście, brzusek ma całkiem, całkiem.

– Podobno kotka kilka dni przed porodem nie ma apetytu, a ta wszystko by zjadła, zresztą panowie widzieli, jak rzuciła się na ciasto, więc myślę, że jeszcze trochę poczekamy.

Uporali się z robotą do osiemnastej. Kilkanaście wielkich worów z książkami, które nie dały się uratować, stało już przed biblioteką, czekając na wywózkę, a te mniej zniszczone zostały rozłożone do suszenia, gdzie tylko było jakieś wolne miejsce. Piotr z Markiem zawiązywali jeszcze ostatnie worki, pani Hania zamykała komputery i okna, a pani Kasia od dłuższego czasu usiłowała znaleźć kotkę. Nie widzieli jej od jakichś czterech godzin. Nie reagowała ani na „kici, kici”, ani na szelest torebki z kocimi smakołykami, który zawsze potrafił wywabić ją z ukrycia.

Sisi była kotem podwórkowo-domowym czy też raczej podwórkowo-bibliotecznym. W bibliotece dostawała jeść i mogła się ogrzać, na ganku przy wejściu miała ocieploną budę, a poza tym chodziła własnymi ścieżkami. Noce spędzała na dworze. Nie mogła zostać w budynku choćby ze względu na alarm.

W poszukiwaniu włączyli się wszyscy czworo. Wypożyczalnia, czytelnia, magazyn, biuro, toaleta – każde pomieszczenie zostało dokładnie przeszukane, a Sisi jakby zapadła się pod ziemię. Gdy zamierzali już się poddać, uznając, że musiała niepostrzeżenie przemknąć się między nogami podczas wynoszenia worków, gdzieś spod regału doszedł jakiś przytłumiony dźwięk. Pani Kasia znalazła Sisi wciśniętą w kąt pod regałem, a przy niej... dwa czarno-białe kociątka.

– Dziecko urodzone w pociągu podobno ma darmowe bilety do końca życia. A jakie przywileje przysługują kociakom urodzonym w bibliotece? – zastanawiał się Marek.

– Dożywotni tytuł bibliotecznego kota i codziennie pełna miska – odpowiedziała pani Hania. – A na razie musimy im znaleźć jakiś karton, co prawda jest ciepło, ale przecież nie wyrzucimy matki z maleństwami na dwór. Tylko ten alarm! Może panowie wymyślą, jak go oszukać, żeby kicie mogły spać w bibliotece.

Wymyślili. Poszewką od dziecięcej poduszki (mało kto wie, że biblioteki są miejscami pełnymi zaskakujących przedmiotów) zasłonili czujkę w biurze i tak oto pomieszczenie zamieniło się w koci dom samotnej matki.

Marek wyjeżdżał następnego dnia rano.

– No, stary, trzymaj się i do zobaczyska! A jakby coś ci się nie układało, czego ci nie życzę oczywiście, to daj cynk, coś dla ciebie znajdziemy. Ale mam nadzieję, że wszystko będzie OK, robotę masz super, za każdym razem coś innego, a i jakąś fajną laseczkę może przy okazji poznasz.

– Laseczki mi nie w głowie – skrzywił się Piotr.

– Na razie, stary, na razie, ale nie zarzekaj się i miej oczy otwarte, a nuż któraś ci w oko wpadnie.

Piotr zwykł mawiać o sobie, że lubi ludzi, lecz nie są mu niezbędni; bez nich też mógłby żyć. Nie unikał towarzystwa, ale i specjalnie go nie szukał. Z nich dwojga Karolina była zdecydowanie bardziej towarzyska. Ich wspólni znajomi byli głównie znajomymi Karoliny. Po jej odejściu kontakty się pourywały, a Piotr nie szukał nowych.

Z Markiem jednak było inaczej. Znali się jak łyse konie. Łączyło ich wiele wspomnień, które z czasem nabierały intensywności – pierwsze próby palenia papierosów (u Piotrka na tym się skończyło, Marek palił jak smok), wspólna lektura podkradanej ojcu Piotrka *Sztuki kochania*, wyprawy na dyskoteki, rozmowy o dziewczynach, o życiu, no i ogniska. Dla Marka Piotr był kumplem z podstawówki, a nie mężem Karoliny. W ich relacjach to Karolina była dodatkiem do Piotrka, a nie odwrotnie. Bez niej Piotrek nadal pozostawał Piotrkim.

Dobrze mu zrobiło te kilka dni w towarzystwie Marka, a kiedy kumpel wyjechał, dom nagle jakoś opustoszał. Dziwne. Piotr nie odczuwał tak jego poprzednich wyjazdów. Oczywiście, że cieszył się z odwiedzin Marka, ale żegnał go bez większego żalu. Pewnie dlatego, że wcześniej nie zostawał w domu sam. Wtedy była przecież Karolina...

Czekał na nią pod domem kultury jeszcze raz w następną środę po tej pierwszej, dzień przed przyjazdem Marka. Nie doczekał się. Siedział w cukierni aż do szóstej, gdzieś po czwartej widział koleżanki Karoliny wychodzące z budynku, ale głupio było mu pytać o żonę. Więc to Marek zadzwonił do domu kultury i dowiedział się, że Karolina wyjechała na trzytygodniowy urlop.

– Stary, ja na twoim miejscu nie dzwoniłbym do niej tak regularnie – powiedział. – Ona się już do tych twoich telefonów przyzwyczaiła. A gdybyś ją tak zaskoczył i nagle przestał dzwonić, to zaczęłaby główkować, co się stało. Założę się, że zastanawiałaby się, czy znalazłeś sobie inną. A wierz mi, stary, odrobina zazdrości w małżeństwie jest jak sól – dodaje smaku i konserwuje. Gdybyście więc po tym urlopie bez żadnego sygnału od ciebie spotkali się na mieście (najlepiej przypadkowo, żeby nie myślała, że ci zależy) i zaprosiłbyś ją na kawę, to pewnie choćby z ciekawości przyjęłaby to zaproszenie.

Piotr musiał przyznać, że w słowach Marka było trochę racji, a ponieważ stosowana do tej pory taktyka zawodziła, postanowił wypróbować radę kumpla. Nie dzwonił ani nie esemesował, choć łatwo nie było – przez głowę przelatywały mu myśli, że nie wiadomo, czy w ten sposób nie traci szansy, bo może akurat tym razem Karolina odebrałaby telefon.

*

Pani Kasia i pani Hania zrobiły mężowi zastępczemu reklamę na szkoleniu bibliotekarzy i nagle okazało się, że w niejednej bibliotece znalazło się coś do zrobienia; uszczelnianie ciekących kranów, wymiana popsutych zamków w toaletach, odnawianie drewnianych gablot i regałów, naprawa chwiejących się krzeseł, stolików i wózków bibliotecznych. I jeszcze mnóstwo innych drobiazków uprzykrzających życie. A kiedy już pani Grażynka, Beata czy Ania przyjrzały się pracy Piotra, okazywało się, że również u nich w domu znajdzie się coś dla męża zastępczego. Tak więc na brak zajęć Piotr nie mógł narzekać.

A ponieważ w międzyczasie zainwestował w profesjonalną stronę internetową, więc zaczęli zgłaszać się kolejni klienci – nie tylko panie, ale również firmy, którym nie opłacało się zatrudniać konserwatora na stałe, oraz... panowie.

ROZDZIAŁ 9

Przyjmując pierwsze zlecenie od mężczyzny, Piotr był nieco zdegustowany. Jak to, żeby do czegoś tak banalnie prostego jak wieszanie fotografii facet wzywał fachowca? Przecież to potrafi każdy. Bardzo był ciekaw, jaki będzie ten facet. Rodzaj zlecenia wskazywał na męską sierotę, ale sposób prowadzenia rozmowy telefonicznej klócił się z tym obrazem.

Pan Mateusz miał lekko ponad trzydziestkę, mocny uścisk dłoni i wyglądał jak zaprzeczenie męskiej sieroty.

– Dzień dobry. Tu są obrazy, tu kołki, zaraz poproszę żonę, to panu wyjaśni, gdzie co ma wisieć. Przepraszam, muszę wracać do pracy.

Kolekcja dziesięciu fotografii artystycznych zawisła na ścianach w ciągu godziny, a Piotr dowiedział się w tym czasie, że pan domu pracuje zdalnie, dobrze zarabia, ale musi być dyspozycyjny, a teraz ma pilne zlecenie, więc w najbliższym dniach, a może nawet tygodniach nie ma co na niego liczyć przy pracach domowych.

– Bardzo się cieszę, że mąż pana znalazł – powiedziała pani domu na pożegnanie. – Gdyby nie pan, nie wiem, jak długo jeszcze te fotografie leżałyby w kartonach. A gdybyśmy się tak o nie codziennie potykali, nie wiadomo, na ile starczyłoby nam cierpliwości.

– Uratował pan spokój naszego domowego ogniska. Czy w razie kolejnego zagrożenia możemy się do pana zwrócić? – włączył się pan domu, który właśnie zrobił sobie kilkuminutową przerwę.

– Ależ oczywiście – uśmiechnął się Piotr – miło się u państwa pracowało.

To nie było tylko kurtuazyjne stwierdzenie. Dobrze się czuł w tym domu i chętnie by tu jeszcze wrócił.

Zauważył, że od kiedy jako mąż zastępczy zaczął odwiedzać różne domy, coś się w nim zmieniło. Nie bardzo wiedział, jak to nazwać, czy stał się bardziej wrażliwy na pewne sygnały, czy też zaczął słuchać intuicji, w każdym razie, gdy otwierały się przed nim drzwi mieszkania, chłonał jego atmosferę. Za każdymi drzwiami odkrywał jakiś świat. Czyjś świat. On był tu tylko gościem. Różne to były światy, w jednych czuł się świetnie, inne miał ochotę jak najszybciej opuścić, ale przez to że różne, wszystkie wydawały mu się ciekawe. I nigdy nie wiedział, co go spotka za następnymi drzwiami...

*

Piotr siedział jak na szpilkach, co chwilę zerkając na zegarek. Bardzo nie lubił się spóźniać. I tym razem wyjechał ze sporym zapasem czasu, ale nie aż takim, żeby stać w korku prawie godzinę. Za nim zdążył ustawić się już długi sznur samochodów, więc nie było co nawet myśleć o zmianie drogi.

Niechętnie sięgnął po telefon i notes z danymi klientki.

– Dzień dobry, Piotr Kowalczyk.

– Dzień dobry.

– Przepraszam, czy pani Urszula Kacprzycka? – upewnił się, bo zdawało mu się, że kobieta, która do niego dzwoniła, miała inny głos.

– Doktor Orszula Kacprzycka, nie Urszula, tylko Orszula, tak jak córka naszego wielkiego poety renesansowego Jana Kochanowskiego, której śmierć ojciec opłakiwał w trenach. „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim, Moja droga Orszulo, tym zniknięciem swoim! Pełno nas, a jakoby nikogo nie było: Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło”. Mam nadzieję, że pan to zna? – powiedziała takim tonem, jakby była zupełnie pewna, że nie zna i chciała go na

tym złapać.

– Ależ oczywiście – „Tyś za wszystkie mówiła, za wszystkie śpiewała, Wszystkieś w domu kąciki zawsze pobiegała. Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować Ani ojcemu myśleniem zbyt głowę psować”¹²¹.

– Pomylił się pan – powiedziała z wyraźną satysfakcją. – Nie „wszystkieś”, ale „wszyscyś”

– No, może i pomyliłem się, ale tren w każdym razie pamiętam. A dzwonię do pani, żeby uprzedzić, że się spóźnię, bo już od dobrej godziny stoję w korku. Coś powoli zaczyna się ruszać, ale myślę, że to jeszcze trochę potrwa.

– Mógł pan wcześniej wyjechać! – oburzyła się.

– Wyjechałem wcześniej, ale godzinny korka nie przewidziałem. Przepraszam. A jeśli pani nie pasuje dzisiaj, to może inny termin?

– Nie, niech już pan przyjedzie – fuknęła.

Piotr westchnął i postanowił uzbroić się w cierpliwość. Wyglądało na to, że doktor Orszula Kacprzycka nie załapałaby się na pierwsze miejsca w rankingu na najmilszą klientkę. No cóż, życie ma różne barwy – stwierdził filozoficznie, wrzucając bieg i naciskając pedał gazu, żeby przejechać kolejnych kilka metrów.

Na widok kobiety otwierającej drzwi Piotr na moment zaniemówił i przez głowę przebiegła mu myśl, czy czasem nie pomylił mieszkań. Kobieta była w wieku gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką. Krótka spódnica odsłaniała grube uda, różowa koszulowa bluzka opinała się na brzuchu i piersiach, w uszach dyndały wielkie złote kolczyki przypominające zamknięcia do szafek i pewnie tylko dlatego Piotr zwrócił na nie uwagę, twarz pokrywała gruba warstwa pudru, rzęsy ociekały tuszem, usta raziły ostrą czerwienią, powieki błękitem, a każdy paznokieć miał inny kolor.

– Dzień dobry. Jestem umówiony z panią Orszulą Kacprzycką.

– To ja – doktor Orszula Kacprzycka. – Kobieta wypięła dumnie pierś, podając Piotrowi rękę do pocałowania, ale on tylko ją uściśnął. Miał nadzieję, że nie wyczyta z jego twarzy, jak bardzo zaskoczony jest jej wyglądem.

– Piotr Kowalczyk.

– Nareszcie pan jest. – Doktor Orszula Kacprzycka przypatrywała się mu ze zde gustowaną miną. – Te rolety mają być w kuchni i w tym pokoju. – Pokazała rolety i pomieszczenia. – Proszę zacząć od kuchni. Ja piszę pracę naukową w drugim pokoju. Jakby czegoś było panu trzeba, proszę powiedzieć Amandzie. Amando! – zawołała.

Z pokoju w głębi korytarza wyszła dziewczynka. Mogła mieć około siedmiu lat.

Wyglądała na taką, co to nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Dzień dobry – powiedziała, mierzając Piotra wzrokiem od stóp do głów.

– Dzień dobry – odpowiedział Piotr. Wcale nie miał ochoty na towarzystwo tego dziecka.

– Amando, mamusia musi pracować. Umawialiśmy się, że posiedzisz z panem, tak?

– Dobrze, mamusiu.

– Pamiętasz, co ci mówiłam?

Mała przytaknęła ruchem głowy. Usiadła przy stole, na którym leżał blok i kredki.

Mocując rolety, Piotr czuł na plecach świdrujący wzrok dziewczynki. Gdy po skończeniu pracy w kuchni przeszedł do pokoju, Amanda wzięła blok oraz kredki i poszła za nim.

– W kuchni nic panu się nie podobało? – spytała.

Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

– Dlaczego myślisz, że nic mi się nie podobało?

– Bo nic pan nie chciał ukraść.

– A czemu miałbym coś kraść?

– Mama mówiła, że wszyscy fachowcy to złodzieje. Kazała mi pana pilnować.
– No wiesz co! Nie jestem złodziejem – oburzył się Piotr.
– Nie? – W głosie Amandy słychać było rozczarowanie. – Szkoda.
– Dlaczego szkoda? – zdziwił się.
– Bo ja jeszcze nigdy nie widziałam prawdziwego złodzieja. Tylko na filmie. Ale... –
spojrzała na niego prosząco – może mógłby pan coś ukraść chociaż tak na niby?
Naburmuszyła się, kiedy odmówił. Przez chwilę jeszcze siedziała w pokoju, ale zaraz
pobiegła do mamy.
– Mamo, on mówi, że nie jest złodziejem, to po co mam go pilnować?
– Oni wszyscy tak mówią, a potem człowiek szuka swoich rzeczy i nie może znaleźć. Jak
mówię, że masz pilnować, to pilnuj. – Piotr był zaskoczony, że mama Amandy nawet nie ściszyła
głosu.
Amanda wróciła do pokoju.
– Chodzisz już do szkoły? – zagadnął Piotr.
– Teraz są wakacje! – Spojrzała na niego, jakby się urwał z choinki.
– Wiem, że są wakacje, ale czy w ogóle chodzisz już do szkoły?
– No pewnie! Teraz idę do drugiej klasy. Ale w wakacje to chodzę z mamą na uniwersytet
egzaminować studentów. Ci studenci to nic nie umieją i ciągle mają poprawki. A mojej mamy to
się strasznie boją! – powiedziała z dumą. – Wczoraj jak pisali egzamin, to mama musiała wyjść
z sali i zostawiła mnie, żebym pilnowała. A ja im powiedziałam, żeby sobie ściągali, bo ja nic
mamie nie powiem. I wtedy oni wyjęli książki i zeszyty i zaczęli ściągać. A jak mama przyszła,
to pokazałam, kto ściągał, i mama mnie pochwaliła. A im zabrała kartki i jeszcze raz mają do niej
przyjść. Bo przecież ściągać nie można, prawda?
– A oszukiwać i skarżyć można?
Amanda patrzyła na mężczyznę zaskoczona. Dlaczego nie podobało mu się to, co
powiedziała? Mama ją pochwaliła.
– Przecież pan jest dorosły! – powiedziała z pretensją.
– Jestem, i co z tego? – spytał Piotr, pakując narzędzia.
– Mama była ze mnie zadowolona! A pan myśli, że zrobiłam źle?
– Tak właśnie myślę.
– O czym rozmawiacie? – Doktor Orszula Kacprzycka wkroczyła do pokoju. – O, widzę,
że roleta gotowa.
– Właśnie skończyłem.
Kobieta sprawdziła, czy roleta działa.
– To o czym rozmawialiście?
– Pan powiedział, że to źle, że ci powiedziałam, że studenci ściągali!
– Tak pan powiedział? – Doktor Orszula Kacprzycka spojrzała na Piotra ze złością.
– Tak powiedziałem. – Patrzył jej prosto w oczy.
– Amando, idź do swojego pokoju!
– Ale...
– Słyszałaś, co powiedziałam? Wyjdź natychmiast!
Dziewczynka skuliła się i zniknęła za drzwiami.
– Gównu to pana obchodzi! – wyszczała doktor Orszula Kacprzycka. – Jak pan śmie
wtrącać się w cudze życie! To moja córka i moja sprawa! Niech pan bierze pieniądze i do
widzenia! – Rzuciła na stół zwitek banknotów.
Piotr bez pośpiechu przeliczył banknoty i schował do portfela. Jej złość wcale nie
indukowała w nim złości. Wręcz przeciwnie. Gdy doktor Orszula Kacprzycka gotowała się

z wściekłości, on zachowywał stoicki spokój. Wychodząc, odwrócił się w drzwiach. Kobieta zacisnęła pięści. W jej oczach widział nienawiść. Ale dostrzegł w nich coś jeszcze.

– Przecież pani nie chce skrzywdzić swojej córki – powiedział cicho.

– Spieprzaj! – Zatrzasnęła za nim drzwi.

A potem usłyszał jej płacz.

*

– Dzień dobry, Józefina Klepacka. Pan już u mnie był, ulica Konwaliowa 12 a, zdejmował pan Hrabiego z drzewa.

– Tak, zgadza się.

– Proszę szybko przyjechać! Hrabia znowu wlaźł na drzewo!

– Proszę pani, kończę pracę, to zajmie mi jakieś pół godziny. Za jakieś pięćdziesiąt minut będę u pani.

– Nie! Pięćdziesiąt minut to za długo. Proszę przyjechać natychmiast! On spadnie! – Józefina Klepacka krzyczała tak głośno, że usłyszała ją klientka, która właśnie przyniosła wodę rąbiącemu drewno Piotrowi.

– Coś się stało? – spytała.

– Proszę na mnie nie krzyczeć. Chwileczkę – powiedział Piotr w słuchawkę i zwrócił się do klientki: – Kot wszedł na drzewo i właścicielka boi się, że spadnie. Prosi, żebym natychmiast przyjechał.

– To proszę jechać do tego kota. Jutro przecież przyjdzie pan kosić, to i rąbanie pan dokończy.

– Bardzo pani dziękuję.

– A, pan tu znowu? – Sąsiad Klepackiej, który poprzednio kosił trawę, teraz wygrzewał się na ławeczce.

– Znowu. – Piotr uśmiechnął się. – Dzień dobry.

– A dzień dobry, dzień dobry. A co to, czyżby kot Klepackiej znowu wlaźł na drzewo?

– Zgadł pan.

– Ma zwierzak charakterek! Uparta bestia!

Hrabia siedział na tym samym drzewie co ostatnio, a jego pani stała na tym samym taborecie, trzymając znowu wątróbkę na kiju. Wyraz twarzy też miała taki sam jak ostatnio.

– Jeden warunek, proszę pani – powiedział stanowczo Piotr – proszę się odsunąć i nie podchodzić z tym kijem do drzewa, dopóki razem z Hrabią nie znajdziemy się na ziemi.

– Niech panu będzie – mruknęła niechętnie, zaskoczona jego stanowczością.

Wszedł na drabinę i wyciągnął rękę w stronę kota.

– Kici, kici... kici, kici...

Hrabia spojrział na niego wzrokiem, który mówił: i o co tyle hałasu... a niech już wam będzie – po czym po ręce dostał się na ramię mężczyzny i ułożył się tam wygodnie. Piotr zszedł z drabiny.

– No, jesteśmy na ziemi. – Piotr pieszczotliwie pogłaskał kota, który wcale nie zamierzał zmieniać miejsca.

– Hrabia nigdy się tak nie zachowuje! Boi się obcych. – Józefina Klepacka nie mogła wyjść ze zdumienia. – On... on pana lubi – powiedziała z nutką zazdrości. – Jak pan to zrobił?

– Pewnie wyczuł, że nie zamierzam zrobić mu krzywdy, tylko chcę pomóc. – Piotr uśmiechnął się.

Widocznie Józefina Klepacka liczyła się ze zdaniem Hrabiego na temat ludzi, bo w jej oczach Piotr dostrzegł coś na kształt szacunku, w każdym razie patrzyła na niego zupełnie inaczej

niż poprzednio.

– Skoro pan już tu jest... to może... – szukała zadania, które mogłaby mu powierzyć – wie pan, w domu samotnej kobiety zawsze znajdzie się coś do naprawienia, drzwi jakoś ostatnio strasznie skrzypią i jeden zamek się popsuł. Mógłby się pan tym zająć?

– Czemu nie?

Piotr naoliwił drzwi, kupił nowy zamek i zabrał się do wymiany. Józefina Klepacka cały czas kręciła się gdzieś w pobliżu. Wkładała i wyjmowała rzeczy z szafy w przedpokoju, przносиła je do pokoju i z powrotem, w końcu wzięła stołeczek, usiadła przed szafą i zaczęła układać ubrania na półkach. Jednocześnie obserwowała mężczyznę i kota, który ocierał się o jego nogi, mruzczał, kiedy Piotr go głaskał, aż wreszcie usnął na walizce z narzędziami.

– Może jeszcze naprawi mi pan klamkę od okna w kuchni, bo wypada – zaproponowała Józefina Klepacka, gdy już skończył.

– Proszę bardzo. – Piotr poszedł za nią do kuchni, a za nimi powłókł się dopiero co obudzony Hrabia.

Podczas naprawy klamki kot siedział na parapecie, oblizując łapę.

Piotr czuł na sobie badawcze spojrzenia gospodyni, która usiłowała dociec, czym zasłużył sobie na względy Hrabiego. Bawiła go ta sytuacja. Ostatecznie to zabawne zawdzięczać uznanie kotu.

– Wpuściła pana do domu? – Sąsiad Klepackiej patrzył na niego zaskoczony. – Ona nikogo nie wpuszcza. Nawet listonosza przyjmuje przed drzwiami. Jak pan to zrobił?

– Kot za mnie poręczył – zaśmiał się Piotr.

*

– Proszę pana, szukam ludzi, a konkretnie szukam mężczyzn do pewnego eksperymentu. Przedmiotem eksperymentu jest ptak. – Głos kobiety w słuchawce był nieco przytłumiony.

– Jaki ptak? – Zestawienie słów „mężczyzna” i „ptak” nasuwało Piotrowi tylko jedno skojarzenie. A jeśli dodało się do tego jeszcze „eksperyment”, brzmiało to trochę niepokojąco. – I co to za eksperyment?

– Bażant złocisty. A w eksperymencie chodzi o zaobserwowanie wpływu muzyki na apetyt i zachowanie bażanta. Zna pan piosenkę *Małgośka* Maryli Rodowicz?

– Oczywiście, że znam.

– Całą?

– Nie, całej to nie, fragmenty.

– Nie szkodzi. Ważne, żeby znał pan melodię, słowa się wydrukują i będzie pan miał ściągę.

– Ale co ja miałbym robić?

– Przez dwa tygodnie raz dziennie karmić bażanta dokładnie taką samą ilością mieszanki ziaren. Ten bażant niestety jest trochę agresywny, więc wsypując ziarna do pojemnika na paszę, trzeba uważać, żeby pana nie podziobał. No, a przed karmieniem musiałyby mu pan odśpiewać całą *Małgośkę*. Mamy zamontowaną kamerę, przebieg eksperymentu jest rejestrowany, obserwujemy zachowanie ptaka i ilość zjedanego pokarmu.

– A dlaczego pani szuka akurat mężczyzn?

– Wie pan, to już jest drugi etap eksperymentu. W pierwszym brały udział kobiety. Chcemy również wziąć pod uwagę taką zmienną jak płeć osoby śpiewającej. To jak, zgodzi się pan?

Miał śpiewać bażantowi! *Małgośkę*! Marek na pewno przyjąłby to zlecenie bez namysłu. Gotów byłby nawet odtańczyć bażantowi tę *Małgośkę*! Lubił się wygłupiać. Piotr nie miał do

tego smykałki. Wolałby jakąś konkretną robotę niż taki cyrk. Ale ostatecznie, skoro mu płacą... a swojego zdania na temat znaczenia takich eksperymentów nie musi przecież wyrażać publicznie.

– A gdzie jest ten bażant?

– To znaczy, że zgadza się pan? – jego rozmówczyni wyraźnie się ucieszyła.

– No... mogę spróbować.

– Dwa-jeden dla mnie! Do usłyszenia! – wykrzyknęła triumfalnie kobieta.

Połączenie zostało zerwane.

Piotr patrzył na milczący telefon takim wzrokiem, jakby aparat mógł mu wyjaśnić, o co chodziło tej kobiecie. A jednocześnie miał niejasne wrażenie, że coś podobnego już mu się przytrafiło. Tylko nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co to było. To odczucie męczyło go cały wieczór, aż przypadkowo natknął się w telewizji na migawkę z jakiegoś ślubu i wtedy sobie przypomniał. Zamek w sukni ślubnej; jeden-jeden! Skunks, jeden-zero dla pana! Bażant; dwa-jeden dla niej, bo przyjął zlecenie! To była ta sama kobieta! Dzwoniła już cztery razy! I na tym nie zamierza poprzestać, bo przecież powiedziała: do usłyszenia. Czego ta baba chce? I dlaczego przyczepiła się akurat do niego? Wybrała go przez przypadek czy też może go zna? Nie przychodziła mu na myśl żadna znajoma, którą mógłby podejrzewać o takie żarty. Może to jakaś wariatka? Kto wie, czego się po takiej można spodziewać?

Z tego wszystkiego nie mógł zasnąć, a kiedy wreszcie mu się udało, we śnie prześladowała go kobieta w kominiarce. Podsuwała Piotrowi dłoń pełną ziaren. Jadł jej z ręki, czekając na odpowiedni moment, żeby zedrzeć nieznajomej kominiarkę. Gdy sięgnęła do worka po następną porcję ziaren, Piotr złapał kominiarkę i w tym momencie się obudził.

Próbował przypomnieć sobie sen. Kobieta w kominiarce... A jeśli to Jolanta Czernik? Jeśli to ona dzwoni? Może znowu wymyśliła sobie jakiś eksperyment do książki? A może ta książka to tylko pretekst, żeby spełniać jej chore fantazje? Nie, no przecież sam widział, że coś pisała. Nawet dwa razy widział; raz w salonie kosmetycznym, a potem w domu na komputerze. Ale właściwie skąd wiadomo, co ona tam naprawdę pisze? Czy to rzeczywiście książka, czy może jakieś zapiski obłąkanego umysłu?

Ostatnio w tej wersalce miło nie było. Ciasno, ciemno, duszno. Leżeli tam z kilkanaście minut bez ruchu, a kiedy Jola (zanim wleźli do środka, zaproponowała przejście na ty, bo, jak stwierdziła, głupio gniotąc się razem w ciasnej skrzyni, zwracać się do siebie: pan, pani) uznała, że już wrażeń wystarczy, Piotr musiał tapicerkę z tyłu odrywać, bo od wewnątrz nie dało się wersalki otworzyć.

Czy to może być Jola? – zastanawiał się już całkiem obudzony.

Nie, to niemożliwe, bo przecież skunks i suknia były wcześniej, zanim jeszcze zleciła mu pierwsze zadanie. Chyba że... przypomniał sobie, jak patrzyła na niego przy tym pierwszym spotkaniu w salonie kosmetycznym. Może jednak te telefony to jej sprawka? Mogło być przecież tak, że trafiła na jego ogłoszenie wcześniej i dzwoniła, a potem spotkali się przypadkowo i wtedy wymyśliła, że da mu jeszcze konkretne zlecenia do wykonania.

Było to mało prawdopodobne, jednak zbiegi okoliczności się zdarzają. W każdym razie Joli nie da się wykluczyć z grona podejrzanych. Właściwie to grono nie było zbyt szerokie, a ściśle biorąc, ograniczało się na razie do jednej jedynej Jolanty Czernik.

ROZDZIAŁ 10

Na Piastowskim znowu ktoś pozrywał ogłoszenia. Te w nowych punktach również. Piotr miał nadzieję, że już niedługo w ogóle nie będzie musiał bawić się w rozwieszanie ulotek na mieście. Zainwestował w stronę internetową i jej pozycjonowanie, a zadowoleni klienci chętnie polecali go znajomym – tymi dwiema drogami trafiało do niego najwięcej nowych zleceń. Ale uznał, że w tym momencie nie było ich jeszcze aż tyle, żeby zrezygnować z ogłoszeń.

To nie mógł być przypadek, że ulotki na osiedlu Piastowskim znikają szybciej niż gdzie indziej. Ktoś robił to specjalnie. Ale kto i po co? Komu mogły przeszkadzać jego ogłoszenia? Pierwsze, co przychodziło do głowy, to konkurencji. To byłoby logiczne, ale nie trafił nigdzie w okolicy na reklamę firmy zajmującej się podobną działalnością. Gdyby natomiast było to działanie chuliganów, zrywaliby wszystkie ulotki, a nie tylko jego. O co więc w tym wszystkim mogło chodzić? Nie miał pojęcia, ale postanowił, że się tego dowie. Oprócz miejsc, które wykorzystywał już wcześniej, obwiesił ogłoszeniami również osiedlowe latarnie i drzewa.

Jaki to właściwie kolor? – zastanawiał się Piotr, wieszając ostatnią ulotkę. Jakiś dziwny, nie czerwony, niebieski, zielony ani żółty, nie, na pewno nie, jakiś bardziej niespotykany, chyba podobny do fioletowego, może wrzosowy? Piotr dostał właśnie pilne wezwanie do Piwnicy pod Wrzosowym (albo jakimś tam innym) Kapeluszem. Miał tam naprawić zmywarkę. No tak, w kawiarni zmywarka jest niezbędna. Zapisał tylko adres, nazwy nie zapisywał i teraz męczył go ten kolor, którego nie mógł sobie przypomnieć. Pewnie baba jest właścicielką, facet by na taką nazwę nie wpadł. Ciekawe, czy mają w tej Piwnicy jakiś kapelusz?

Mieli. Wisiał nad barem i pewnie był liliowy, skoro lokal nosił nazwę: Piwnica pod Liliowym Kapeluszem, ale kto i dlaczego kolor jasnofioletowy nazwał liliowym, Piotr nie miał pojęcia. Jemu lilia kojarzyła się z bielą.

Piotr nie przepadał za kawiarniami i restauracjami, nie czuł się tam swobodnie. Fizyczna bliskość obcych ludzi, mimowolne ocieranie się o osobiste sprawy osób siedzących przy sąsiednich stolikach przy jednoczesnym zachowaniu dystansu było dla niego krępujące. Niechęć stawał się podglądaczem.

Pochodził ze wsi, a tam nie miało się ludzi obojętnie. Dzieciaki mówiły „dzień dobry” każdemu, czy znały go, czy nie znały. Człowiek nie był anonimowy. No pewnie, że miało to swoje dobre i złe strony, czasami Piotr wolałby, żeby nikt na niego nie zwracał uwagi, jako dzieciak nie musiałby przejmować się, że ktoś powie rodzicom o jego wybrykach, a teraz mama nie obawiałaby się domysłów Jaśkiewiczowej. Z drugiej strony, kiedy rodzicom spalił się dom (Piotrka nie było jeszcze wtedy na świecie), jedni sąsiedzi przygarnęli ich pod swój dach, inni zrobili zbiórkę rzeczy i pieniędzy, a gdy rodzice zaczęli odbudowywać dom, wszyscy przychodzili i pomagali na budowie zupełnie bezinteresownie.

Piotrek pamiętał też, jak będąc w podstawówce, pierwszy raz jechał tramwajem i dziwił się, że pasażerowie milczą. W autobusie, którym czasami jeździł z mamą do miasteczka, było inaczej. Ludzie, wchodząc, głośno witali się, zagadywali innych, opowiadali i wypytywali, gdzie kto jedzie i po co, wymieniali najnowsze wieści. W tramwaju nikt nie mówił: „dzień dobry”, pasażerowie obojętnie patrzyli w okno albo czytali gazety. W sklepach „dzień dobry” mówili tylko niektórzy, a sprzedawczyni podawała klientowi rzeczy, które chciał kupić, mówiła, ile zapłacić, brała pieniądze, klient pakował zakupy i wychodził. I już. Bez żadnych rozmów. Bez zagadywania: „Pani Rzeszotowa, a co tam u córki? Panie Janicki, gratuluję wnuka”. To było pierwsze zetknięcie Piotrka z dużym miastem. I pierwsze zaskoczenie, że można na ludzi patrzeć tak, jakby ich wcale nie było. Na wsi jednych się lubiło, innych nie, ale nikogo nie traktowało się

jak powietrze. Piotr miał to głęboko zakodowane. I dlatego nie lubił lokali.

Ale wchodząc do Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem, nie poczuł skrępowania i właściwie nie miałby żadnych oporów, żeby usiąść w kącie przy stoliku, na którym zapraszająco płonąła świeczka, choć nikt tam nie siedział. Mógłby zamówić kawę czy herbatę i koniecznie coś słodkiego – na przykład ta szarlotka z lodami, którą jadły trzy śmiejące się głośno kobiety, wyglądała bardzo zachęcająco. I wcale nie byłoby mu głupio, że siedzi tu sam. Wokół pachniało świeżo paloną kawą (zauważył w rogu maszynę do palenia kawy), z głośników sączyły się jakieś angielskie ballady, świeczki migotały na stolikach, a śmiech kobiet od szarlotki wybijał się nad szum rozmów. Piotr nie lubił, kiedy ludzie zachowywali się zbyt głośno, ale teraz ten głośny śmiech wcale mu nie przeszkadzał. Było w nim tyle radości, że udzielała się i jemu. Złapał się na tym, że patrząc na nie, sam również się uśmiecha.

– No, Maryśka, to jakiś panieński wieczór musimy ci urządzić! Koniecznie! Ale nowina! Nie podejrzewałam cię o takie tempo. Ty zawsze taka wyważona i ostrożna, a tu masz, niedawno się z Rajmundem poznaliście i już ślub! – zdziwiła się Zakręcona – tak w myślach nazwał ją Piotr, bo kobieta miała taki łobuzerski błysk w oku i najwyraźniej nie mogła usiedzieć w miejscu – gestykulowała, podskakiwała na krześle, a jasne włosy wyglądające jak sprężynki podskakiwały razem z nią.

– Magda, a na co mamy czekać? – odpowiedziała Maryśka. – Wszystkiego w życiu matematycznie nie da się obliczyć. Zawsze jest jakieś ryzyko. Dość się już nazastanawiałam, najwyższa pora, żeby zacząć nareszcie żyć!

Piotr zdziwił się, że koleżanka określiła tę kobietę jako wyważoną i ostrożną.

– Maryśka, nie poznaję cię! Tak trzymać. – Zakręcona zaśmiała się, podnosząc lampkę wina. – Za Maryskę!

– I za Rajmunda! – dodała trzecia kobieta.

Stuknęły się kieliszkami, a Piotr w myślach dołączył się do tego toastu. I na chwilę zapomniał, że przecież przyszedł do pracy.

Rudowłosa kobieta w kolorowej sukience, która przed chwilą przemykała z tacą między stolikami, stoi teraz za bufetem. Parzy kawę w ekspresie, nalewa sok do szklanek, stawia na tacy talerzyki z ciastem, a w międzyczasie jeszcze odbiera telefon. Piotr chce ją złapać, zanim znowu odejdzie od bufetu.

– Dzień dobry. Piotr Kowalczyk.

– O, dzień dobry. Weronika... – Nazwiska Piotr nie dosłyszał, bo słowa zagłuszył nagły rumor na zapleczu.

– Pewnie znowu jakiś talerz się stłukł albo szklanka. Naczynia nie mieszczą się nam na suszarce. Dobrze, że pan mógł dzisiaj przyjść, bo zmywarka jest u nas niezbędna. Mam nadzieję, że to tylko jakiś drobny defekt.

– Zaraz zobaczymy. Ja jak lekarz, nie mogę wydać diagnozy, dopóki nie zbadam pacjentki.

– No to już prowadzę pana do pacjentki. – Weronika uśmiechnęła się. – A kawy się pan napije?

– Tak tu pachnie, że nie potrafię odmówić. Ale później. Najpierw obowiązki, potem przyjemność.

Kuchnia jest niewielka. Przy zlewie kobieta, a właściwie dziewczyna myje właśnie ostatni talerzyk, a chłopak, tak na oko gimnazjalista, zmiata okruchy szkła z podłogi.

– Dzień dobry – mówi Piotr.

– Dzień dobry – odpowiadają niemal równocześnie.

– Pani Weroniko, ja nie chciałem. – Chłopak ma skruszoną minę. – Ja zapłacę.

– Przecież wiem, że nie chciałeś. Każdemu czasami zdarza się coś złego. A pieniędzy żadnych od ciebie nie wezmę.

Słowa Weroniki działają na chłopaka jak balsam. Odręża się, jego ruchy przedtem szybkie i nerwowe nabierają spokojnej pewności.

– Ten pan przyszedł naprawić zmywarkę – wyjaśnia Weronika.

– Super! – cieszy się dziewczyna. – Bo ja mam już dość tego zmywania. Wie pan, coś się chyba zapchało, bo naczynia są niedomyte. – Sięga po ręcznik. – To ja już panu nie będę przeszkadzać. A jakby coś było potrzeba, proszę mnie szukać w sali.

Chłopak patrzy pytająco na Weronikę.

– Jędrzek, zostaniesz tu i w razie czego pomożesz panu?

– Jasne!

– To co mam robić? – pyta Jędrzek, kiedy Piotr sprawdza filtr zmywarki.

– A chcesz coś zrobić?

– No pewnie! To fajne umieć tak wszystko naprawić!

– Najpierw sprawdziłem filtr, trochę się tu resztek nabierało, więc wyczyściłem, ale przyczyna niedokładnego mycia musi być inna. Przykręcisz filtr?

– Pewnie! – Jędrzek z zapalem zabrał się do roboty.

Potem Piotr wyjaśniał mu, co trzeba zrobić, a chłopak wykonywał kolejne czynności – sprawdził, czy otwory w ramionach spryskujących są czyste (były), odkręcił sitko przy wlewie wody i okazało się, że jest zapchane. Jędrzek miał uszy czerwone z przejęcia i cieszył się jak detektyw, który rozwiązał zagadkę. Wyczyścił sitko, przepłukał wąż doprowadzający wodę i dokładnie wszystko dokręcił.

– No chłopie, gotowe! Zrobiłeś to sam! – pochwalił go Piotr.

– Naprawdę? I myśli pan, że będzie działać?

– Zaraz sprawdzimy. Leć do pani Weroniki, może się znajdzie kilka brudnych naczyń.

Jędrzek wrócił z pełną tacą, włożył naczynia do zmywarki i nastawił program.

– No to mamy teraz trochę czasu, ja napiłbym się kawy, a ty?

– A ja kupię sobie colę.

– Colę to ja ci stawiam i ciastko do tego, wybierz tylko jakie. Robotę za mnie zrobiłeś, to ci się jakaś zapłata należy.

– I jak tam zmywarka? – Weronika zajrzała do kuchni.

– Pani Weroniko, to ja naprawiałem. Sam! Pan mi tylko mówił, co mam robić!

– Chłopak ma do tego smykałkę! Jest chętny do roboty, dokładny i szybko się uczy – pochwalił Piotr, a Jędrzek pokraśniał z dumy.

– Proszę pana, a pamięta pan pierwszą rzecz, którą pan naprawił? – spytał Jędrzek, kiedy już z szarlotką, kawą i colą siedzieli przy tym stoliku w kącie, który Piotr przedtem wypatrył.

– Takich rzeczy się nie zapomina. Naprawiłem dziewczynie rower. A konkretnie nałożyłem łańcuch, niby nic wielkiego, ale robiłem to pierwszy raz w życiu i wcale nie byłem pewien, czy mi się uda.

– Zaplusował pan u tej dziewczyny?

– Zaplusowałem. – Piotr uśmiechnął się do wspomnień. – To były moje najpiękniejsze wakacje.

– A po wakacjach?

– Wyjechała – westchnął – i nigdy więcej jej nie spotkałem.

– A ja zrobiłem dla dziewczyny ludzika z kamieni – pochwalił się Jędrzek.

– I co, zaplusowałaś?

– Zaplusowałem – powiedział z dumą.

– To teraz jeszcze możesz zaplusować u jej mamy, gdyby czasami popsula im się zmywarka. – Piotr spojrział na zegarek. – No, już program się skończył. Idziemy sprawdzić.

– Udało się, pani Weroniko, pani Karolino! – Jędrak z dumą prezentował kryształowo czyste szklanki.

– Świetnie! Panie Piotrze, czy mógłby pan do nas znowu przyjść na przykład w poniedziałek po południu, wtedy jest mniej ludzi, a jakieś tam drobiazgi znalazłyby się jeszcze do naprawienia.

– Oczywiście. O czwartej może być?

– Jak najbardziej.

– A ja mogę przyjść panu pomagać? – Jędrak patrzył na Piotra błagalnym wzrokiem.

– Pewnie, że możesz. We dwóch pójdzie nam szybciej.

Piotr wrzucał do koszyka kolejne zakupy, ale myślami ciągle jeszcze był w Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem. To miejsce miało coś w sobie... Cieszył się, że dostał następne zlecenie i będzie mógł tam wrócić. Chociaż podejrzewał, że Weronika jeszcze nie bardzo wiedziała, co ma mu zlecić do roboty. Czuł, że wymyśliła to ze względu na Jędrka. Opowiedziała mu potem trochę o tym chłopaku; jak to przyszedł po raz pierwszy zimą zmarznięty, w zniszczonej kurtce, pytając, czy znalazłaby się dla niego jakaś praca. Zleciła mu wtedy odśnieżanie, zrobił to szybko, dokładnie i zapytał, czy może jeszcze przyjść. I tak się zaczęło. Jędrak przychodził, wykonywał drobne prace, czasami Weronika pomagała mu w lekcjach, chłopak poprawił oceny. A kiedy razem z matką wyprowadził się od ojca alkoholika, widać było, że chłopak rozkwita. Piotr słuchał z podziwem, jak to Jędrak poszedł do mamy dziewczyny, która zabroniła się córce z nim spotykać (to była ta dziewczyna od ludzika) i powiedział jej, że to nie jego wina, że ma ojca pijaka, że on nie jest chuliganem i nie sprowadzi Klaudii na złą drogę, przecież w szkole ma już lepsze zachowanie i oceny, a Klaudia jest dla niego jak skarb i nikomu nie pozwoliłby jej skrzywdzić. I przekonał tę mamę.

*

– Dzień dobry, Józefina Klepacka. Pan był u mnie dwa razy, kiedy Hrabia... – Urwała. Gdyby nie podała swojego nazwiska, Piotr by jej nie poznał. Głos miała zupełnie inny.

– Tak, pamiętam. Zdejmowałem Hrabiego z drzewa.

Milczała.

– Pani Józefino, w czym mogę pomóc?

– Może pan do mnie przyjechać? – Głos jej drżał od powstrzymanego płaczu.

– Oczywiście. Będę za pół godziny.

– Dziękuję.

Józefina Klepacka oczy miała opuchnięte od płaczu, na twarzy rozmazane resztki makijażu i wyglądała, jakby nagle przybyło jej z dziesięć lat.

– Co się stało, pani Józefino? – spytał z troską Piotr.

– Hrabia... odszedł.

– Uciekł? Mam go poszukać?

Pokręciła głową.

– Nie żyje. Wpadł pod samochód. – Wskazała pudło stojące na korytarzu.

W pudle od butów wyłożonym kocem leżał Hrabia. Na pierwszy rzut oka nie widać było żadnych ran.

– Wybiegł na drogę... ten samochód nie przejechał go, tylko uderzył... Widziałam to... – mówiła tak cicho, że Piotr ledwie ją słyszał. – Hrabia leżał na poboczu nieprzytomny, z pyska leciała mu krew, chciałam dzwonić do weterynarza... Nie zdążyłam. – Otarła oczy chusteczką. –

Często uciekał. Gdy tylko zauważył otwarte drzwi, prześlizgiwał się między nogami. Wracał po kilku godzinach. Czasami przynosił mi mysz. Nie chciałam wypuszczać go z domu. Obawiałam się, że kiedyś może nie wrócić. Może biegł tak szybko, bo bał się, że go złapię? Może gdybym dała mu więcej wolności, toby nie zginął? – Ukryła twarz w dłoniach. – Muszę go pochować. Ale nie w ogródku. W lesie. Niech chociaż teraz ma trochę wolności. On pana lubił... Pomoże mi pan?

– Ależ oczywiście. Proszę mi to dać. – Piotr chciał wziąć od niej karton.

– Nie, ja sama. Jeszcze chociaż przez chwilę...

Usiadła w samochodzie z tyłu z pudłem na kolanach.

– Hrabia... mnie... uratował. Po śmierci Janka... to znaczy mojego męża w ogóle nie chciało mi się żyć – opowiadała, próbując powstrzymać łzy. – Płakałam całymi dniami, nie jadłam, więc lekarz dał mi jakieś leki. Przestałam płakać, ale byłam bezwolna jak kukła. Nie wychodziłam, w domu miałam tylko suchy chleb i ryż, ale ryżu nie chciało mi się gotować. Nie wiem, czy ktoś go podrzucił... czy sam mnie wybrał... a może to mój anioł stróż... – Przełknęła łzy. – Kociak siedział na wycieraczce. Wpuściłam go na ulicę, ale wrócił. Uparty był. Wciąż wracał. Siadał na wycieraczce i patrzył. Po dwóch dniach się poddałam. Wzięłam go do domu. Musiałam wyjść po zakupy, bo przecież nie mogłam zwierzaka głodzić. Nie odsłaniałam zasłon ani nie otwierałam okien, więc nawet nie wiedziałam, że jest wiosna. Kiedy wyszłam na dwór, aż zakręciło mi się w głowie od świeżego powietrza. I coś takiego było w tym powietrzu, że przez moment poczułam nadzieję, że będzie lepiej. I chociaż to odczucie zaraz minęło, ale świadomość, że jeszcze mogę coś czuć, pomagała mi przetrwać. I Hrabia. Nazwałam go tak, bo byle czego nie jadł, taki był wybredny, jakbym go wzięła z pałacu, a nie z ulicy. Kiedy siadałam... wskakiwał... na kolana. Kiedy się kładłam... wtulał się we mnie i... mrucał... – Urwała. Przez dłuższy czas nie mogła się uspokoić. – Podobno koty mają dobrą energię. Hrabia na pewno miał. To dzięki niemu wydobyłam się z beznadziei. – Zamilkła i resztę drogi przejechali już w ciszy.

Wracali też w ciszy. Piotr zawiózł Józefinę Klepacką do domu i nie wziął od niej pieniędzy. Próbowala mu je wetknąć, ale stanowczo zaprotestował. Zaskoczył ją tym. Kiedy odjeżdżał, dostrzegł kątem oka, że obserwuje go zza firanki.

ROZDZIAŁ 11

Piotr wybierał się właśnie do Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem, gdy zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, proszę pana, ja nie będę owijać w bawełnę, bo szkoda na to czasu, tylko powiem od razu, o co mi chodzi. Ale najpierw jeszcze jedno pytanie; czy umie pan tańczyć?

– Tańczyć? Wie pani, jak kiedyś poszedłem na kurs tańca towarzyskiego, instruktorka powiedziała, że taniec mam we krwi i była pewna, że gdzieś wcześniej trenowałem. Ale po co pani ta wiadomość?

– To świetnie! – ucieszyła się kobieta. – Otóż potrzebny mi partner na wesele. To jest w sobotę za trzy tygodnie, cała noc, cena nie gra roli.

– Ależ proszę pani, ja nie świadczę usług towarzyskich.

– Wyjaśnijmy sobie najpierw pewne rzeczy, ja nie oczekuję od pana usług erotycznych ani stwarzania pozorów, że łączą nas jakieś bliższe relacje. Jestem prezesem dużej firmy, moje życie to praca i nie mam czasu na utrzymywanie kontaktów towarzyskich. Zresztą wcale mi tego nie brakuje. Ale skoro już muszę iść na to wesele, bo jakieś zobowiązania rodzinne niestety mam, to wolę iść z kimś i potańczyć, niż siedzieć samotnie jak kołek i nudzić się. To czysta ekonomia, proszę pana, a nie jakieś zawołowane propozycje. Gdybym chciała iść z panem do łóżka, powiedziałabym to otwarcie.

Pani prezes parla do przodu jak czołg, nie zważając na przeszkody. Mówiła tak szybko, że Piotr nie mógł za nią nadążyć. W głowie miał chaos. Jednego tylko był pewien, nie zamierzał iść z nią na to wesele.

– Jeśli pan nie ma odpowiedniego stroju – odezwała się znowu, zanim Piotr dążył znaleźć odpowiednie słowa – to też żadna przeszkoda, moja znajoma prowadzi wypożyczalnię strojów wizytowych, na pewno znajdzie coś odpowiedniego. Oczywiście ja płacę. I nocleg na miejscu po weselu ma pan zapewniony. To jest niedaleko, jakieś trzydzieści kilometrów za miastem. Jaką cenę pan proponuje?

– Proszę pani, nie mogę przyjąć tego zlecenia. To nie wchodzi w zakres działalności firmy.

– Oferuje pan zlecenia nietypowe, moje zlecenie do takich należy, nie oczekuję niczego niezgodnego z prawem ani z zasadami przyzwoitości, więc powinien pan je przyjąć.

Piotr czuł się jak robaczek, który stanął na drodze czołgu. Pani prezes najwyraźniej nie brała pod uwagę odmowy. A urażona kobieta-czołg mogła mu narobić kłopotów. Choćby przez negatywne opinie w internecie. Ale na wesele nie zamierzał iść. Musiał znaleźć sposób, żeby się jakoś sprytnie wykręcić.

– Proponuję panu dwa i pół tysiąca złotych. Czas pracy od siedemnastej do drugiej w nocy. Dłużej nie zamierzam tam siedzieć.

Takiej sumy się nie spodziewał. Ile to trzeba się napracować na te dwa i pół tysiąca, a tu jedna noc i już. Potańczyłyby sobie, pojadł, towarzystwo pani prezes i jej rodziny może jakoś by zniósł przez te parę godzin. No i nie musi przecież udawać jej narzeczonego... Ale nie... jednak nie... Trzeba tylko wyjaśnić to pani prezes jej językiem.

– Wie pani, chodzi o dobre imię marki. Pani propozycja nie ma żadnych podtekstów i jako taką mógłbym ją przyjąć, ale dochodzi tu czynnik ludzki. A czynnik ludzki jest nieprzewidywalny. Co z tego, że przedstawi mnie pani jako znajomego, ludzie różne rzeczy mogą sobie dopowiedzieć, a co wymyślą, na to ani pani, ani ja nie mamy wpływu. Dlatego nie mogę wchodzić w jakieś relacje rodzinne ani w sytuacje, które mogą sprawiać wrażenie dwuznacznych. Moja firma zajmuje się głównie sprawami technicznymi i nie chcę, żeby była

postrzegana inaczej, bo to mogłoby mieć negatywny wpływ na zaufanie klientów. Pani przecież też musi dbać o dobre imię firmy, więc myślę, że pani mnie rozumie.

– No cóż... – westchnęła pani prezes – rozumiem. Trudno, muszę znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Do widzenia.

Piotr odetchnął z ulgą. Udało się! Poradził sobie z panią prezes! Była zawiedziona, ale zrozumiała jego racje. Przepęłniało go poczucie zwycięstwa. Wsiadając do samochodu, pogwizdywał *We are the champions*, ale to nie wystarczyło, żeby dać upust nagromadzonym emocjom. Gdyby mógł opowiedzieć o tym wszystkim Karolinie... Ona tak umiała się cieszyć. Opowiedziałby jej też o Jędrku, o Jagodzie i małej Antosi. O Hrabim i jego pani, o pisarce, ale by się Karolina uśmieła z tych eksperymentów do książki. Właściwie każdy dzień przynosił nową historię, tyle się już ich nazbierało... Piwnica pod Liliowym Kapeluszem też na pewno spodobałaby się Karolinie. Tak bardzo chciałby ją tam zabrać.

*

Jędrrek czekał na niego gotowy do pracy. Od pani Weroniki dowiedział się już wcześniej, co jest do zrobienia. Trochę kapało z kranu, jakieś drzwiczki w szafce się obluźowały, jedna szuflada była uszkodzona, no i jeszcze w szafie przydałyby się dwie dodatkowe półki.

– Proszę pana, czy ja mogę sam to wszystko naprawić? – spytał Jędrrek, patrząc na Piotra błagalnym wzrokiem. – Pan tylko powiedziałby mi jak i patrzył, czy dobrze robię.

– Właściwie czemu nie?

Jędrrek był pojętym uczniem, a Piotr nieźle czuł się w roli nauczyciela i świetnie im się razem pracowało.

– Proszę pana... – odezwał się Jędrrek nieśmiało, kiedy już uporali się z robotą – bo ja mam do pana taką ogromną, ogromną prośbę. Tylko boję się, że pan odmówi...

– Nie bój się, tylko mów.

– Bo... bo mi się strasznie podoba ta praca. I tak sobie pomyślałem, że... no... czy panu nie przydałby się pomocnik? Ja tak bardzo bym chciał nauczyć się tych wszystkich rzeczy!

– No, nie wiem... – Piotr się wahał. – Zaskoczyłeś mnie trochę. Czasami przydałby mi się pomocnik, ale co na to twoi rodzice?

– Mojego ojca interesuje tylko wódka – powiedział z goryczą chłopak. – Nie mieszkamy z nim. A mama na pewno się zgodzi.

– Musiałbym porozmawiać z mamą.

– To ja już do niej dzwonię, dobrze? – Jędrrek wyciągnął z kieszeni telefon.

– No to dzwoń!

– Mama pyta, czy za piętnaście minut pan tu jeszcze będzie, bo chciałyby się z panem zobaczyć. Będzie pan, prawda?

– No dobrze, powiedz mamie, że będę. A teraz umyj ręce po robocie i śmigaj do tego wolnego stolika w rogu, a ja lecę po ciastka. A może lody wolisz?

– Ale... ja nie mam kasy.

– Nie marudź. Zapracowałeś uczciwie. A jak chcesz ze mną pracować, to pamiętaj – szefa trzeba słuchać. A jak szef stawia, to się nie odmawia, jasne?

– Jasne, szefie!

– No to ciastka czy lody?

– Lody – powiedział nieśmiało Jędrrek.

– I cola?

– Ale mi tak głupio...

– Jędrrek, już ci mówiłem. No to jak, cola?

– Cola.

– Oczarował pan tego chłopaka – szepnęła Karola (tak miała na imię dziewczyna, która pracowała u Weroniki), kiedy Piotr składał zamówienie przy bufecie.

– To prawda – dodała Weronika. – Jędrak nie mógł się pana doczekać. Zajął tu gdzieś po drugiej i dopytywał, czy pan na pewno będzie i co jest do zrobienia, a potem jeszcze kilka razy przychodził i pytał, czy pan może już jest i taki był podekscytowany, że nie mógł usiedzieć w miejscu. O, przyszła jego mama!

– Anastazja Karpieluk – przedstawiła się mama Jędrka, wyciągając rękę do Piotra. W jej rysach dostrzegł podobieństwo do syna, ale właściwie trudno byłoby mu określić, na czym ono polega. Była szczupła, wysoka, nie mógłby powiedzieć o niej, że jest ładna, ale nie powiedziałby też, że jest brzydka, przeciętną również by jej nie nazwał. Miała w sobie coś interesującego, ale widać było, że sporo w życiu przeszła.

– Mój syn ostatnio tylko o panu mówi. – Kobieta przyglądała mu się uważnie. – Jest zafascynowany. Bardzo chciałby panu pomagać w pracy. Podobno pan się zgodził.

– O ile oczywiście pani wyrazi zgodę. Jędrak ma smykałkę do majsterkowania i chce się uczyć. Szkoda byłoby to zmarnować.

– A pan? – Spojrzała na niego nieufnie. – Co pan z tego będzie miał?

– Niepokoi się pani o syna. – Patrzył jej w oczy. – Rozumiem. Tyle się teraz mówi o pedofilii.

– Lepiej, żeby się mówiło za dużo niż za mało, jeśli pomoże to uchronić choć jedno dziecko.

– Ależ oczywiście, zgadzam się z panią. A co ja z tego będę miał? Satysfakcję. No i chętnego pomocnika, a to skarb. Są takie prace, że bez pomocnika się nie obejdzie. Oczywiście zapłacę Jędrkowi za pomoc.

– Nie trzeba, przecież pan go będzie uczył, a nauka kosztuje.

– Za dużo nie zarobi, zapłacę mu według stawek dla pomocnika budowlanego, a w razie gdyby coś popsuł, to potrączę, niech chłopak wie, że się ponosi konsekwencje, ale niech też wie, że jego praca ma realną wartość. Tak będzie uczciwie.

Anastazja Karpieluk zmarszczyła brwi i zastanawiała się przez chwilę. Piotr czuł, że zaliczył test.

– Robi pan wrażenie porządnego człowieka. Zgoda. Ale niech to nie będzie za często, żeby Jędrak miał czas na odrabianie lekcji.

– Ależ oczywiście. Mam najpierw panią informować, czy od razu dzwonić do Jędrka?

– Do Jędrka. Niech się chłopak uczy samodzielności.

Jędrak rozpływał się z radości na wieść, że mama się zgodziła. Obiecywał Piotrowi, że niczego nie sknoci i będzie słuchał pana szefa, a mamie, że nie będzie miał zaległości w szkole.

Potem Weronika poczęstowała ich sernikiem i sama też przysiadła się do nich na chwilę. Kobiety wypytywały Piotra o jego pracę, o najczęściej spotykane i najbardziej nietypowe zlecenia, Piotr opowiadał, Jędrak chłonał każde jego słowo, a Anastazja Karpieluk zerkała to na syna, to znowu na mężczyznę.

Piotr chętnie posiedziałby z nimi dłużej, ale dochodziła już szósta, a miał tego dnia jeszcze jedno zlecenie do wykonania.

Pani Halina Glinkowska mieszkała niedaleko Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem. Poprosiła o pomoc przy zrywaniu śliwek.

– Zawsze zrywał mi sąsiad, a ja dawałam mu za to trochę śliwek i kilka słoików powideł, ale teraz do sanatorium wyjechał, a ja na drzewo nie wejść niestety... Już nie te lata, proszę pana, nie te lata. Kiedyś to się chodziło po drzewach... – Starsza pani uśmiechnęła się do swoich

wspomnień. – Co spadło, to pozbierałam, zerwałam te, co nisko rosły, ale reszty nie dałam rady. Na przystanku zobaczyłam pańskie ogłoszenie i zadzwoniłam. Bo to przecież grzech byłby, gdyby się takie śliwki miały zmarnować.

Piotr zgadzał się z nią w zupełności. Śliwki były słodkie i soczyste. Pyszne. A starsza pani trochę przypominała panią Augustynę. Obie były zadbane, zaradne, świetnie zorganizowane, pewnie i jednej, i drugiej się nie przelewało, ale umiały gospodarować pieniędzmi, dbały o porządek, robiły przetwory i gdyby tylko były bardziej sprawne, poradziłyby sobie bez jego pomocy. W dodatku obie były przesympatyczne. Podziwiał takie staruszki.

Piotr zrywał śliwki, a pani Halina Glinkowska podlewała kwiaty przy płocie. Ulicą przechodziła grupka wyrostków.

– Pani! – zawołał chłopak w czerwonej koszulce. – Dzień dobry! A śliwek można spróbować?

– Krzysiek, daj spokój – zrugła go idąca za chłopakami kobieta o wyglądzie surowej nauczycielki i uśmiechnęła się do starszej pani – Dzień dobry, pani Halinko.

– Dzień dobry. Zaraz wam dam śliwek, tylko jakąś torbę znajdę. Witaminy dobrze człowiekowi robią, a ja tych śliwek mam tyle, że sama wszystkiego nie przejem. – Staruszka uśmiechnęła się. – Pani Wiesiu, proszę chwilkę poczekać.

Jedną reklamówkę śliwek pani Halinka dała pani Wiesi, nie zważając na jej zapewnienia, że przecież nie trzeba, a drugą chłopakowi w czerwonej koszulce z przykazaniem, żeby podzielił się z kolegami.

– To chłopaki z ośrodka resocjalizacyjnego, znajdującego się o dwa domy dalej – wyjaśniła Piotrowi – ja w tym ośrodku pracowałam aż do emerytury. Ludzie dziwili się, jak ja wytrzymuję, a mnie wcale nie było źle. Chłopaki swoje za uszami mieli, nieraz któryś jakiś numer wywinął, ale zdarzały się i takie historie, że człowiek nie myślał już o tym, ile się musiał nagadać i nadenerwować, tylko cieszył się, że chłopakowi udało się wyjść na prostą. „Nie miałeś wpływu na to, gdzie się urodziłeś i co cię w życiu spotkało, ale od ciebie zależy, co z tym życiem zrobisz” – tak im mówiłam. Czasami myślałam, że może za często to powtarzam, że osłuchali się i znaczenie słów już do nich nie dociera. Nieraz jak zaczynałam zdanie, to któryś kończył za mnie z komentarzem: „wiem, że ode mnie zależy, co zrobię ze swoim życiem, przecież pani nam to ciągle mówi”. To nie są złe chłopaki, tylko trochę im się w życiu pokręciło. Ja w kuchni pracowałam, a wie pan, ile to chłopcy w takim wieku mogą zjeść? Nieraz przybiegali do mnie, jak już kuchnię miałam zamykać i mówili, że głodni. No to wyciągałam chleb i coś z lodówki, chłopaki robili kanapki, herbatę, mnie też częstowali i siedzieliśmy sobie w tej kuchni razem. Czasem któryś coś opowiedział, czasem pożałił się na nauczyciela, o rodzicach, broń Boże, złego słowa żaden nie pisnął, choćby i ci rodzice byli najgorsi. Raz Jarek z Maćkiem zapytali, czy umiem pizzę zrobić i czy ich nauczę, bo im się tak strasznie pizzy chce. No i jak miałam im odmówić? Zrobili tę pizzę i byli tacy dumni, że im się udało. Potem to często przychodzili, a to frytki smażyli, to znowu murzynka piekli, bo im słodkiego nagle się zachciało. Ileż to razy zostawałam dłużej w pracy, ponieważ szkoda mi było chłopaków z kuchni przegonić. A ilu to ich się przez tę moją kuchnię przez lata przewinęło. Kiedy kończyli szkołę i wracali do siebie, różnie życie się układało. Czasami ścisnęło człowieka za serce, bo wydawało się, że idzie ku dobremu, a chłopak do dawnego środowiska wracał i nie wytrzymał – wódka, narkotyki, więzienie. Ale bywało i tak, że przyjeżdżali tutaj po latach, żeby pochwalić się, że wyszli na ludzi. Pamiętam Sylwka... Ale może ja pana nudzę? – zaniepokoiła się pani Halina.

– Ależ skąd – zaprotestował Piotr. – Bardzo ciekawie pani mówi. To co było z tym Sylwkiem?

– Do zawodówki do nas przyszedł. Na piekarza się uczył. Młody chłopak, a już alkoholik.

Przychodził do mnie do kuchni pogadać. Z praktyki świeży chleb albo bułki przynosił i opowiadał, jak robi się różne rodzaje chleba, jakie to maszyny są w piekarni, czego nowego się nauczył. Zafascynowany był tą pracą. Ciasta też lubił piec. Wyszukiwał różne przepisy. „Spróbujemy to upiec, pani Halinko?” – pytał. I właściwie sam piekł. Ja się tylko przypatrywałam. Miał rękę do ciast. Moje drożdżowe było niezłe, ale tak jak Sylwkowi nigdy mi nie wyrastało. Żeby nie ta wódka... Oj, nie było lekko. Ale chciał się leczyć. Przeszedł terapię, skończył szkołę, zrobił dyplom mistrzowski i teraz jest wziętym piekarzem. Kiedyś przyjechał do ośrodka, nawiózł nam wtedy chlebów, bułek, ciast. – Pani Halina uśmiechnęła się do wspomnień. – A Rafał? Trafił do nas za wagary i jakieś drobne przewinienia, bo kiedy człowiek obowiązku nie ma, to i głupoty mu różne do głowy przychodzą. Pamiętam, jak miał pierwszy dyżur w stołówce. Nic nie chciał robić, bo on tu nie do roboty przyjechał, a jedzenie mu się należy i już. A jak się ktoś będzie go czepiał, to napisze do rzecznika praw dziecka, do gazety i do telewizji, kontrole nam tu porobią i cała Polska o nas usłyszy – tak się odgrażał. Zbuntowany był strasznie. Wszystkich uważał za wrogów. Bardzo inteligentny chłopak, ale jak się zaparł, to ni marchewką, ni kijem nic się nie dało zrobić. Nie wiem, jak to się stało, że mu się w końcu odmieniło, czy wydarzyło się coś szczególnego, czy ktoś coś powiedział, czy może Rafał pozbierał różne sytuacje, przemyślał je i doszedł do wniosku, że nikt tu nie chce go skrzywdzić, w każdym razie jakby nagle mu się odwróciło. Skończył szkołę ze średnią ponad pięć. Najlepszy uczeń w historii szkoły. A pomyśleć, że przedtem siedział w którejś klasie. I z rodzicami udało mu się dogadać. A to już niemal cud.

– Kici, kici... – zawołała pani Halina do burego kota, który właśnie przeskoczył przez płot – a gdzie ty, Kubusiu, łażyłeś przez całą noc? No, dobrze już, dobrze. – Poglaskała kocura, który mrużąc, ocierał się o jej nogi. – Rozumiem, masz swoje kocie sprawy, nie będę się wtrącać. Tylko nie lubię, kiedy pchły do domu znośisz. Zjadłbyś pewnie coś? Zaraz ci dam.

Pani Halina podreptała do domu i po chwili wróciła z miską pełną suchej karmy.

– O, przypomniała mi się jeszcze jedna historia o chłopakach z ośrodka i o Kubusiu. Wie pan, oni strasznie przeklinają. Ile ja razy zwracałam im uwagę, nie da się zliczyć. Ale wcale się nie przejmowali. Aż kiedyś powiedziałam im tak: „Chłopcy, ja was bardzo proszę, żebyście nie przeklinali, jak tu koło mnie przechodzicie, bo mój kot nie może tego znieść. Jak słyszy przekleństwa, natychmiast ucieka i nie ma go przez kilka godzin”. Chłopaki zaśmiali się i poszli. Ale następnym razem, jak mnie zobaczyli, jeden pyta: „Pani, a kot jest?”. Odpowiedziałam, że jest. A on na to: „No dobra, to już nie będziemy przeklinać”.

– Ma pani do tych chłopaków podejście – powiedział Piotr z podziwem.

– Wie pan, tak sobie nieraz myślę, że ja miałam łatwiej niż nauczyciele i wychowawcy w internacie. Ja nie musiałam ich wychowywać, dbać o dyscyplinę, sprawdzać, czy odrobili lekcje. Jak chcieli, to do mnie przychodzili, jak nie chcieli, to nie. Pedagodzy używali marchewki i kija, u mnie chłopcy zawsze mieli marchewkę. No i jeszcze czasami pizzę albo ciasto. – Zaśmiała się. – O, widzę, że już prawie koniec. Jak pan zbierze wszystkie, to proszę przynieść sliwki do domu i zapraszam na kolację.

– Nie chcę robić pani kłopotu.

– A przyjemność może mi pan zrobić? Bo ja zazwyczaj jadam sama albo w towarzystwie Kubusia. A czasami dla odmiany przydałoby mi się ludzkie towarzystwo.

– Wobec tego skorzystam z pani zaproszenia z przyjemnością. Bo ja też zazwyczaj jadam sam. A czasami mnie również przydałoby się ludzkie towarzystwo – zaśmiał się Piotr.

Starsza pani rzuciła okiem na jego obrączkę.

– Żona mnie zostawiła, ale obrączkę noszę. Dała mi ją na znak swojej miłości i wierności, więc jej nie zdejmuję. Może to głupie, bo przecież obrączka mi jej miłości i wierności nie

przywróci. Ale gdybym ją zdjął, to znaczyłoby, że straciłem nadzieję. Że się pogodziłem.

Starsza pani milczała.

– Od kilku miesięcy usiłuję dociec, dlaczego tak naprawdę odeszła. Co zrobiłem nie tak? Powiedziała, że wszystko się wypaliło... We mnie wcale się nie wypaliło. A ona nie chce ze mną rozmawiać. Podobno potrzebuje czasu na przemyślenie. Ale jak długo można żyć w zawieszaniu? – Westchnął. – Uciekam w pracę. Szukam sobie zajęcia, żeby nie rozważać tego wszystkiego na nowo.

Staruszka spojrzała na niego oczami, które już niejedno w życiu widziały.

– Ułoży się. Wszystko się jakoś ułoży.

– No, to jutro nie będę się nudzić – powiedziała pani Halina na widok dwóch wiader śliwek. – Zapraszam na kolację.

Na widok zastawionego stołu Piotr poczuł, że jest głodny. Jego codzienne kolacje bywały mało urozmaicone. A teraz stały przed nim kielbaski na gorąco, sałatka z pomidorów, jajka w majonezie i kilka słoiczków z przetworami będącymi zapewne dziełem gospodyni; grzybki, ogórki małosolne, sok malinowy do herbaty i... musztarda pomidorowa – przeczytał napis na słoiczku.

– Musztarda pomidorowa? – zaciekał się. – To pani wyrób?

– Prawie wszystko na tym stole to moje wyroby, oprócz herbaty, kielbasy i jajek. Ogórki, pomidory i maliny z mojego ogródka, grzyby zbierałam w tamtym roku, no i majonez też sama robiłam. A ta musztarda to ze starego przepisu mojej mamy. Mama robiła musztardę pomidorową, kiedy ketchupu jeszcze w Polsce nikt nie produkował i nie sprzedawał.

Piotr nabrał łyżeczką trochę musztardy. Spróbował. Przymknął oczy, delektując się smakiem.

– Widzę, że panu smakuje – ucieszyła się gospodyni. – A może pan odgadnie składniki?

– Pomidory, ocet winny, cebula, sól, cukier, pieprz, cynamon, goździki, papryka, ziele angielskie – wymienił Piotr bez wahania.

– Nieprawdopodobne! – zdziwiła się pani Halina. – Podał pan wszystkie składniki i to bez zastanowienia! Pan ma niesamowite wyczucie smakowe.

– Proszę pani, ja doskonale znam ten smak. – Piotr uśmiechnął się.

– Niemożliwe! To przedwojenny przepis, moja mama przywiozła go z Mościsk.

– Z Mościsk?!

– Tak, teraz to Ukraina, rodzina mojej mamy stamtąd pochodziła.

– Niesamowite! Moja babcia mieszkała w Mościskach! I robiła taką musztardę.

Dokładnie taką samą. Kiedy ją gotowała, pachniało w całym domu – rozmarzył się Piotr. – I cały czas trzeba było mieszać, żeby się nie przypaliło. Koniecznie drewnianą łyżką. Nie pozwalała nam próbować z tej łyżki. Mówiła, że musztarda zepsuje się, jeśli włożymy do niej oblizaną łyżkę. Czasami pomagałem babci przecierać pomidory. Pamiętam, że w przepisie było trzydzieści pięć dużych pomidorów. Babcia zazwyczaj robiła podwójną porcję. A ja liczyłem pomidory. Nie chodziłem jeszcze do szkoły, kiedy nauczyłem się liczyć właśnie na tych pomidorach.

Starsza pani słuchała tej opowieści z wypiekami na twarzy.

– Jak nazywała się pańska babcia?

– Anna Müller.

Pani Halina aż podskoczyła na krześle.

– Anna Müller?! – spytała z niedowierzaniem. – Nieprawdopodobne!

– Znała ją pani?

Pani Halina nie odpowiedziała. Z tajemniczym uśmiechem wstała z krzesła, zajrzała do

szuflady i wyjęła z niej rozpadający się pożółkły zeszyt. Otworzyła go i podsunęła Piotrowi.

– Musztarda pomidorowa Andzi Müllerowej... – przeczytał zaskoczony. Przepis wyglądał na bardzo stary. Litery były wyblakłe, miejscami trudne do odczytania.

– Pan nie zna tej historii? – spytała starsza pani.

– Jakiej historii?

– Historii tego przepisu.

– Nie... – Piotr był zaintrygowany. – Babcia lubiła opowiadać różne historie, ale o tym nigdy nie wspomniała.

– Pańska babcia była świetną gospodynią. Podobnie zresztą jak i moja mama – zaczęła pani Halina. – Obie brały udział w konkursach kulinarnych, które odbywały się raz w roku przy okazji święta patrona kucharzy albo może jakiegoś innego świętego, nie pamiętam dokładnie. Zadanie konkursowe polegało na przygotowaniu potrawy lub dodatku według własnego autorskiego przepisu. Wiele osób startowało w tym konkursie, ale szansę na pierwsze miejsce miały tylko dwie uczestniczki: Anna Müllerowa i moja mama. Zawsze wygrywała któraś z nich, co wywoływało złośliwe plotki wśród przegranych. Mówiono, że mają układy w jury, nawet w którymś tam roku zmieniono komisję, żeby nie było podejrzeń o znajomości, ale i tak wtedy wygrała moja mama, a w następnym roku pańska babcia. To chyba wtedy właśnie wymyśliła tę musztardę. Wszyscy myśleli, że będzie prezentować wędliny, bo naznosiła szynkę, baleronów, kielbas na zimno i na gorąco, co poniektórzy szeptali po kątach, że przecież tylko jedną potrawę można zgłosić, a nie tyle, i że komisja powinna ją zdyskwalifikować. A wtedy Anna Müllerowa wystawiła na stół miseczki z musztardą pomidorową i oznajmiła, że te wędliny to tylko dodatek, bo na konkurs zgłasza musztardę. Wygrała. A jej musztarda pomidorowa zrobiła furorę. Na przyjęciach (a podobno pańscy dziadkowie często wyprawiali przyjęcia), wszyscy zachwycali się tą musztardą i koniecznie chcieli poznać przepis. Ale Andzia przepisu dać nie chciała. Powiedziała, że zachowa go w tajemnicy i przekaże tylko swoim dzieciom, ale dopiero gdy będą dorosłe. Uparła się i już. A okolicę ogarnęła musztardowo-pomidorowa gorączka. Pełnia sezonu letniego w wielu domach pachniała gotowanymi pomidorami z kombinacją różnych przypraw. Gospodynie eksperymentowały, próbując uzyskać unikalny smak musztardy pomidorowej Anny Müllerowej. A kiedy musztarda była już w słoikach, zawsze jeden z nich trafiał do twojej babci, która miała ocenić jakość. Podobno były to całkiem udane eksperymenty, jednak nikomu nie udało się odkryć tajemnic tamtego przepisu. W związku z musztardowo-pomidorowym szaleństwem jako imprezę towarzyszącą konkursowi kulinarnemu wprowadzono dodatkową konkurencję z nagrodą publiczności za najlepszą musztardę pomidorową roku. Twoja babcia oczywiście już w tym nie brała udziału. A moja mama była najbardziej zawziętą eksperymentatorką. Odkrycie przepisu Anny Müllerowej stało się jej obsesją. Gdy tylko dojrzywały pomidory, mama zaczynała eksperymentować. Stojąc całymi dniami przy garnkach, w których powoli pyrkotała gęstniejąca czerwonobrunatna masa, potrafiła zapomnieć o ugotowaniu obiadu, o zrobieniu zakupów, o umówionej wizycie. Nie jadła, nie sprzątała, nie interesowała się, co robią jej dzieci. „Gotowanie to sztuka, a twórca potrzebuje spokoju” – mówiła, wyganiając nas na dwór. Próbowaliśmy zwrócić jej uwagę kłótniami albo dla odmiany zachowując się jak aniołki, ale nic nie pomagało. Mój brat nawet kiedyś specjalnie się skaleczył, ale mama powiedziała, że nie może odejść od garnka, żeby mu pomóc, bo musztarda się przypali i odesłała go do taty. Piwnica w naszym domu zastawiona była słoikami wypełnionymi musztardą pomidorową w różnych smakach, mama rozdawała je sąsiadom i znajomym, ale na półkach wcale nie robiło się luźniej, bo miejsce oddanych słoików zaraz zajmowały nowe. Kiedyś śniło mi się, że mama oddała nas do sierocińca, bo w domu było za mało miejsca i nie miała gdzie stawiać słoików z musztardą. Pamiętam tamten sen bardzo wyraźnie. Na szczęście

nadchodziła jesień, pomidory przestawały dojrzewać i mama znowu stawała się normalną mamą. Aż do następnego lata. Nie wiem, do czego mogłoby dojść, gdyby mama wreszcie nie zdobyła tego przepisu. A dopomógł jej w tym przypadek. To było zimą, chłopcy ślizgali się na zamrożonym jeziorze, a wśród nich syn twojej babci, nie pamiętam już który. I nagle załamał się pod nim lód. Przestraszone dzieciaki rozbiegły się, wołając o pomoc. A akurat tamtędy przechodziła moja mama. Uratowała chłopca i zaprowadziła do domu. Anna Müllerowa spytała, jak mogłaby się jej odwdziżyć i wtedy moja mama, niewiele myśląc, powiedziała, że chciałaby przepis na musztardę pomidorową. Zaraz potem zrobiło się jej głupio i wycofała prośbę, ale twoja babcia wcisnęła jej prawie ten przepis, taka była szczęśliwa, że jej syn żyje.

– Niesamowite! Babcia opowiadała mi tyle różnych historii i wojennych, i przedwojennych. Pamiętam, jak to w czasie wojny wujek chorował na tyfus i pielęgniarka przemycała mu w rękawie naleśniki, jak położna przykazała służącej, żeby nie pozwoliła babci zasnąć po porodzie, bo może wpaść w śpiączkę i ta służąca ciągle przychodziła do babci z jakimiś pytaniami, a babcia była wściekła, bo chciała tylko spać i spać. Wiem, że babcia była nauczycielką w szkole elementarnej w majątku Gombrowiczów i Wituś Gombrowicz nosił jej obiady z dworu. Przypominam sobie tylko strzępki niektórych opowieści. Ale jestem pewien, że o przepisie na musztardę pomidorową nigdy nie słyszałem.

– Ciekawe, dlaczego o tym nie mówiła? – zastanawiała się pani Halina. – Uniosła się honorem i dała przepis, ale odbierała to jako porażkę? Nie mam pojęcia. Ale proszę jeść, panie Piotrze, kielbasa pewnie już wystygła. – Gospodyni podsunęła mu talerz. – Wnuk Anny Müllerowej w moim domu, nie mogę w to uwierzyć! Gdybym przeczytała tę opowieść w książce, pomyślałabym, że to trochę naciągane. A tu patrzcie, jakie życie pisze niesamowite historie!

Piotr wyszedł od Haliny Glinkowskiej obładowany słoikami musztardy pomidorowej, grzybków, ogórków, dżemu wiśniowego, soku malinowego i sam nie wiedział, czego jeszcze. I na dodatek musiał obiecać, że za trzy dni przyjdzie po powidła śliwkowe, „bo powidła to trzeba przez kilka dni gotować, a przecież pan zrywał te śliwki, więc jak to tak, żeby pan ich nie spróbował” – powiedziała starsza pani i o odmowie w ogóle nie chciała słyszeć. Piotr miał trochę wyrzutów sumienia, bo sam zaproponował, że zamiast pieniędzy jako zapłatę może przyjąć kilka słoików musztardy pomidorowej, jeśli tylko pani Halinie odpowiadałby ten układ, ale nie spodziewał się, że dostanie aż tyle. Mówił, że to za dużo, lecz gospodyni wcale go nie słuchała.

ROZDZIAŁ 12

Nareszcie nadeszła pierwsza środa po urlopie Karoliny. O czternastej dwadzieścia Piotr zajął miejsce w cukierni naprzeciw domu kultury. Popijał kawę i żeby po raz nie wiadomo który nie układać w myślach scenariusza rozmowy, próbował czytać gazetę. Minęła trzecia, wpół do czwartej, czwarta, wpół do piątej, a Karoliny jak nie było, tak nie było. Za pięć piąta Piotr zobaczył w drzwiach domu kultury Olgę. Nie bardzo miał ochotę pytać kogokolwiek o żonę, ale nie mógł już znieść tego napięcia, a do Olgi miał zaufanie. Wiedział, że nie będzie jutro roznosić po domu kultury sensacyjnych wieści okraszonych własnymi przypuszczeniami.

– Olga! Poczekaj! – Odwróciła się, słysząc jego głos.

– Cześć – powiedziała z rezerwą.

– Cześć. – Piotr próbował zachowywać się swobodnie, ale chyba nie bardzo mu się to udawało. – Szukam Karoliny. Została dzisiaj dłużej?

Olga spojrzała na niego dziwnie.

– Karolina jest na zwolnieniu lekarskim.

– Przeziębła się na urlopie? Kiedy wróci?

– Nie wiem.

Piotr czuł, że coś przed nim ukrywa.

– To coś poważnego?

– Nie... to znaczy tak... właściwie to nie wiem. Przepraszam cię, bardzo się spieszę.

– Olga, o co chodzi?

– Muszę lecieć, cześć.

Wiedział, że nic więcej z Olgi nie wyciśnie. Ale miał już dość czekania i domyślania się, o co chodzi. Sięgnął po telefon. Jeśli Karolina teraz nie odbierze, gotów był kupić starter i zadzwonić z innego numeru, a w ostateczności pójść do niej – wiedział przecież, gdzie Wypłoz mieszka.

Odebrała. Piotr był tak zaskoczony, że całkiem go zamurowało.

– Od jakiegoś czasu zbierałam się... żeby do ciebie zadzwonić.

– Naprawdę? – Z wrażenia zaschło mu w gardle.

– Chciałabym się z tobą spotkać.

Piotr miał wrażenie, że śni. Takiego scenariusza rozmowy nawet sobie nie wymarzył.

Myślał, że będzie musiał ją przekonywać, namawiać, tymczasem to ona zaproponowała spotkanie.

– Ja też. Bardzo. Kiedy tylko chcesz.

– Może być pojutrze po południu?

– Oczywiście. A może jutro?

– Nie, jutro nie mogę. Pojutrze o siedemnastej, jeśli ci pasuje, na neutralnym gruncie – w jakiejś kawiarni na przykład.

– Pasuje, no pewnie, że pasuje. Znasz Piwnicę pod Liliowym Kapeluszem?

– Nie – zdziwiła się.

– To fajne miejsce. Z klimatem. Ręczę, że ci się spodoba.

– No to podaj adres. Piwnica pod Liliowym Kapeluszem, mówisz... hmm... zawsze unikałeś kawiarni.

– Ludzie się zmieniają...

– Czasami się zmieniają – potwierdziła niechętnie.

Piotr spojrzał na zegarek. Jak on przeżyje te czterdzieści siedem godzin i trzydzieści

dziewięć minut? O, już minuta mniej. Napisał esemes do Marka: „Podziałało. Karolina umówiła się ze mną na pojutrze”. Nie zdążył jeszcze schować telefonu, gdy dostał odpowiedź: „Trzymam kciuki, stary!!!”. Trzy minuty mniej. I co dalej? Co zrobić z tym czasem? Okręcił na palcu obrączkę. Karolina chce się spotkać! Myślała o nim! Zamierzała zadzwonić! Na pewno spodoba się jej w Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem, co do tego nie miał wątpliwości. I dobrze, że nie umówili się w domu, gdzie tyle wspólnych wspomnień, ale też i żalów, pretensji. Jak to ona powiedziała? Aha, że chce się spotkać na neutralnym gruncie. Neutralny grunt to dobre miejsce na nowy początek... Piotr nie śmiał snuć dalszych wyobrażeń, żeby nie zapeszyć. Olga mówiła, że Karolina jest na zwolnieniu, ale chyba to nic poważnego, skoro się z nim umówiła. Mógł zapytać, co jej jest, lecz był tak zaskoczony, że w ogóle nie przyszło mu to do głowy. Czterdzieści siedem godzin i dwadzieścia osiem minut. To bez sensu patrzeć tak ciągle na zegarek i odliczać czas. Musiał poszukać sobie jakiegoś zajęcia. Na dzisiejsze popołudnie nie umówił się z żadnym klientem. Tych z następnego dnia nie mógł niestety przełożyć. Czterdzieści siedem godzin i dwadzieścia pięć minut. Długo. Strasznie długo. Jakiś film? Nie, nie byłby w stanie wysiedzieć przed telewizorem. Nad książką też nie mógłby się skupić. Ulotki! Dawno nie rozwieszał ulotek. Przynajmniej zajmie się czymś pożytecznym.

Na Piastowskim czekała go kolejna niespodzianka. Ktoś znowu zerwał jego ogłoszenia, tego się Piotr spodziewał, natomiast nie spodziewał się, że miejsce, gdzie przedtem były jego ulotki, zajmą inne – informujące o zbiorce artykułów szkolnych, zabawek, książek i słodczy dla dzieci ze świetlicy środowiskowej, podany był również adres świetlicy i godziny otwarcia. Było ich tyle, ile ulotek Piotra i wisiały dokładnie w tych samych miejscach. Ale dlaczego te dzieciaki uwzięły się akurat na jego ogłoszenia, zostawiając w spokoju informacje o korepetycjach z matematyki, szkole językowej, szybkich pożyczkach, nowo otwartym salonie fryzjerskim, ekspresowym praniu dywanów, masażu klasycznym w domu klienta, zaginionym psie małej Oli, promocji w butiku i pracy dla opiekunki do dziecka od zaraz? Dlatego że było inne? Czy też może za pierwszym razem wybrały je na chybił trafił, a teraz konsekwentnie kontynuowały podjętą grę? Czy chciały tylko zrobić mu na złość, czy też tymi ulotkami próbowały sprowokować go do walki? Nie, nie zamierzał zniżyć się do niszczenia czyichś ulotek. Rozwiesił swoje w innych miejscach. Zresztą biorąc pod uwagę jedyną klientkę, jaka trafiła mu się do tej pory z tego osiedla, pewnie gra niewarta była świeczki. Ale Piotr nie lubił się łatwo poddawać.

Około dziewiątej wieczorem jeszcze raz podjechał na Piastowskie, żeby sprawdzić, czy ulotki wiszą. Wisiały. Ale już następnego ranka dwanaście jego ofert znikło, ustępując miejsca ogłoszeniom świetlicy. Pewnie gówniarze spieszyli się do szkoły i nie zdążyli wszystkich zerwać – pomyślał, mając ochotę odplacić im pięknym za nadobne, ale się powstrzymał.

Nie jesteś gówniarzem, tylko dorosłym facetem, więc zachowuj się jak dorosły – przekonywał sam siebie, wyszukując wolne miejsca na tablicach ogłoszeniowych. Nie zamierzał wracać na Piastowskie wieczorem ani zaglądać tam w ciągu najbliższych kilku dni (choć korciło go, żeby sprawdzić, jak sytuacja wygląda), ale nie zamierzał też sobie Piastowskiego całkowicie odpuścić. Niech przeciwnik nie myśli, że wygrał.

Wrócił do domu i rozglądał się w poszukiwaniu jakiegoś sensownego zajęcia, które pozwoliłoby przeczekać.

Szkoda, że Marek nie mieszkał bliżej. Usiedliby sobie, Marek przy piwku, Piotr przy coli, albo wybraliby się na rowery lub też na ryby, albo wymyśliliby jeszcze coś innego i czas jakoś by zleciał. Pewnie, że na ryby albo na rower mógłby się wybrać i bez Marka, ale to nie to samo. Kumpel nie pozwoliłby mu zapętlić się w przypuszczeniach i wyobrażeniach, co może się zdarzyć. „Nie ma co gdybać, stary – powiedziałby Marek ze stoickim spokojem – jak się spotkacie, to zobaczysz, co z tego wyniknie”. Może jeszcze dołożyłby do tego jakieś przysłowie

albo jakiś cytat, bo Marek lubił sobie czasami pofilozofować. Albo przypominałby ten kawał o facecie, który poszedł do sąsiada pożyczyć siekierę i po drodze prowadził monolog; pożyczy czy nie pożyczy... no, czemu miałby nie pożyczyć, chyba pożyczy... ale jak nie będzie chciał pożyczyć... może powie, że mu się zagubiła... albo że trzonek odpadł... może nie pożyczy... skąpiec jeden... drań! A kiedy sąsiad otworzył mu drzwi, facet, nie dając mu dojść do głosu, wrzasnął: W dupę wsadź sobie tę swoją siekierę! A potem pośmialiby się razem i powspominaliby różne inne dowcipy, które kiedyś ich śmieszyły, sprawdzając, czy śmieszą ich nadal. Gdyby Marek mieszkał bliżej...

Znowu spojrzął na zegarek. Czterdzieści cztery godziny pięćdziesiąt trzy minuty. Dźwięk telefonu ucieszył Piotra. Może nareszcie coś zacznie się dziać.

– Dzień dobry, proszę pana, ja mam do pana taką delikatną sprawę.

– Tak, słucham.

– Jestem studentką szkoły artystycznej. Ostatnio długo chorowałam i mam trochę zaległości. Muszę zrobić kilka szkiców.

– A w czym mogę pani pomóc? – spytał, bo dziewczyna zamilkła.

– No widzi pan... trochę się wstydzę... Bo z martwą naturą to sobie poradzę, pejsaż to też nie problem, ze zwierzęciem nie będzie kłopotu. Chrupek, to znaczy mój pies, jest strasznym śpiochem, jak zaśnie, to go naszkicuję, ale ta ostatnia praca to nie wiem...

– A cóż to za praca? – spytał, żeby ją zachęcić, bo dziewczyna znowu zamilkła. Ciągle nie wiedział, czego od niego oczekuje. Chyba nie spodziewa się, że narysuje coś za nią.

– No właśnie... w tym cała rzecz... Oni robili to na zajęciach całą grupą, a mnie nie było.

I teraz mam problem. Jak nie oddam wszystkich prac, nie dostanę zaliczenia.

– Ale czego pani ode mnie oczekuje? W rysowaniu na pewno pani nie pomogę.

– Nie, nie chodzi o rysowanie. Mam naszkicować akt męski. Oni na zajęciach mieli modela, a co ja mam teraz zrobić? Przecież nie poproszę ojca, brata albo kolegi, żeby mi pozował do aktu. No i dlatego zwracam się do pana...

– Ja mam pozować pani do aktu?!

– Bardzo pana proszę, to długo nie będzie trwało, jakieś kilka godzin najwyżej. Moi rodzice wyjeżdżają, brata nie ma, nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Ależ proszę pani, na pewno są jakieś agencje modeli czy coś. Kogoś pani znajdzie. Przecież skądś tych ludzi do pozowania biorą.

– No tak, ale wie pan, co innego, jeśli ktoś pozuje przed grupą, a tak w kontakcie indywidualnym to nie wiadomo, jak taki model może się zachować. Niby to profesjonalista, ale... koleżanka z trzeciego roku też miała taką sytuację, że musiała modela szukać i potem ten facet jakieś tam dwuznaczne propozycje rzucał i do rysunku się wtrącał, zdenerwował ją wtedy strasznie. A ja w ogóle to raczej nieśmiała jestem i w takiej sytuacji to chyba uciekłabym. A już rysunek to na pewno byłby do niczego, o ile w ogóle coś bym narysowała. Wie pan, dla mnie też jest to okropnie krępujące... bo ja... ja nigdy tak na żywo nie widziałam gołego faceta. Bardzo pana proszę, niech mi pan nie odmawia!

– Ależ proszę pani...

– Bardzo pana proszę, bardzo! Niech pan mi pomoże! Wie pan, ile ten telefon kosztował mnie nerwów? Ja już nie mam siły, żeby szukać gdzie indziej! – Rozplakała się w słuchawkę.

Żal mu było dziewczyny, ale nie zamierzał się zgodzić.

– Proszę pani, przykro mi, ale nie przyjmę tego zlecenia.

– Błagam pana! Przecież nie odmówi pan kobiecie w takiej sytuacji!

– Przepraszam, ale nie, naprawdę. Proszę znaleźć kogoś innego.

– Naprawdę pan mi odmawia?

– Naprawdę. – Piotr czuł się trochę jak tchórz, który wpycha czepiającą się go dziewczynę z powrotem w łapy smoka.

– No cóż... wobec tego ponownie mamy remis – powiedziała zupełnie innym głosem. – Dwa do dwóch.

To znowu ona! I znowu go nabrała! Od czasu jej ostatniego telefonu Piotr, widząc na wyświetlaczu napis „nieznany”, był czujny. Ale dziewczyna zmieniła taktykę. Tym razem numer się wyświetlił. Piotr odszukał numer Joli Czernik. Oczywiście, że był inny, ale przecież to niczego nie przesądzało. Starter za pięć złotych można kupić w każdym kiosku. A autorka kryminału na pewno zadbałaby o zatarcie śladów. Co prawda głos z telefonu nie pasował do Joli, ale rozmówczyni zmieniała go za każdym razem. Może potrafiła to robić, a może korzystała z jakichś programów. W Google na hasło: „zmiana głosu w telefonie” znalazł 898 wyników. Dowiedział się, że bez problemu można ściągnąć darmową aplikację. Bez problemu, jeśli miało się odpowiedni telefon.

Piotr nie gonił za nowościami. Telefon służył mu do rozmów, wysyłania esemesów i jako budzik, z innych funkcji właściwie nie korzystał, nie widział więc potrzeby, żeby wymieniać sprawny aparat na jakiś nowszy model. Teraz po raz pierwszy tego żałował, bo nie mógł wypróbować interesującej go aplikacji. Nie miał pojęcia, czy głos po zmianie jest naturalny, czy też przypomina głos robota, ale jeśli nawet te darmowe programy były niedoskonałe, to były też na pewno inne doskonalsze i jeśli tylko komuś na tym zależało, mógł do nich dotrzeć. Przy ostatnim spotkaniu Jola mówiła, że na pewno wkrótce jeszcze się do niego odezwie. Ale minęło już kilka tygodni i nie kontaktowała się, więc może nie chodziło jej o kolejne zlecenie, tylko o te telefony?

*

Na strychu każda rodzina miała wydzieloną przestrzeń, którą zagospodarowywała na swój sposób. Piotr i Karolina trzymali rzeczy w starej szafie i leżących obok niej pudłach. Piotr bardzo rzadko zaglądał na strych. Nie mógł sobie przypomnieć, po co i kiedy ostatnio tam chodził, ale było to pewnie kilka lat temu. Karolina też nieczęsto tutaj bywała. Pranie suszyli w domu, większość rzadko używanych rzeczy przechowywali na pawlaczu, tylko te, które się tam nie mieściły i te, co do których nie mieli pewności, czy przydadzą się kiedykolwiek, wynosili na strych.

I pewnie Piotr nie zajrzałby tutaj jeszcze przez kilka kolejnych lat, gdyby nie trafił na informację, że ktoś chce kupić archiwalne numery „Młodego Technika”. Jako nastolatek zbierał „Młodego Technika”, niecierpliwie czekał na każdy kolejny numer, a potem czytał go od deski do deski. Gdzieś tu na strychu (tylko nie pamiętał dokładnie gdzie) powinno leżeć kilka roczników tego czasopisma, do których od dawna nie zaglądał, ale nie miał serca ich wyrzucić. Ucieszył się więc, dowiedziawszy się, że komuś wreszcie mogą się przydać.

Przeglądał kolejne kartony, w których były materiały Karoliny ze studiów oraz książki. Uśmiechnął się, widząc *Poradnik narzędziowca* i *Poradnik tokarza* w sąsiedztwie *Ulissesa* – Karolina kilka razy próbowała go czytać, aż w końcu stwierdziła, że więcej próbować nie zamierza i nie będzie trzymać na półce książki, która ją denerwuje. W ten oto sposób *Ulisses* znalazł się na strychu. Następne pudło pełne było nietrafionych prezentów ślubnych, wśród nich znajdowały się koce w zielono-czerwone wzory w takich odcieniach, że Karolina nie mogła patrzeć na te zestawienia kolorystyczne, komplet ciężkich niezgrabnych sztućców kupionych w dobie kryzysu gdzieś na targowisku, obrusy i serwetki, które nie przypadły jej do gustu. Piotr znalazł też dwa stare dywany, chodnik z przedpokoju, radiomagnetofon, telewizor, trzy pudła kaset, ale „Młodego Technika” jak nie było, tak nie było. Przejrzał już wszystkie kartony, na

koniec zostawił sobie szafę.

Była zamknięta na klucz. Dziwne. Piotr nie pamiętał, żeby kiedykolwiek była zamykana. Biorąc pod uwagę częstotliwość jego wizyt na strychu, mógł nie zauważyć jakichś zmian, ale po co Karolina miałaby ją zamykać? Skarbów przecież żadnych tam nie przechowywali. Nie miał pojęcia, gdzie mógłby leżeć ten klucz, zrobił więc wytrych z drutu. Bez trudu poradził sobie z zamkiem. „Młody Technik” częściowo luzem, częściowo w reklamówkach zajmował trzy półki, czwartą wypełniał „Murator”. Na wieszaku w worku foliowym wisiała suknia ślubna Karoliny, a na drugim futro z nutrii, prezent od teściów, którego synowa nie włożyła ani razu. Na dnie szafy leżały jeszcze jakieś rzeczy przykryte kocem w kratkę. Piotr ściągnął koc. Pod nim na stosie czasopism stało duże pudło. Wystawił je z szafy i zajął się gazetami. Wśród kilku roczników „Twojego Stylu” znalazł jeszcze pięć numerów „Młodego Technika”. Usatysfakcjonowany wynikiem poszukiwań, włożył „Twój Styl” z powrotem do szafy i sięgnął po pudło. Raczej nie zawierało gazet, ale na wszelki wypadek postanowił zajrzeć do środka. Odchylił pokrywę...

Pierwsze wrażenie było piorunujące. Ogarnęły go mdłości. Chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć głosu ze zduszonego gardła. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to nie jest martwy noworodek. Nikt nie zabił dziecka i nie ukrył go w pudle.

To była lalka.

Do złudzenia przypominająca noworodka lalka. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby nadać jej realistyczny wygląd, widać było nawet siateczkę cieniutkich żyłek pod skórą i zmarszczki na palcach jak u prawdziwego dziecka. Spod koronkowej czapeczki wysuwały się delikatne jasne włosy. Lalka miała zamknięte oczy. W białej sukience w pudle wyścielonym białą atlasową pościelą wyglądała jak w trumnie.

Nie podobała mu się wcale. To podobieństwo do prawdziwego dziecka przy jednoczesnym braku oznak życia budziło w nim jednoznaczne skojarzenia. Nigdy nie kupiłby dziecku takiej lalki, bo miałby wrażenie, że daje mu do zabawy trupa.

Nie chciał na nią patrzeć ani jej dotykać. Zamknął pudło i włożył je z powrotem do szafy.

Po co komu coś takiego? W filmie taka lalka mogłaby zastąpić dziecko i to było jedyne sensowne zastosowanie, jakie znalazł. Ale co robiła na strychu, w jego szafie? Skąd się tu wzięła? To chyba niemożliwe, żeby schowała ją tu Karolina? Chyba nie jako prezent dla jakiegoś znajomego dziecka? Chrześcianka Karoliny miała jesienią urodziny, ale przecież dla niej nie kupowałyby takiego подарunku, i to kilka miesięcy wcześniej. Ta lalka musiała być strasznie droga. A może dom kultury przygotowywał jakiś happening i lalka miała grać dziecko? Ale dlaczego rekwizyt do happeningu Karolina miałaby chować w szafie u siebie strychu? Dom kultury nie narzekał na brak pomieszczeń. A poza tym to coś nie wyglądało na rekwizyt. Ktoś poprosił Karolinę, żeby przechowała tę lalkę? Kto? I dlaczego?

Piotr zaniósł do domu znalezione egzemplarze „Młodego Technika”, uporządkował je według dat wydania i napisał maila do ogłoszeniodawcy. Robił to wszystko niemal automatycznie, bo ciągle miał przed oczami znaną na strychu lalkę i rozpaczliwie szukał w głowie argumentów, żeby oddalić wyjaśnienie jej pochodzenia, które nasuwało mu się od samego początku, a którego nie chciał zaakceptować.

Wpisał w wyszukiwarkę hasło: „lalka noworodek”. Wśród lalek dzidziusiów dla dzieci niepróbujących udawać, że są czymś więcej niż tylko lalkami, znalazł te, o które mu chodziło – lalki reborn. Materiału było mnóstwo; zdjęcia, artykuły, strony osób zajmujących się wyrobem takich lalek, aukcje i filmy. Przez kilka godzin Piotr czytał dyskusje zwolenników i przeciwników reborn. Jednych zachwycało podobieństwo do dzieci i uznawali te lalki za dzieła sztuki, innym, podobnie jak Piotrowi, kojarzyły się z martwymi dziećmi. Ceny lalek wahały się

od kilkuset do kilku tysięcy złotych. Podobno pierwsze takie lalki powstawały na zamówienie rodziców w żałobie po stracie dziecka, stąd nazwa „reborn” (odrodzić). Dowiedział się, że z gotowych elementów artysta tworzy lalkę, łącząc elementy i nadając lalce indywidualne cechy. Można zamówić lalkę z piegami, pieprzykami, z wysypką czy też innymi skazami albo też lalkę doskonałą bez żadnych wad. Aby lalka kolorem i w dotyku przypominała ludzkie ciało, pokrywa się ją wieloma warstwami specjalnych farb, a następnie wypieka. Potem jeszcze utwardza się ją werniksem w wysokiej temperaturze. Włoski wszczepiane są pojedynczo lub kępkami, a efekt wilgotnych ust uzyskuje się, powlekając je specjalnym lakierem, podobnie jak i paznokcie. Niektóre lalki mają wbudowany mechanizm, który sprawia, że ich klatka piersiowa porusza się jak przy oddychaniu i można też wyczuć bicie serca. Kobiety tworzące reborn nazywane są mamami, domowe wytwórnie lalek określa się jako żłobek, dzień ukończenia dzieła nazywany jest narodzinami, a zakup adopcją. Imię nadaje lalce pierwsza mama, czyli artystka, która je stworzyła. Do lalki dołączana jest wyprawka, a w niej ubranka i... zabezpieczona pępowina, opaska z datą urodzenia oraz certyfikat autentyczności.

Po przeczytaniu tych wszystkich informacji Piotr był zszokowany i sądził, że reborn nie są go w stanie już niczym zaskoczyć, gdy trafił na artykuł o reborn wampirach – lalkach wyglądających jak niemowlęta, które miały wystające kły, dziwne oczy, sińce pod oczami i trupioblade twarze, patrzył na te upiorne lalki i nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może coś takiego robić albo kupować. Na koniec zostawił sobie filmy.

Obejrzał kilka odcinków filmu o kobiecie robiącej reborn i jej klientkach. Była wśród nich bezdzietna mężatka, która miała kilka lalek, kilka wózków, całe kolekcje ubranek i akcesoriów dla niemowląt i wozila lalki w wózku na spacer. Była też babcia, która przez dwa lata wychowywała wnuka, a potem bardzo za nim tęskniła i zamówiła lalkę, która miałaby wyglądać tak jak jej wnuk po urodzeniu. Mężowie obu tych kobiet podchodzili z rezerwą do lalek i pasji swoich żon. Tych mężów Piotr doskonale rozumiał, ale za nic nie mógł zrozumieć kobiet. Dorosłe osoby bawiące się lalkami, traktujące je jak dzieci – wydawało mu się to co najmniej dziwaczne. Nie, dziwaczne to za mało, to było chore.

Łatwo było tak myśleć, gdy dotyczyło to obcych ludzi, ale... była jeszcze lalka na strychu i Karolina... Jak bardzo musiała pragnąć dziecka i jak bardzo musiała czuć się samotna... Co robiła z tą lalką? Czy zamówiła ją w nadziei, że choć odrobinę wypełni pustkę, a potem rozczarowana wyniosła ją na strych? A może lalka miała swoje miejsce w domu, może Karolina przebierała ją, przytulała, spała z nią, a chowała do szafy dopiero, kiedy on przyjeżdżał?

Gdyby wiedział... Co wtedy? Co by to zmieniło? Kiedyś próbował rozmawiać z nią o adopcji. To było kilka lat temu. Ale naskoczyła na niego, że trzeba mieć wiarę, bo wiara czyni cuda, a skoro proponuje adopcję, to znaczy, że nie wierzy, że jeszcze mogą mieć własne dziecko, a jak nie będzie wierzył, to się nie uda. Rozplakała się wtedy i nie chciała słuchać jego tłumaczeń, że przecież on nie proponuje adopcji w tym momencie, tylko chodzi mu o to, że w razie czego, odpukać, jest jeszcze inna droga. Wpadła w histerię, że to wszystko przez niego, że dlatego się nie udaje, bo on nie wierzy, a może nawet wcale nie chce tego dziecka. W ogóle nie słuchała, co Piotr mówi, więc w końcu zamilkł. Karolina była zła na niego jeszcze przez kilka dni, aż nadszedł czas płodny i znowu był jej potrzebny. Pogodziła się z Piotrem, ale miał wrażenie, że nie tyle zależy jej na nim, ile na jego spermie, że widzi w nim nie męża i kochanka, tylko samca rozplodowego albo żywy wtryskiwacz nasienia.

Jakiś rok temu przypadkowo natknęli się w telewizji na program o adopcji. Piotr milczał. To ona się odezwała.

– Podziwiam tych ludzi, ale ja nigdy nie odważyłabym się na adopcję. Z własnym dzieckiem nieraz trudno sobie poradzić, ale co własne, to własne. Nie oddasz go przecież.

A z takim adoptowanym to kto wie, jakie człowiek miałby pokusy, gdyby przyszły kłopoty. Adoptowanie dziecka to za duża odpowiedzialność – powiedziała, przełączając program. Nigdy więcej nie rozmawiali o adopcji.

Unikali też rozmów o dziecku.

Piotr myślał, że tak będzie lepiej. Próbował zaizolować ból. Ale teraz widział, że zrobił to jak partacz, który owija taśmą izolacyjną uszkodzony przewód elektryczny, nie sprawdzając, co dzieje się w środku, czy żyły nie są przełamane, a potem dziwi się, gdy obwód zostaje przerwany i prąd nagle przestaje płynąć.

ROZDZIAŁ 13

Chyba jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Nawet w dniu ślubu. A może Piotr z bliska tego nie zauważał? Może musiał ją stracić, żeby docenić? Aż trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś mógł ot tak po prostu schować twarz w jej włosach, poczuć ciepło ciała, błądzić ustami po jej szyi – a ona przytulała się wtedy, mrużąc jak kotka i szeptała, że jego pocałunki są jak miękki szalik i zachowa je sobie na zimę.

Karolina miała rozpuszczone włosy, jasną sukienkę, turkusowe korale i kolczyki z turkusami. Piotrowi serce zabiło nadzieją. Skoro założyła biżuterię, którą kiedyś dostała od niego, to znaczy... Nie śmiał nawet dokończyć w myślach, żeby nie zapeszyć.

Nie zauważyła go jeszcze. Przyjrzała się ozdobnemu srebrnemu dzwoneczkowi, który zadzwonił, gdy otwierała drzwi, a potem zaczęła rozglądać się po wnętrzu Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem. Na chwilę zatrzymała spojrzenie na kapeluszu wiszącym nad barem, zwróciła uwagę na kolorowe kartony zastępujące obrusy i pojemniki z kredkami na stolikach. Uśmiechnęła się na widok zdobionych ścian kolaży z rysunków gości, pieszczotliwie pogłaskała maszynę do palenia kawy. Piotr czuł, że spodobało się jej to miejsce. Był pewien, że tak będzie. Uśmiechnął się na myśl, że trochę jednak zna swoją żonę, ale wspomnienie lalki na strychu zgasiło jego uśmiech.

Karolina nie szukała wzrokiem Piotra. Pewnie myślała, że jest pierwsza, bo przyszła prawie pół godziny przed umówionym czasem, ale on był tu już piętnaście po czwartej. Specjalnie zjawił się tak wcześnie, żeby mieć okazję popatrzeć na żonę z daleka, zanim spotkają się we wspólnej przestrzeni.

Zatrzymała się przed jednym z kolaży, którego środek wypełniał dziecięcy obrazek przedstawiający kobietę tańczącą pod parasolem z tęczy. Piotr oglądał go już wcześniej. Nie był żadnym znawcą, ale ten kolaż spodobał mu się najbardziej. Miał w sobie coś przykuwającego uwagę.

Karolina oderwała wzrok od obrazu i powiodła nim po sali, szukając wolnego miejsca. Piotr uśmiechnął się, kiedy spotkali się wzrokiem. Na jej twarzy wyczytał zaskoczenie, ale zaraz zastąpił je wymuszony uśmiech. Skierowała się do jego stolika, ale Piotr miał wrażenie, że najchętniej uciekłyby stąd jak najszybciej.

– Cześć, Karolino. Ślicznie wyglądasz.

– Cześć. – Z ociąganiem podała mu rękę.

Oboje byli skrępowani. Piotr podsunął jej kartę. Kiedy Karolina ją przeglądała, on zerkał na żonę. Chyba było jej trochę więcej. Nie to, żeby jakoś znacząco przytyła, ale trochę ciała jej przybyło. To dobrze. Zawsze uważał, że kilka kilogramów dodatkowo by jej nie zaszkodziło. I kiedy Karolina po świętach narzekała, spoglądając na wagę, że musi się odchudzać, on odpowiadał, że kochanego ciała nigdy dość i próbował ją od tego odchudzania odwieść.

Zatrzymał wzrok na rowku między piersiami, który aż kusił, żeby wsunąć rękę w dekolt i sprawdzić, o ile urosły jej piersi. Bo że urosły, był tego pewien. Biust miała większy i cała była taka bardziej... miękka. Może to nie było najlepsze określenie, ale innego nie umiał znaleźć. Łagodniejsza, mniej nerwowa mimo tego napięcia, które wyczuwał i... – brakowało mu słów, żeby to nazwać – jakaś taka rozświetlona od środka.

– Czego się napijesz? Mają tu świetną kawę, sami ją palą. – Piotr słowami próbował przełamać zmieszanie.

– Nie, dzięki. Wolałabym jakiś sok, najlepiej ze świeżych owoców, pomarańczowy albo grejpfrutowy.

Piotr zdziwił się, bo Karolina była smakoszem kawy i wydawało mu się to aż niemożliwe, żeby straciła taką okazję.

– Pomarańczowy czy grejpfrutowy?

– Może być mieszany.

– I co do tego? Lody? Ciasto?

– Nie, dziękuję, nic więcej. Sok wystarczy.

– Naprawdę nie chcesz niczego słodkiego? Szarlotka z lodami jest pyszna.

– Nie, dzięki.

Piotr zamówił sok dla Karoliny i kawę dla siebie.

– No i jak ci się tu podoba? – zapytał, czekając, aż Weronika przyniesie napoje.

– Bardzo. Miałaś rację, to miejsce ma klimat. I ona też ma coś w sobie. – Wskazała głową na krzątającą się za barem Weronikę. – To właścicielka?

– Tak.

– Ta atmosfera to jej zasługa – stwierdziła Karolina. – Ale jestem ciekawa, jak ty tu w ogóle trafiłeś? Kiedyś wołami trudno cię było zaciągnąć do kawiarni.

– Miałem tu zlecenie do wykonania – uśmiechnął się Piotr.

– Jakiś remont? – Karolina powiodła wzrokiem po ścianach.

– Nie, nie remont. Naprawa zmywarki.

– O, a co się stało? Zmieniłeś branżę? – zdziwiła się.

– Trochę. Mogę ci dać moją ulotkę.

– Mąż zastępczy? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Czytaj dalej.

Szybko przebiegła wzrokiem tekst.

– No ciekawe... Najbardziej intrygują mnie te zlecenia nietypowe. Czy w tym zakresie mieszczą się też usługi erotyczne? – Spojrzała na niego uważnie.

– Karolino, naprawdę tak pomyślałaś?

– No nie. To znaczy wiem, że tego nie proponujesz, ale biorąc pod uwagę nazwę, ktoś może mieć nadzieję. I co wtedy?

Piotr opowiedział jej o pani, która proponowała mu szampana w wannie i o zapracowanej pani prezes. Zachęcony dalszymi pytaniami Karoliny wspominał też o Halinie Glinkowskiej i musztardzie pomidorowej oraz o polowaniu na nietoperza. Karolina niby go słuchała, ale widział, że wciąż jest spięta i myślami krąży gdzie indziej. Miał wrażenie, że jego słowa są daremną próbą zasypania przepaści, która między nimi powstała.

– Podoba ci się ta praca? – spytała, gdy skończył.

– Bardzo. Nareszcie jestem niezależny, lubię to, co robię, a każde spotkanie to nowa przygoda.

– To słyhać w twojej opowieści.

Zapadło milczenie. Karolina obracała w rękach szklankę z sokiem, Piotr bawił się łyżeczką. Słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Obawiał się reakcji, jaką mogą wywołać. Nie wiedział, czego się spodziewać. Wydawało mu się, że Karolina też zbiera się, żeby coś powiedzieć. Piotr odetchnął głęboko i zaczął pierwszy.

– Byłem na strychu.

Karolina drgnęła.

– Widziałem lalkę.

Skuliła ramiona. Utkwiła wzrok w dnie szklanki. Piotr miał wrażenie, że ma przed sobą małą dziewczynkę, która wie, że nabroila i czeka na burę.

– Karolino, ja nie wiedziałem... nie myślałem... chciałem oszczędzić nam bólu...

a zbudowałem mur! Ty też milczałaś. Myślałem, że już trochę pogodziłaś się, że jakby nam się udało, to byłoby cudownie, ale jeśli nie, jakoś to przeżyjemy. Nie chciałem jąrzyć ran. Nie wiedziałem, że ty tak bardzo... – Nawet teraz nie miał tyle odwagi, żeby wymówić słowo „dziecko”. – Zawiodłem, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś! Przepraszam.

Dalej wpatrywała się w pustą do połowy szklankę.

– Przepraszam, Karolino. – Odważył się dotknąć jej dłoni.

Cofnęła rękę.

– Facetowi jest łatwiej. Wyjechałeś sobie ot tak po prostu za granicę. Nie zależało ci.

– To nie tak. Wiesz, że tu nie było pracy. Miałem siedzieć beczynnie w domu i denerwować się brakiem perspektyw? A poza tym czasami jest przecieź tak, że kiedy trochę się wyluzuje, przestanie się kochać według kalendarza, wybierając najbardziej płodne dni, to wtedy właśnie dochodzi do poczęcia.

– U nas się to nie sprawdziło – powiedziała z goryczą.

– Niestety – westchnął Piotr. – Ale kiedy powiedziałem ci, że mam propozycję pracy za granicą, nie protestowałaś.

– A co miałam mówić? Przecieź nawet nie zapytałeś mnie o zdanie, tylko oznajmiłeś z triumfem, że wyjeżdżasz, bo dostałeś taką świetną propozycję! Tak się cieszyłeś! Innego rozwiązania w ogóle nie brałeś pod uwagę! Zostałam sama. Z myślami, z którymi nie umiałam sobie poradzić. Z poczuciem winy, że nie mogę dać ci dziecka. Z przekonaniem, że jestem gorsza, upośledzona. Z koszmarami sennymi, które zawsze zaczynały się tak samo – od pozytywnego wyniku testu ciążowego, potem była wizyta u lekarza i lekarz mi gratulował, mówił, że wszystko w porządku, a potem albo było poronienie, albo rodziłam córkę, zawsze to była córka – i zawsze umierała zaraz po urodzeniu!

– Nigdy nie mówiłaś mi o tym!

– Nie. Po co? O wielu rzeczach ci nie mówiłam. Przecieź od dłuższego czasu prawie nie rozmawialiśmy. W każdym razie nie rozmawialiśmy o niczym ważnym.

– Karolino, dajmy sobie jeszcze jedną szansę! Spróbujmy sami albo możemy pójść na jakąś terapię małżeńską jeśli tak wolisz! Proszę cię!

Milczała.

– Karolino... – Chciał powiedzieć, że ją kocha, ale chyba wyczuła to, bo mu przerwała.

– Chcę cię prosić o rozwód.

– Co?!

– Chcę wystąpić o rozwód bez orzekania o winie. Ja wiem, że to właściwie moja wina, przepraszam, ale proszę cię, żebyś się zgodził. Nie mamy dzieci, więc sprawa będzie łatwiejsza, a bardzo mi zależy na czasie. – Karolina mówiła szybko, nerwowo – Proszę cię, Piotrek!

Znaczenie słów docierało do Piotra jak przez mgłę.

– Umówiłaś się, żeby powiedzieć mi o rozwodzie?

Karolina spuściła głowę.

– Tak. Przepraszam, wiem, że tak się nie robi, że zdradziłam cię, odeszłam, a teraz jeszcze bezczelnie proszę o przysługę, ale... rozwód dostaniemy wcześniej czy później, a naprawdę bardzo mi zależy na czasie.

– Dlaczego?

Karolina nie była pewna, o co Piotr ją pyta. Czy dlatego odeszła, czy dlatego zależy jej na czasie, ale na oba te pytania miała jedną odpowiedź.

– Jestem w ciąży.

– Co?! – Piotr odruchowo spojrział na jej brzuch. Karolina miała luźną, marszczoną pod biustem sukienkę, brzuch się specjalnie w niej nie odznaczał. Wydawało mu się, że inne kobiety

też nosiły podobne sukienki, więc nie dostrzegł w tym wcześniej niczego niezwykłego.

– Chcę szybko załatwić rozwód, żeby dziecko miała uregulowaną sytuację prawną. Chociaż przed porodem chyba i tak nie zdążę, bo mam termin na początek grudnia. Nie mówiłam nic wcześniej, bo bałam się, żeby nie zapeszyć, ale Zbyszek nalegał, żeby to wreszcie rozplątać.

Piotr szybko policzył w myślach miesiące. To musiał być początek marca, jeszcze przed jego powrotem z Niemiec. Piotr był pewien, że nie on jest ojcem, po przyjeździe nie kochali się przecież ani razu. Karolina mówiła, że bierze lekarstwa, takie tam sprawy ginekologiczne. Jego żona urodzi dziecko Wypłosza! I oczekuje, że mąż się zgodzi na rozwód. Bez orzekania winy. Mało tego – oczekuje, że on zrobi to, żeby ułatwić jej i Wypłoszowi wspólne życie! I ich dziecku również. Był dla niej jedynie przeszkodą na drodze do szczęścia, którą należało usunąć. Tylko dlatego się z nim spotkała. Nie obchodził jej wcale. Liczył się tylko jego podpis na świstku przekreślającym wszystkie wspólne lata. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść, a może raczej – Murzyn nie zrobił swojego, Murzyn może odejść. Naprawdę spodziewała się, że on to zrobi? Że podpisze papier, który niszczy wszystkie jego nadzieje? Że jak potulne cielę zgodzi się na wszystko? Może jeszcze do ołtarza ich zaprowadzi albo chrzestnym dziecka zostanie? Przeliczyła się. Wcześniej czy później Karolina dostanie ten rozwód, ale on im niczego nie zamierza ułatwiać. Niedoczekanie!

– Piotrek, ja wiem, że to dla ciebie zaskoczenie, że musisz się przyzwyczaić do tej myśli – przykryła dłonią jego dłoń – ale tak bardzo cię proszę, w odpowiedzi na pozew napisz, że się zgadzasz.

– Nie! – Wyszarpnęła rękę. – I nie próbuj mną manipulować.

Podszedł do bufetu i poprosił o rachunek. Ręce mu drżały, gdy liczył pieniądze.

– Ja płacę – szorstko odpowiedział Karolinie, gdy próbowała się z nim rozliczyć. – Za naiwność trzeba płacić. Ale to już na szczęście ostatni raz.

ROZDZIAŁ 14

Piotr wyszarpnął lalkę z pudła. Rzucił na podłogę. Biała sukienka straciła nieskazitelność. Jak mogła? Jak mogła mu to zrobić?

Telefon zawibrował w kieszeni. Dzwonił długo, natarczywie. Piotr nie odbierał. Nie był w stanie rozmawiać. Dopiero gdy dzwonek ucichł, sprawdził numer. Karolina. Niemożliwe! Żona (jeszcze przez jakiś czas mógł ją tak nazywać) zadzwoniła do niego po kilku miesiącach. Telefon odezwał się ponownie. Znowu ona. Piotr zawahał się. Nie odbierała jego telefonów miesiącami. Nie chciała z nim rozmawiać, nie była gotowa, potrzebowała czasu, dystansu. Liczyła się tylko ona i jej potrzeby. Ona ustalała zasady, on miał się podporządkować. Telefon umilkł. Nie na długo. Odezwał się, gdy Piotr schodził ze strychu. Pozwolił mu dzwonić, dopóki nie wszedł do domu.

– Przepraszam, że to tak wszystko wyszło. Ja naprawdę nie chciałam.

– Mówisz o naszym małżeństwie czy o dzisiejszej rozmowie? A zresztą nieważne!

Stęskniłaś się za mną może? Przez kilka miesięcy nie odbierałaś moich telefonów, a teraz nagle dzwonisz. Skąd ta zmiana? Czym sobie zasłużyłem na taką łaskawość?

– Piotrek, nie ironizuj.

– Nie? A dlaczego nie? Nawet tego mi nie wolno?

– Ty piłeś? – spytała niepewnie.

– Masz na myśli alkohol? Nie. Upiłem się swoją głupotą i naiwnością. I teraz mam kaca. Pierwszy raz w życiu, kurwa, mam pieprzonego kaca!

– Powiedziałaś „kurwa”?

– A co, nie mogę?

– Piotrek, ty coś brałeś czy co? Dobrze się czujesz? – W jej głosie słychać było niepokój.

– Nigdy się tak nie zachowywałaś.

– Bo jeszcze nigdy moja żona nie żądała ode mnie rozwodu. – Zaśmiał się sarkastycznie.

– Piotrek, ja przecież niczego nie żądam, tylko cię proszę.

– Wobec tego maleńka poprawka – jeszcze nigdy moja żona nie prosiła mnie o rozwód.

– Zgodzisz się? Proszę...

– Nie!

Przez moment milczała. Pomyślał, że odłożyła słuchawkę.

– I co ci to da? – spytała cicho.

– Satysfakcję! Pieprzoną satysfakcję. Poczucie, że nie muszę tańczyć, jak mi zagrasz.

– Przemyśl to jeszcze, proszę.

Odłożył słuchawkę.

– Kurrwa! – Przekleństwo przyniosło ulgę. Gorzką. Chwilową.

Piotr nie mógł sobie znaleźć miejsca. Włączył telewizor, ale w ogóle nie docierało do niego, co się dzieje na ekranie. W głowie miał własny film. Odtwarzany ciągle od nowa – od sceny wejścia Karoliny do Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem do zakończenia rozmowy telefonicznej. Nie potrafił go wyłączyć, więc oglądał wbrew swojej woli, będąc jednocześnie widzem i aktorem. Próbował stać się również reżyserem – zmienić scenariusz, znaleźć punkt zwrotny, dzięki któremu zdarzenia mogłyby potoczyć się inaczej, ale nic mu z tego nie wychodziło. Rzeczywistość była silniejsza niż wyobraźnia.

Zawór bezpieczeństwa. Musiał znaleźć własny zawór bezpieczeństwa, bo czuł, że dłużej nie wytrzyma. Rąbanie drewna było dobre w takich sytuacjach, ale w piwnicy miał tylko kilkanaście klocków, więc nie warto było nawet zaczynać. A może bieganie? Nie cierpiał biegać,

szybko się męczył i właśnie dlatego postanowił, że to zrobi. Ostatnio biegał na zlecenie Jolanty Czernik. Dobrze pamiętał, jak się wtedy czuł i jakie miał potem zakwasy. Tego właśnie mu było trzeba – wyczerpania i bólu, które skieruje jego uwagę na inne tory.

Park był niedaleko. Przy drugiej rundce po parkowych alejkach Piotr poczuł zmęczenie. Po trzeciej rozboleło go gardło. Po czwartej mięśnie łydek. Przy piątej złapała go kolka i wydawało mu się, że nie jest w stanie pokonać nawet stu metrów. Biegł dalej. Łydki mu drżały, gardło paliło, serce waliło szaleńczo, przepocona koszulka lepiła się do ciała. W połowie szóstej rundki się poddał. Wyczerpany padł na ławkę. Poczekał, aż oddech trochę się uspokoi i powłókł się do domu.

Przepocone ubrania wrzucił do pralki, wziął chłodny prysznic. Telefon zadzwonił, gdy kończył się wycierać.

– Dobry wieczór, tu Jola Czernik. Nie za późno dzwonię?

– Dobry wieczór. Nie, nie za późno. Jak tam książka?

– Wiesz, wakacje się skończyły, rodzina wróciła z urlopu, no i jeszcze egzaminuję w sesji poprawkowej, więc nie bardzo mam kiedy pisać. Ale na szczęście dzieci chodzą do szkoły, mąż do pracy, więc jakąś godzinkę czy dwie uda się czasami wygospodarować. No i właśnie mam prośbę do ciebie. Znajdziesz dla mnie trochę czasu?

– Ależ oczywiście. Kiedy?

– A mógłbyś jutro gdzieś przed trzecią?

Piotr spojrział w terminarz.

– Jestem umówiony na piątą. Zdążymy?

– Spokojnie zdążymy. Nie mogę wcześniej, bo mam egzamin, a też zależy mi na czasie.

Chciałabym być w domu przed czwartą, zanim mąż przywiezie dzieci ze szkoły. Wiesz, gdzie jest Sowińskiego 43?

– Sowińskiego – wiem, ale akurat tego numeru nie kojarzę.

– To taki budynek przeznaczony do rozbiórki.

– A, to tam! I co mam robić tym razem?

– Dowiesz się na miejscu. Z zaskoczenia będzie lepiej. Nie chcę, żebyś wcześniej myślał, jak to zrobić, planował, wyobrażał sobie. Pójdziemy na żywioł.

– No tak... Mam się jakoś przygotować, coś zabrać ze sobą?

– Nie, nie, nic nie zabieraj. To do zobaczenia za piętnaście trzecia, dobrze?

– Jasne. Do zobaczenia.

Ciekawość, co też Jola wymyśliła na kolejne spotkanie i towarzysząca jej lekka nutka niepokoju oderwała na jakiś czas myśli Piotra od Karoliny. Stara rudera, gdzie nikt nie zagłada, pisarka czy też wariatka (nie mógł tego ciągle rozstrzygnąć) i on w nie wiadomo jakiej roli... Kto wie, co tej kobiecie przyszło do głowy? Może tym razem to on ma być ofiarą, a Jola chce sprawdzić jego wytrzymałość na przykład na głód albo na ból albo tolerancję na towarzystwo szczurów, bo pewnie gdzieś tam się gnieźdzą, na tyłach budynku mają śmietnik restauracji, jedzenia im nie zabraknie. Piotr wzdrygnął się na myśl o szczurach. Nie cierpiał szczurów.

Miał chyba z siedem lat, gdy mama wysłała go do piwnicy po dżem. Nie chciało mu się zapalać światła, bo półki z przetworami były tuż przy wejściu, bliżej niż kontakt. Pamiętał, jak sięgając po dżem, trafił nagle ręką na coś ciepłego i miękkiego. Krzyknął, gwałtownie cofając dłoń. Słoik spadł na ziemię, a przestraszony szczur skoczył Piotrkowi na ramię i stamtąd na podłogę.

Kiedy sobie to przypominał, jeszcze teraz przechodziły go dreszcze.

Zjawił się na Sowińskiego piętnaście minut wcześniej, żeby na wszelki wypadek obejrzeć sobie budynek, ale mu się nie udało, bo Jola już czekała, nerwowo zerkając na zegarek.

– O, dobrze, że jesteś, Piotrze – ucieszyła się. – Mąż dzwonił, że dzisiaj szybciej przywiezie dziewczynki, więc trochę się spieszę. Chodźmy na górę.

Piotr z rezerwą spojrział na tabliczkę: „Uwaga, budynek przeznaczony do rozbiórki, grozi zawaleniem”.

– Nie ma się czym przejmować. – Jola machnęła ręką. – Tę tabliczkę to chyba asekuracyjnie powiesili. Wchodziłam do środka parę dni temu. Klatka schodowa wygląda całkiem przyzwoicie i na pewno się nie zawali.

Brama była otwarta na oścież. Owionął ich zapach pleśni. Grzyb rozpanoszył się na popękanych ścianach, z których płatami odpadała brudnobezowa lamperia, z sufitu w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się żyrandol, smętnie zwisał kabel, drewniane barierki na półpiętrze były połamane, ale schody wyglądały całkiem solidnie. Jola ruszyła pierwsza, Piotr za nią. Zadyszana zatrzymała się na trzecim piętrze.

– No, to możemy zaczynać – powiedziała, kładąc się pod drzwiami.

Piotr patrzył na nią zdziwiony.

– Wyobraź sobie, że jestem nieprzytomna i musisz mnie jak najszybciej wynieść z tego domu, zanim wybuchnie bomba. No i trzeba sprawdzić, ile czasu ci to zajmie, żebyśmy zdążyli uciec, bo nie wiem, jak ją ustawić. Już na ulicę to mnie nie wnoś, żebyśmy nie wzbudzali sensacji, trochę czasu dla bezpieczeństwa dolicz. Poradzisz sobie?

– Jakoś poradzę.

– No, to do wybuchu zostało nam sześć minut. Start!

Jola nie była ciężka. Piotr znosił ją po schodach, starając się dotrzeć na parter jak najszybciej. Potknął się na półpiętrze, ale na szczęście udało mu się zachować równowagę. Ciężko dyszał, gdy na parterze wreszcie postawił kobietę na ziemi. Spojrzała na stoper.

– Nieźle. Trzy minuty dwadzieścia sekund. Jeszcze kawałek zdążyłbyś przebiec. Albo nie, napiszę, że zaparkowałeś przed domem, to szybko wrzucisz mnie do samochodu i odjedziesz, zanim ktokolwiek zdąży nas zauważyć. Akcja dzieje się w nocy, ludzie już śpią, mam nadzieję, że to bieganie po schodach nikogo nie obudzi. Za to na pewno obudzi ich wybuch. Nie będzie na tyle silny, żeby zniszczyć całą kamienicę, chodzi tylko o to jedno mieszkanie, ale musimy uciec przed wybuchem, żeby nikt nas z nim nie powiązał. To znaczy nie nas, tylko moich bohaterów. Dzięki ci, Piotrze, bardzo. Nie, nie mogę teraz jechać do domu, trudno, rodzina musi sobie poradzić beze mnie, zajdę do najbliższej kawiarni i spiszę to wszystko na świeżo, bo potem stracę wątek. Ach, jak ja kocham takie momenty, kiedy opuszki palców tęsknią za klawiaturą, myśli płyną szybciej niż słowa, a ja mogę pisać i nie myśleć o niczym innym. To bardziej podniecające niż seks. Najcudowniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam. – Oczy jej błyszczały, policzki płonęły. – Przepraszam, że ci się tak zwierzam, ale jesteś jedyną osobą, która wie, że piszę książkę. Z nikim innym nie mogę o tym rozmawiać.

Piotr nie wątpił, że mówi to szczerze. Wariatka czy nie wariatka, książkę pisała na pewno.

– Piotrze, poczekaj! – zawołała za nim, kiedy z zapłatą w kieszeni szedł już do samochodu. – Znasz może jakiegoś policjanta albo prawnika?

– Niestety nie znam.

– Szkoda – westchnęła. – Ja też nie znam. A o kilka spraw dobrze byłoby spytać fachowców. Ciekawa jestem, czy często trafiają do nich sprawy związane z natrętnymi telefonami?

Piotr drgnął.

– A jeżeli taki stalker nie grozi swojemu rozmówcy, tylko go po prostu nęka, czy coś da się z tym zrobić, czy też oni w ogóle się takimi sprawami nie zajmują? – ciągnęła dalej Jola, nie zauważając reakcji Piotra. – I jeszcze przydałby mi się patomorfolog. Niestety, nie wszystko

znajdzie się w internecie. No trudno, jakoś będę sobie radzić. Coś się stało? Masz taką dziwną minę.

– Właśnie sobie przypomniałem o czymś pilnym. Mam nadzieję, że nie zawałem sprawy – skłamał Piotr. – Spieszę się.

– No to już cię nie zatrzymuję. Jeszcze raz dzięki.

O co w tym wszystkim chodzi? W jaką grę wciąga mnie ta wariatka? Mówiła o tym nękanii telefonami tak, jakby to mnie nie dotyczyło. Wcale nie patrzyła na moją reakcję, a może po prostu tak doskonale udawała obojętność? Chyba niemożliwe, żeby to był zbieg okoliczności. W co ta baba chce mnie wplątać? Jakiś eksperyment na potrzeby książki? Nie mam zamiaru być królikiem doświadczalnym – Piotr nie mógł uwolnić się od myśli, które kotłowały mu się w głowie. Gdyby miał pewność, że to Jola, powiedziałaby jej, co o tym myśli. Ale tej pewności nie miał.

*

Na piątą był umówiony z Romanem Klinkiem, u którego miał sprawdzić instalację grzewczą przed sezonem. Zakładając działalność, Piotr był przekonany, że jego klientkami będą same kobiety, tymczasem okazało się, że z usług męża zastępczego chętnie korzystają również panowie. Na początku podchodził z pewną rezerwą do facetów zlecających mu pracę, ale wkrótce przekonał się, że zatrudniają go nie dlatego, że mają dwie lewe ręce, ale dlatego, że dużo pracują, mają niewiele wolnego czasu, a za godzinę pracy dostają znacznie więcej, niż muszą mu zapłacić, wobec tego wolą ponieść koszty, a czas, który pochłonęłyby prace domowe, przeznaczyć dla rodziny lub na wypoczynek.

Roman Klinek nie należał do tego typu mężczyzn. Dobiegający pięćdziesiątki, łysiejący, raczej niski i krępy, w rozciągniętych dresach i przydeptanych kapciach, sprawiał wrażenie rozmemłanego. Wpuścił Piotra do domu, powiedział, że mamusia zaraz wyjaśni, o co z tym ogrzewaniem chodzi, i począłpał w głąb mieszkania, szukając mamusi.

Energiczna starsza pani stanowiła przeciwieństwo syna. Pokazała Piotrowi piec centralnego ogrzewania, zbiornik przelewowy i kaloryfer w kuchni, z którego ostatnio trochę kapowało, ale kiedy przykręciła zawór, przestało. Poprosiła, żeby zwrócił szczególną uwagę na ten kaloryfer i uprzedziła, że wychodzi na chwilę na zakupy, zaraz będzie z powrotem, ale gdyby czegoś było potrzeba, to syn pomoże. Gospodyni wyszła, a Piotr odpowietrzył grzejniki, dopuścił wody, przeczyścił piec i zamierzał rozpalić, ale nie znalazł drobnego drewna na rozpalkę. Nie widział też nigdzie siekiery.

Roman Klinek, zapytany o siekiere, począłpał z Piotrem do piwnicy.

– No ma pan rację, tu jej nie ma. – Bezradnie rozłożył ręce. – Nie wiem, gdzie mamusia może trzymać siekiere.

– Naprawdę? To za każdym razem mamusia przynosi panu siekiere? – zdziwił się Piotr.

– Mi? A po co mi siekiera?

– No... do rąbania drewna.

– Nie, ja nie rąbię. Mamusia pali w piecu. Jak jest mało drewna do porąbania, sama to robi, a jak dużo, to kogoś wynajmuje. Ale kupiłem mamusi pod choinkę świetną siekiere – pochwalił się Roman Klinek. – Fiskars. Kolega mi polecił. Nawet sam chciałem ją wypróbować, ale mamusia powiedziała, że lepiej nie. Bo nie mam wprawy, a ta siekiera jest strasznie ostra i jeszcze mógłbym sobie coś zrobić. A mamusia ma wprawę. Zaraz do niej zadzwonię i zapytam o siekiere.

Roman Klinek zajął się telefonowaniem, a Piotr usiłował dojść do siebie. Miał wrażenie, że ogląda kabaret.

– Niestety mamusia nie odbiera. – Westchnął. – Musimy na nią poczekać. Sklep jest blisko, powinna zaraz być. A może się pan herbatki napije?

– Dziękuję. Chętnie. – Piotr nie miał najmniejszej ochoty na towarzystwo tego faceta, ale po pikantnym spaghetti, które zjadł na obiad, bardzo chciało mu się pić.

– Jak mamusia wróci, to jej powiem i zaraz panu zrobi.

Mamusia wróciła, znalazła siekierę, zrobiła herbatę, poczęstowała Piotra ciastem i zabrała się do szykowania kolacji dla syna, który siedział rozwalony w fotelu przed telewizorem.

– Mój Romek jest księgowym, ale stracił pracę dwa lata temu i nowej nie może znaleźć. Na stróża go chcieli albo do fabryki na produkcję, ale mu odradziłam. Przecież honor jakiś trzeba mieć, nie? Emeryturę mam, zawsze jeszcze trochę sobie dorobię i jakoś się utrzymamy z synkiem. Dopóki żyję, nie pozwolę, żeby pracował poniżej swoich kwalifikacji!

A co będzie, jak pani umrze? Jak sobie ten fajtłapa bez mamusi poradzi? – Piotr z trudem powstrzymał cisnące się na język słowa, ale spróbował sformułować je trochę inaczej.

– Ja uważam, że żadna praca nie hańbi. Lepiej robić cokolwiek niż... – chciał powiedzieć: „siedzieć na garnuszku u mamusi”, ale ugryzł się w język – siedzieć w domu.

– Jak pan może tak mówić! – oburzyła się Zofia Klinek. – Ja przecież chcę jak najlepiej dla mojego dziecka! Ale mężczyzna nigdy nie pojmie, co to jest matczyne poświęcenie!

W pierwszej chwili Piotr był zaskoczony jej wybuchem. Dopiero potem przyszło mu do głowy, że Zofia Klinek nie tego oczekiwała. Spodziewała się podziwu dla swojego poświęcenia, a nie pośredniej krytyki. I w tym momencie przestał jej współczuć. Przecież do tanga trzeba dwojga, więc jeśli ten układ funkcjonował, to znaczy, że i matce, i synowi odpowiadała symbioza. Niech więc sobie żyją, jak chcą, a jemu nic do tego.

Dokończył szybko pracę, wziął pieniądze i z ulgą opuścił ten dom.

*

Następne dni były całkowicie bezbarwne. Rutynowe prace (malowanie mieszkania, składanie mebli, układanie paneli), nieciekawi ludzie... a może to wcale nie ludzie byli nieciekawi, tylko Piotr za bardzo skoncentrowany na sobie, żeby dostrzec kogokolwiek innego. Wykonywał zlecenia, inkasował zapłatę i wychodził. Codziennie wieczorami biegał. Do wyczerpania. Wbrew wszelkim zasadom racjonalnego treningu. Był bezlitosny dla siebie. Obolałe ciało odwracało uwagę od obolałej duszy.

ROZDZIAŁ 15

Piotr ucieszył się z telefonu Jagody Węgielskiej. Wymiana grzejnika i malowanie kuchni – to jakieś dwa dni roboty. Co znaczyło, że miał przed sobą dwa dni w towarzystwie fajnych ludzi. Kupił dla Tosi mleczną czekoladę z całymi orzechami.

– Dziękuję, panie mężu. – Tosia rozpromieniła się na widok czekolady. – A czy pan mąż wie, że czekolada to jest niezdrowa i zdrowa? Te bakterie, co robią dziury w zębach, jak zobaczą w buzi czekoladę, to robią te dziury jeszcze szybciej, ale nie wiem po co. – Wzruszyła ramionami. – Może chcą w tych dziurach schować czekoladę, żeby im inne bakterie nie zjadły? Bo moja siostra to mi ciągle zjada słodycze i muszę psed nią chować. W sufladzie z zabawkami. – Ostatnie zdanie wypowiedziała szeptem. – A ciekawe, czy bakterie mają siostry? Bo jak bakterie się podzielą, to jest bakteriowa mamusia i córeczka czy siostry bakteriowe? – Spojrzała na Piotra pytająco.

– Nie mam pojęcia, Tosiu – odpowiedział Piotr, który ledwo nadążał za tokiem myślenia dziewczynki.

– Ja też nie mam pojęcia – westchnęła z powagą Tosia. Rozdarła papier i podsunęła Piotrowi czekoladę. – Proszę. Tylko zęby pan mąż musi umyć, żeby bakterie dziur nie zdążyły zrobić.

– Dziękuję, Tosiu. A ty pamiętasz o myciu zębów?

– Casami. Mamusia zawsze pamięta i mi psypomina. Ale mi nowe zęby wyrosną, a panu mężowi nie – powiedziała dziewczynka, wsuwając do buzi wielki kawałek czekolady.

– No, niestety już mi nie wyrosną – zaśmiał się Piotr.

– O, pan mąż się śmieje od czekolady! – ucieszyła się Tosia. – Bo w czekoladzie to są takie malutkie niewidzialne cosie, i one rozśmiesają człowieka od środka. A może bakterie też chcą się śmiać i dlatego lubią czekoladę? Tylko czemu robią dziury w zębach? – Tosia wybierała orzechy z czekolady i przyglądała się, jak Piotr odkręca zawór, żeby spuścić wodę z grzejnika. – Ozechy są zdrowe. I mają magnez, ale nie taki, co przyciąga gwoździe, tylko inny, niewidzialny. A czekolada z orzechami jest bardzo, bardzo zdrowa – oznajmiła, odłamując kolejny kawałek bardzo, bardzo zdrowej czekolady.

Z Tosią nie dało się nudzić. Była absorbująca, to fakt. Może gdyby Piotr całymi dniami musiał odpowiadać na jej pytania, po jakimś czasie towarzystwo Tosi zaczęłoby go irytować, ale na razie traktował to jako niezłą zabawę.

– Co pan mąż robi? Po co w rurach woda? A jak woda płynie do grzejnika w kuchni, jak tam nie ma rury? Kto schował rury w ścianach? A gdy rura w ścianie się zepsuje, to co? – Jedno pytanie rodziło następne, dziewczynce prawie buzia się nie zamykała, a Piotr cierpliwie odpowiadał.

Kiedy otworzył walizkę z narzędziami, oczy Tosi zabłyśły na widok ukrytych tam skarbów.

– Panie mężu, mogę pobawić się tymi ślicznymi wiertłkami? Proszę... – Złożyła ręce jak do modlitwy i patrzyła na Piotra błagalnie. – Nie zgubię. Obiecuję!

– Możesz. Tylko nie wynoś ich z kuchni.

Piotr nie przypuszczał, że wiertła można wykorzystać na tyle różnych sposobów. On używał ich zgodnie z przeznaczeniem, bo przecież wiertła służą do wiercenia i już. Tymczasem Tosia układała je od najmniejszego do największego albo na odwrót, kręciła nimi, robiła wiertłom zawody w turlaniu, a gdy się zmęczyły, układała je na prześcieradle z ręcznika papierowego, przykrywała kołdrą z ręcznika i śpiewała im kołysankę. Potem bawiła się w dom.

Największe wiertło zostało mamą, drugie z kolei tatą, a dwa mniejsze córeczką i synkiem. Mieszkały w domu z pudełka od butów, chodziły do pracy i do przedszkola, a Antosia przekładała je z miejsca na miejsce, opowiadając różne historie. Bawiła się tymi wiertłami chyba z godzinę. Potem, tak jak obiecała, schowała je z powrotem do walizki, usiadła koło niej i zajrzała do środka.

– Co to jest?

– Szczypce.

– Rak też ma scypce. Widziałam raka w zece u babci. I rak scypie tymi scypcami. Ale mnie nie uscypnął. A pan mąż kogo będzie scypał?

– Ja? Nikogo.

– Nikogo? – Dziewczynka była rozczarowana. – To po co ci scypce?

– Szczypce to takie przedłużenie palców, można coś nimi trzymać albo ścisnąć. – Piotr ścisnął szczypcami kawałek blaszki, który zabłąkał się w walizce.

– Ale fajne. Mogę się pobawić?

– Szczypcami nie, bo można się skaleczyć. Znajdź sobie coś innego.

– Antosiu, a może obejrzysz jakąś bajkę? – zaproponowała Jagoda, próbując ratować Piotra.

– E tam, bajka. Życie jest ciekawse! – stwierdziła z powagą dziewczynka. – Prawda, panie mężu?

– Prawda! – potwierdził Piotr, śmiejąc się do Jagody.

– Mamo, patz, jakie skarby. – Tosia ukucnęła obok walizki. – To wiertarka, to wiertła, to wkrętaki, patz, ile pan mąż ma wkrętaków! A tu scypce, ale nie do scypiania, tylko do łapania jak palce. A wiesz, co to? – Wyjęła z walizki rozgałęzioną rurkę z trzema wylotami.

– No... jakaś rurka – powiedziała niepewnie Jagoda.

– Trójkąt! – oznajmiła triumfalnie Tosia. – Bo ma trzy otwory. To jest trójkąt zwykły, a to – wyciągnęła z walizki kształtkę z otworami o różnej średnicy – trójkąt redukcyjny. A to kolanko! – Tosia wcisnęła mamie w rękę kawałek wygiętej miedzianej rurki. – A teraz lekcja pierwsza – oznajmiła. – Cyszenie kolanek. – Wzięła do ręki kolanko, a do drugiej cieniutką okrągłą szczoteczkę. – To się robi tak, tak i tak. – Zademonstrowała, czyszcząc szczoteczką najpierw jeden, a potem drugi otwór. – A teraz ty spróbuj – powiedziała, podając mamie kolanko i szczoteczkę.

Jagoda posłusznie wyczyściła kolanko. Z trudem zachowywała powagę (podobnie jak i przyglądający się tej scenie Piotr), ale dziewczynka była tak przejęta rolą nauczycielki, iż oboje czuli, że śmiech byłby tu nie na miejscu.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Tosia mamę.

– Dzisiaj tylko trochę mogę panu mężowi pomagać – oznajmiła Tosia następnego dnia – bo idę z tatą do kina. Mamo, kiedy tata przyjdzie?

Jagoda spojrzała na zegarek.

– Za godzinę.

Tosia zastanawiała się chwilę.

– Godzina to jak msa w kościele? – spytała.

– Tak – odpowiedziała Jagoda.

– To strasnie, strasnie długo! Możemy malować! – Dziewczynka ochoczo chwyciła pędzel.

Tosia ostatnio fascynowała się programami o zwierzętach, więc podczas malowania Piotr miał okazję wysłuchać pogadanki o życiu lemurów, goryli, kotów, tygrysów i leniwców.

– Leniwiec strasnie śmierdzi, żeby nikt nie chciał go jeść – oznajmiła Tosia na koniec, a w każdym razie Piotr miał nadzieję, że to koniec, bo cały czas mówiła jak katarynka i Piotrowi

zdążyło się już wszystko w głowie wymieszać. Miał nadzieję, że nie zrobi mu egzaminu, żeby sprawdzić, ile zapamiętał. – Leniwiec tak musi, bo nie umie biegać. Biedny. To okropne tak śmierdzieć. – Tosia zamilkła, ale zanim Piotr zdążył porozkoszować się błogą ciszą, odezwała się znowu.

– A pan mąż woli śmierdzieć, czy żeby go tygrys zjadł?

Na szczęście nie musiał odpowiadać na to pytanie, bo zadzwonił dzwonek i Tosia rzuciła się do drzwi.

– Tata! Tata psysedł! – zawołała. – Tato, a ja malowałam kuchnię z panem mężem! Chcesz zobaczyć?

– Z kim malowałaś? – Piotr usłyszał męski głos dochodzący z przedpokoju.

– Z panem mężem! Na żółto malowaliśmy! Chodź zobac!

– Cześć. – Piotr usłyszał głos Jagody.

– Kto tam jest? – Facet mówił cicho, ale nie na tyle cicho, żeby Piotr nie mógł odróżnić słów.

– Fachowiec. Maluje kuchnię.

– A dlaczego Tosia powiedziała: „mąż”?

– Mąż zastępcy! – wtrąciła dziewczynka.

– Cicho, Tosiu – powiedziała mama. – Weź buty do pokoju. Zdejmij kaptcie i włóż buty.

– Ty mi nie pozwalasz wkładać butów w pokoju.

– Dzisiaj ci pozwalam. No idź już.

– A jutro?

– A jutro nie.

– To czemu dzisiaj tak?

– Tosiu, pośpiesz się, żebyście zdążyli do kina. Masz tu jeszcze sweter. Najpierw włóż buty, a potem sweter.

– Ale ja chcę pokazać tacie, co pomalowałam!

– Jak się ubierzesz, Tosiu.

– Mąż zastępczy? – Usłyszał Piotr, gdy Tosia wreszcie poszła do pokoju. – Co to za mąż zastępczy?

– Nie muszę ci się tłumaczyć – powiedziała z rezerwą Jagoda.

– Nie musisz. Przepraszam.

– Już się ubrałam! Tata, chodź do kuchni!

Piotr odwrócił się na dźwięk chłodnego „dzień dobry” wypowiedzianego męskim głosem.

– Dzień dobry – odpowiedział.

– To mój tata – powiedziała z dumą Tosia, ściskając rękę stojącego w drzwiach faceta, który patrzył na Piotra podejrzliwie. – A to pan mąż – dodała. – Ja mu pomagam. To ja malowałam. – Wskazała kawałek ściany nad podłogą. – Ładnie, tato?

– Ślicznie, córeczko – powiedział tata Tosi tonem podkreślającym, że to jego córka, jego terytorium i rywała nie zniesie.

– Tomasz Węgielski. – Mężczyzna próbował podać rękę w taki sposób, żeby znalazła się nad dłonią Piotra, ale ten wyprostował rękę, nie pozwalając się zdominować.

– Piotr Kowalczyk, firma „Mąż zastępczy” – powiedział, patrząc Tomaszowi Węgielskiemu prosto w oczy.

– Mąż zastępczy? A czym się pan zajmuje? – Mąż Jagody taksował domniemanego rywała z miną, która mówiła: „a co tu robisz, do cholery!”

– Jak pan widzi: remonty, naprawy, transport, ogólnie rzecz biorąc prace, które tradycyjnie uznajemy za męskie.

– Dziwna nazwa – skrzywił się Tomasz Węgielski.
– Ale wpadająca w ucho, prawda? Firmy o podobnej działalności i podobnych nazwach funkcjonują na świecie od kilkadziesiąt lat.

Tomasz Węgielski rozglądał się po pokoju, szukając niedoróbek.

– O, tu jest niedomalowane – stwierdził z satysfakcją.

– Dziękuję, poprawię – odpowiedział spokojnie Piotr.

Mąż Jagody najwyraźniej się czepiał, ale Piotr nie potrafił złościć się na Tomasza Węgielskiego. Doskonale go rozumiał. Poznali się w niefortunnych okolicznościach, gdyby nie to, facet mógłby okazać się całkiem sympatyczny.

Korzystając z tego, że Tosi nagle zachciało się siusiu i poszła z mamą do toalety, więc nikt nie słyszy ich rozmowy, Piotr podszedł do mężczyzny.

– Nie jestem facetem Jagody ani nie próbuję nim być. Słowo.

Tomasz Węgielski patrzył na niego zaskoczony, nie wiedząc, jak się zachować.

– Jeśli panu na niej zależy, niech pan się nie poddaje – dodał Piotr.

Tosia przybiegła, zanim Tomasz Węgielski zdołał cokolwiek odpowiedzieć.

– Tato, idziemy?

– Tak, już idziemy. – Wziął dziecko za rękę. – Do widzenia – powiedział do Piotra, nie bardzo wiedząc, czy ten facet rozmawiał z nim szczerze, czy też próbował wpuścić go w maliny.

– Pa, pa, panie mężu! – Tosia pomachała ręką na pożegnanie.

– Nareszcie będziesz miał trochę spokoju – zagadnęła Jagoda. – Napijesz się kawy czy herbaty? Może z konfiturami?

– Dzięki. Masz takie konfitury jak ostatnio?

– Mam. – Jagoda uśmiechnęła się.

– Wobec tego poproszę herbatę z konfiturami. Domaluję tylko do końca tę ścianę. To zajmie mi jakieś piętnaście minut.

– Poznałeś mojego męża – powiedziała Jagoda, nie patrząc na Piotra. Zawzięcie mieszała herbatę, do której nie dodała ani cukru, ani konfitury.

– Chyba mu na tobie zależy – odparł Piotr na niewypowiedziane pytanie.

– Ostatnio coraz częściej przychodzi. Właściwie to do dzieci, ale zawsze pyta, czy może mi w czymś pomóc. Dziewczynki chętnie się z nim spotykają. Adzie pomaga odrabiać matematykę. Nie chciała, żebym ja jej wytłumaczyła, tylko czekała na tatę. A Tosia... sam widziałeś. W tamtym tygodniu zapraszał mnie do kina. Odmówiłam.

– Dlaczego?

Jagoda zacisnęła dłonie.

– Gdyby znowu nie wyszło... Nie chcę drugi raz przez to przechodzić.

– Ja bym zaryzykował – odezwał się Piotr po długiej chwili milczenia. – Ale moja żona występuje o rozwód. Jest w ciąży. Nie ze mną.

Powiedział to. Przyznał głośno, że Karolina jest w ciąży z innym facetem. Powiedział to i nie umarł z upokorzenia. Świat się nie zawalił.

*

– Jakie one już duże! – zdziwił się Piotr, oglądając biblioteczne kociaki.

– No właśnie – westchnęła pani Hania. – Powinny iść do ludzi. Szukamy im domu, ale jakoś nikt się nie zgłasza.

– Widziałem ogłoszenie na drzwiach biblioteki.

– Wisi od tygodnia. I w mieście też porozwieszałyśmy. Ludzie czytają, oglądają kociaki, ale tylko z ciekawości, powiedzą, że śliczne, rozkoszne, pogłaszczą, ale do domu nikt nie chce

wziąć.

– Kici, kici... Sisi, chodź, kici, kici – pani Kasia bezskutecznie nawoływała kotkę.

– Chyba przeczuwa, co się święci i gdzieś się chowa. – Pani Hania zaszeleściła torebką z karmą, ale Sisi nie zareagowała.

– O, kotek! – zawołała nagle dziewczynka, która szukała książek na regale pod oknem. Sisi siedziała wciśnięta w kąt między ścianą a regałem i wcale nie zamierzała wychodzić.

– No chodź, mała, chodź. – Pani Hania próbowała zwabić kotkę kawałkiem kiełbasy, ale w końcu musiała ją złapać i włożyć do transportera. Sisi fuknęła oburzona. – No trzymaj się, malutka, trzymaj. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Piotr wziął transporter z kotką. Sisi trzeba było zawieźć do weterynarza na sterylizację, a panie nie chciały robić tego osobiście. Podobno znaly takie przypadki, gdy sterylizowane koty obrażały się na swoich opiekunów, wołały więc, żeby kotka nie kojarzyła ich z tym przykrym zabiegiem.

Wszystko poszło jak z płatka. Piotr zostawił Sisi w gabinecie, a gdy weterynarz zadzwonił, że już po wszystkim, zawiózł jeszcze oszołomioną po narkozie kotkę do biblioteki, gdzie bibliotekarki troskliwie nią się zaopiekowały.

– Dziękujemy bardzo, panie Piotrze, a gdyby czasami obilo się panu o uszy, że ktoś chce kotka, to proszę o nas pamiętać.

– Mogą mi panie dać trochę ogłoszeń. Wieszam swoje, to i te przy okazji mogę powiesić.

Na Piastowskim było jak zwykle. Tym razem ocalały trzy ogłoszenia, a resztę zastąpiły informacje o wolnych miejscach w świet-licy i terminach zapisów. Piotr porozwieszał nowe ulotki – swoje i biblioteczne. Miał nadzieję, że przynajmniej tym bibliotecznym uda się przetrwać.

*

– Dzień dobry, pani Józefino.

– Dzień dobry – odpowiedziała matowym głosem.

Piotr zauważył, że Józefina Klepacka przygarbiła się i postarzała. To już nie była ta sama energiczna, władczą kobietą, którą poznał w lecie. Mało sympatyczna, co prawda, ale pełna życia. Coś w niej zgasło. Może była chora?

– Pojedziemy do centrum handlowego, zrobię zakupy i zadzwonię do pana, jak będę w kolejce do kasy, pomoże mi pan pakować.

Podczas gdy Józefina Klepacka załatwiała sprawunki w Tesco, Piotr włączył się po galerii handlowej. Nie lubił takich miejsc, ale nie znosił beczynnego czekania w samochodzie; z dwojga złego wolał już chodzić po sklepach. Ominął aptekę i kilka sklepów odzieżowych, trochę czasu spędził w Castoramie, zajrzał do księgarni. I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł...

Sięgnął po telefon i wybrał numer. Rozmowa była krótka. Piotr z zadowoloną miną schował komórkę do kieszeni, ale zaraz potem zamyślił się. To nie takie proste... Wcale nie był pewien, czy się uda.

Przy kasie ledwo nadązał z pakowaniem zakupów, które wypełniły cztery wielkie reklamówki. Władował je do bagażnika i wsiadł do samochodu.

– Uff! Męczące to trochę, ale teraz na trzy miesiące mam spokój. – Starsza pani odetchnęła. – Czemu pan jeszcze nie rusza?

– Pani Józefino, mam do pani ogromną prośbę.

– Tak?

– Chciałbym panią zabrać w pewne miejsce. To prawie po drodze i nie zajmie nam wiele

czasu, jakieś pół godziny.

– Co to za miejsce? – spytała nieufnie.

– To ma być niespodzianka. Mogę powiedzieć tylko, że to miejsce publiczne w centrum miasta.

– Ale po co mamy tam jechać?

– Pani Józefino, bardzo, bardzo panią proszę. Jeśli uzna pani, że to zmarnowany czas, nie zapłaci mi pani za dzisiejsze zlecenie. Zmarszczyła brwi i zastanawiała się przez chwilę.

– No niech panu będzie – zgodziła się łaskawie.

– Co to? Biblioteka? – skrzywiła się Józefina Klepacka, gdy dojechali na miejsce. – A co pan sobie myśli, że ja książek nie czytam? Oczywiście, że czytam! A bibliotekę mam na sąsiedniej ulicy. Ta mi niepotrzebna.

– Ale ja panią przywiozłem tu nie dla książek.

– A co innego może być w bibliotece? – prychnęła Józefina Klepacka.

– Sama pani zobaczy. – Piotr uśmiechnął się tajemniczo.

– Dzień dobry, pani Haniu. Możemy zajrzeć na zaplecze? – spytał Piotr.

– Ależ oczywiście. – Bibliotekarka dyskretnie przyglądała się skrzywionej towarzysze Piotra, która rozglądała się nieufnie po wnętrzu biblioteki.

Piotr zaprowadził starszą panią na zaplecze i wskazał jej wyścielony kocem karton, w którym wesoło baraszkowały dwa kociaki.

– Proszę spojrzeć.

– Jakie śliczne! – wyrwało się pani Józefinie. Włożyła rękę do kartonu, a kotki zaczęły się do niej łąsić. Głaskała to jednego, to drugiego, a maleństwa mruczały jak małe traktorki.

Piotr pierwszy raz zobaczył uśmiech na twarzy Józefiny Klepackiej. Ale gdy kobieta zauważyła, że jest obserwowana, uśmiech znikł.

– Żaden kot nie zastąpi Hrabiego! – powiedziała z pretensją.

– Wiem – odpowiedział spokojnie.

– Więc po co mnie pan tu przyprowadził?

– Hrabia panią uratował...

– A co to ma do rzeczy? Nikt mnie nie musi ratować! Sama sobie poradzę! – zachnęła się.

– Pani może tak, ale one – wskazał na kotki, które leżały teraz wtulone w siebie, tworząc jeden puszysty kłębuszek – nie bardzo.

– Chodźmy już stąd! – zarządziła Józefina Klepacka.

– I co? Weźmie pani kotka? A może obydwą? – spytała z nadzieją pani Hania.

– Nie wezmę – odpowiedziała stanowczo starsza pani.

– Szkoda – westchnęła bibliotekarka. – Nie wiem, co my z nimi zrobimy. My jesteśmy filią biblioteki miejskiej, a wczoraj przyjechała szefowa i kazała coś zrobić z tymi kotami, bo biblioteka to nie schronisko dla zwierząt. Tak powiedziała i dała nam tydzień na znalezienie domu maluchom. Ledwo udało się nam wybronić Sisi. Całe szczęście, że miałyśmy zdjęcia z tygodnia kota w bibliotece, ze spotkań z dziećmi, w których uczestniczyła Sisi, i ankiety od czytelników, w których wymieniali kota jako plus biblioteki. I akurat jeszcze w czasie tej wizytacji przyszła mama zapisać przedszkolaka i powiedziała, że syn męczy ją już od kilku dni, żeby pójść do biblioteki, bo koledzy mu powiedzieli, że tu jest kotek, więc on koniecznie chciał go zobaczyć i wypożyczyć książki o kotkach. Przekonałyśmy szefową, że Sisi to nasza biblioteczna ambasadorka i dała jej spokój. Ale jak kociakom nie znajdziemy domu, to chyba trzeba je będzie do schroniska oddać. Ja już mam kota i Kasia też. Tymonek – poprzednik Sisi nam tu co rusz jakichś swoich pokiereszowanych kocich kumpli przyprowadzał, jednego ja wzięłam, drugiego koleżanka, a i znajomych kotami obdarowaliśmy. Gdyby więc pani

dowiedziała się, że ktoś chce kotka, tu jest mój numer telefonu. – Podała Józefinie Klepackiej kartkę. – Bardzo panią proszę.

– Jeśli ktoś będzie chciał, dam znać. Do widzenia.

W samochodzie nie odzywała się wcale.

– Pomoże mi pan wnieść zakupy? – zapytała, gdy zatrzymali się przed domem.

– Ależ oczywiście.

– Proszę. – Wyciągnęła pieniądze z portfela.

– Nie, dziękuję. Proszę mi nie płacić. Umawialiśmy się przecież.

– Ale pan przecież uczciwie zarobił.

– Umowa to umowa. Ja swój honor mam.

– Jak pan tam sobie chce. – Wzruszyła ramionami i schowała pieniądze do portfela.

No trudno, nie udało się. Szkoda – pomyślał Piotr, wsiadając do samochodu.

Piotr codziennie z biciem serca zaglądał do skrzynki na listy. Nie spodziewał się listu, tylko awiza z sądu okręgowego z odpisem pozwu rozwodowego, do którego powinien ustosunkować się w ciągu dwóch tygodni od daty otrzymania. Dowiedział się tego z internetu, gdzie szukał informacji na temat procedur rozwodowych. Dowiedział się też, że na ten odpis może czekać nawet dwa, trzy miesiące, w zależności od tego ile sąd ma pracy. Właściwie nie był pewien, czy chciałby znaleźć w skrzynce to awizo, czy nie. Z jednej strony, skoro rozwód jest nieuchronny, to lepiej byłoby mieć go już za sobą, ale z drugiej strony ciągle gdzieś w głębi miał jakąś głupią nadzieję, że może coś się jeszcze zmieni.

Wracając od Józefiny Klepackiej, jak zwykle zajrzał do skrzynki. Znalazł w niej tylko ulotkę reklamową Biedronki.

Józefina Klepacka zadzwoniła do niego po dwóch dniach.

– Pojedzie pan ze mną po te kociaki do biblioteki?

– Pewnie, że tak! – ucieszył się Piotr.

– I za poprzednie zlecenie też panu zapłacę. Umowa to umowa. Ja swój honor mam!

ROZDZIAŁ 16

– Z nieba mi pan spadł! – ucieszyła się Gabriela Hanuszko. – Wie pan, jak trudno znaleźć Mikołaja na szóstego grudnia? My zamówiliśmy już w październiku, ale mamy pecha, bo nasz Mikołaj zachorował. I jak to teraz dzieciakom wytłumaczyć? Całe szczęście, że pan się zgodził. Mógłby pan przyjść dzisiaj po strój? Jestem w szkole do piętnastej.

Piotr zajrzał przez uchylone drzwi szkoły i cofnął się odruchowo. No tak, przerwa. Nie był przyzwyczajony do takiego natężenia dźwięków. Nie miał pojęcia, czy gdy on chodził do szkoły, dzieci po prostu zachowywały się ciszej, czy też on po prostu inaczej odbierał hałas. Na szczęście przerwy nie trwają długo – chodząc do szkoły, uważał to za wadę, ale teraz z ulgą myślał o tym, że już za kilka minut te rozkrzyczane tabuny znikną za drzwiami klas, a on w spokoju będzie mógł poszukać gabinetu pani dyrektor Gabrieli Hanuszko. Miał zamiar poczekać na dzwonek na boisku, ale przyszło mu na myśl, że skoro jest tu incognito, mógłby poobserwować trochę te dzieciaki, zanim wystąpi przed nimi jako Mikołaj.

Wszedł do szkoły, ominął grające w gumę dziewczynki, a następnie cudem uniknął zderzenia z małym blondynkiem, którego gonił drugi dokładnie taki sam blondynek i w pierwszym momencie Piotr miał wrażenie, że dwoi mu się w oczach.

– Bliźniaki, gracie z nami w piłkę? – zawołał jakiś chłopak, a Piotr odetchnął z ulgą, że z jego wzrokiem wszystko w porządku.

Zaraz potem Piotra zaskoczył widok kobiety z miotłą. W samej kobiecie nic dziwnego nie było, miotła też była zwyczajna, taka do zamywania pomieszczeń, a nie do podróży podniebnych, ale zaskoczyło go to zestawienie, jakby kobieta i miotła wcale do siebie nie pasowały.

– Kacper, paperek! – zawołała kobieta za chłopcem, który zatrzymał się, żeby wytrzeć nos.

Chłopak odwrócił się.

– Chyba mi wypadł – powiedział, podnosząc paperek od cukierka, który rzeczywiście wypadł mu z kieszeni, kiedy wyciągał chustkę. – Proszę pani, sprawdzi mi pani matkę? Takie głupie zadanie mamy; mnożenie i dodawanie; wszystko razem.

– Teraz?

– No... Zaraz mamy matkę.

– To wyciągaj tę matkę. Szybko, bo zaraz dzwonek.

Odstawiła miotłę. Chłopak sięgnął do plecaka i podał kobiecie otwarty zeszyt.

– Sprawdź ten przykład – powiedziała po chwili. – Co robimy najpierw: mnożenie czy dodawanie?

– No... mnożenie. Pomyliłem się.

– Reszta jest dobrze. – Kobieta uśmiechnęła się, oddając chłopcu zeszyt.

– Dziękuję... – Dalsze jego słowa zagłuszył ostry dzwonek.

Chłopak pobiegł do klasy, a kobieta weszła do pomieszczenia, z którego wychodziły właśnie trzy zadowolone dziewczynki.

– Ja wylosowałam Kubusia! – zawołała czarnulka z różowym plecakiem, pokazując koleżankom kartkę z konturem Kubusia Puchatka do kolorowania.

– A ja mam Tygrysa, bo powiedziałam pani Ewie, że najbardziej lubię Tygrysa – oznajmiła blondynka z warkoczykami.

– A ja lubię Muminki, ale Muminków nie było, to dostałam Kłapouchego. – Blondynka z kitką pomachała swoją kartką przed oczami koleżanek.

Dziewczynki dołączyły do grupy dzieci czekających przed salą z napisem: klasa II.

– Co macie? – zaciekała się dziewczynka, której twarz wydała się Piotrowi znajoma.
– Pani Ewa dała nam kolorowanki – pochwaliła się blondynka z warkoczami, pokazując swoją kartkę.

– Phi! Ale prościzna jak dla przedszkolaków!

Blondynka posmutniała.

– Zazdrościsz – odezwała się czarnulka – bo ty nie dostałaś!

– Nawet bym nie chciała! W domu mam lepsze! Te wasze to dla dzidziusiów!

Piotr nie poznał dalszego ciągu wydarzeń, ponieważ nauczycielka wpuściła dzieci do klasy. Szkoda, bo gdyby jeszcze trochę popatrzył na dziewczynkę, może przypomniałby sobie, skąd ją zna. Był pewien, że już ją wcześniej spotkał, tylko nie pamiętał, w jakich okolicznościach.

Gwar na korytarzu cichł powoli. Kolejne grupy dzieci wraz z nauczycielkami zniknęły za drzwiami klas. Kobieta z miotłą, a właściwie już bez miotły, za to z plastikową, zieloną konewką w rękę podeszła do Piotra.

– Dzień dobry, może w czymś panu pomóc? – zagadnęła.

– Dzień dobry, szukam gabinetu pani dyrektor. – Piotr z zainteresowaniem spojrzał na kobietę. Gdyby nie ta miotła i konewka, nie pomyślałby, że to sprzątaczką. Po pierwsze zmylił go ubiór – czarne spodnie w połączeniu z fioletową dłuższą ukośnie zapinaną bluzką nie wyglądały na strój służbowy (ale to chyba właśnie taki był, bo ta pani Ewa, od której wychodziły dziewczynki, była ubrana tak samo), po drugie ten Kacper i matematyka – zaintrygowała go ta scena.

– Pierwsze piętro, ostatnie drzwi na prawo.

– Dziękuję bardzo.

– Dzień dobry. O, jak dobrze, że ma pan brodę – ucieszyła się Gabriela Hanuszko. Piotr rzeczywiście od czasu odejścia Karoliny przestał się golić i wyhodował sobie całkiem długą brodę. – Szkoda tylko, że nie siwą.

– Będę miał srebrną i włosy również. Moja znajoma, która jest kosmetyczką, powiedziała, że mnie ucharakteryzuje tak, żebym wyglądał sympatycznie, naturalnie i dzieci nie straszyl. Podobno jest jakiś srebrny spray, który schodzi przy myciu włosów.

– To świetnie! A tu ma pan strój. Uniwersalny, na gumce – powinien pasować.

– Na pewno będzie pasował. – Piotr obejrzał strój i wrzucił go z powrotem do reklamówki.

– Napije się pan kawy albo herbaty? A w tym czasie księgowa przygotowuje umowę, dzisiaj podpiszemy, a szóstego przyniosłby pan rachunek i wtedy od razu zrobimy przelew.

– Wobec tego poproszę herbatę. – Piotr czuł, że dyrektorze chodzi nie tyle o załatwienie formalności, ile raczej chciałyby go trochę poznać przed spotkaniem z dziećmi. Wcale nie miał jej tego za złe, wręcz przeciwnie – była przecież odpowiedzialna za szkołę. Gdyby miał dziecko, powierzyłby je tej kobiecie bez obawy. Uśmiechnięta, pozytywnie nastawiona, elegancka, a jednocześnie swobodna Gabriela Hanuszko była przeciwieństwem surowej, wiecznie niezadowolonej, szukającej dziury w całym dyrektorki, którą pamiętał ze swojej podstawówki. Ach, jak inaczej mogłaby wyglądać jego szkoła, gdyby kierowała nią Gabriela Hanuszko albo ktoś do niej podobny.

– Ma pan ciekawą pracę – zagadnęła.

– Bardzo ciekawą. – Piotr uśmiechnął się. – I czasami zaskakującą. O, na przykład jeszcze dzisiaj rano nie przyszło mi nawet do głowy, że wkrótce zostanę Mikołajem.

– A nazwa nie bywa czasami kłopotliwa?

– Czasami bywa. Ale na pewno zwraca uwagę i zostaje w pamięci. I w razie jakiegś

domowej awarii łatwo ją sobie przypomnieć.

– Muszę powiedzieć, że na początku miałam pewne wątpliwości i zanim do pana zadzwoniłam, najpierw dokładnie przejrzałam pańską stronę oraz opinie w internecie.

– Ja też bym tak zrobił.

– Słodzi pan herbatę?

– Tak.

– Przepraszam, już podaję cukier. – Gabriela Hanuszko sięgnęła do szafki. – Ja nie słodzę już od dłuższego czasu i często po prostu zapominam o cukrze.

– Wie pani, co mnie zaintrygowało tu w szkole? – zagadnął Piotr, mieszając herbatę. – Panie sprząające – jedna rzecz to ich strój, a druga to relacje z dziećmi. Widziałem, jak dziewczynki odwiedziły jedną panią na przerwie w dyżurce i dostały od niej kolorowanki, a druga sprawdzała chłopcu zadanie z matematyki.

– Wie pan, to taki nieprzewidywalny uboczny efekt oddziaływań wychowawczych. – Dyrektorka uśmiechnęła się. – Wszyscy byliśmy zaskoczeni. Ale to trochę dłuższa opowieść.

– Zaintrygowała mnie pani. Chętnie posłucham.

– Wszystko zaczęło się w ubiegłym roku szkolnym. Wychowawczynie klasy trzeciej już od dłuższego czasu obserwowała, że jedna z dziewczynek trzyma się na uboczu. Ania była cicha, spokojna, inne dzieci nie dokuczały jej, ale i nie zapraszały do zabawy. A mama Ani sprzątała i zresztą nadal sprząta w naszej szkole. Wychowawczynie przypuszczała, że to jest jedna z przyczyn niskiej pozycji dziewczynki w klasie. Wymyśliła dramę. – Gabriela Hanuszko spojrzała pytająco na Piotra.

– Mniej więcej wiem, na czym polega drama, moja żona pracuje w domu kultury – wyjaśnił Piotr – i często opowiadała mi o różnych warsztatach, drama też tam była.

– O, to świetnie – ucieszyła się dyrektorka. – Wobec tego przechodzę od razu do meritum; otóż na gorące krzesło wychowawczynie zaprosiła liderkę klasy i przedstawiła ją jako niezwykle gościa, panią, która robi wspaniałe rzeczy, jest bardzo znana na całym świecie, dziennikarze biją się, żeby przeprowadzić z nią wywiad, prezydent zaprosił ją na obiad – stworzyła odpowiednią otoczkę, a kiedy ciekawość dzieci sięgnęła zenitu, powiedziała, że ta pani jest sprzątaczką w pewnej szkole. W opowieści mojej koleżanki sprzątaczką w tej szkole była ważniejsza niż dyrektor, a dokonywała czynów godnych Supermana. Uratowała szkołę przed pożarem, ocaliła życie rannemu kotkowi, odnalazła chłopca, który uciekł z domu, na wszystko miała sposób, nawet na tabliczkę mnożenia, której kilkoro dzieci za nic nie mogło się nauczyć, pomagała uczniom odrabiać lekcje, w klasach pojawiły się kompozycje zapachowe z suszonych kwiatów i ziół, a nauczyciele znajdowali na swoim biurku cukierki. Dyżurka stała się najbardziej obleganym przez uczniów miejscem w szkole. Po tej opowieści dzieci mogły zadawać pytania niezwykle goście. Dziewczynka doskonale weszła w rolę i opowiadała niesamowite historie o swojej pracy, a Ania, która zazwyczaj kuliła się w ławce, siedziała wyprostowana i słuchała z wypiekami na twarzy. Kiedy dzieci wychodziły z klasy, do Ani podeszła jedna z dziewczynek.

– Twoja mama jest sprzątaczką w naszej szkole, prawda? – zagadnęła.

Ale to jeszcze nie koniec tej całej historii. Bo, niech pan sobie wyobrazi, że następnego dnia w klasach pojawiły się suszone kompozycje zapachowe w szklanych pojemnikach, na biurkach nauczycielskich leżały cukierki, a dzieciaki zaczęły zaglądać do dyżurki, prosić panie o pomoc w odrabianiu lekcji albo przychodziły, żeby sobie pogadać. Basia (wychowawczynie trzeciej klasy) przyszła do mnie z pomysłem, żeby kupić paniom jakieś ładne stroje, no i kupiliśmy. A jak to wszystko dalej się toczy, to pan sam widział.

– Niesamowita historia! Aż trudno to uwierzyć!

– Dlatego właśnie lubię swoją pracę – uśmiechnęła się Gabriela Hanuszko.

Piotr ucharakteryzowany na naturalnego i sympatycznego Mikołaja, którego dzieci się nie przestraszą (Barbara Sosnowski i Ewelina Czyżyk skakały przy nim obie, jakby był gwiazdą filmową) nie mógł rozpoznać się w lustrze. Srebrne włosy i broda dodawały mu szlachetności, no i jeszcze ten strój... Czuł się niemal jak święty Mikołaj. Podziękował, wziął od dziewczyn ulotki salonu kosmetycznego, żeby zostawić je w szkole, wsiadł do samochodu i wyruszył na spotkanie przygody.

Nie dojechał daleko. Zaraz za rogiem zatrzymała go policja.

– Dzień dobry, dokumenty proszę – odezwał się policjant. – Pierwszy raz w życiu kontroluję świętego. – Uśmiechnął się. – Ale święty, czy nie święty, dokumenty muszą być w porządku. I są – dodał, zwracając dokumenty Piotrowi. – A czy na wigilię Mikołaj przyjmuje jeszcze zamówienia? Moje dzieciaki bardzo by się cieszyły.

– W wigilię nie pracuję. – Piotr uśmiechnął się. – Wyjeżdżam.

– Szkoda – westchnął policjant. – No cóż, znowu szwagier będzie miał fuchę, mam nadzieję, że i tym razem dzieciaki go nie rozpoznają.

Piotr umówił się z Gabrielą Hanuszko, że przyjedzie w czasie lekcji, żeby na przerwie nie wzbudzać sensacji i zadzwoni do niej spod szkoły. Jeśli droga będzie wolna, pójdzie po worek z paczkami, który leży w szafie, w sekretariacie, a potem odwiedzi klasę pierwszą, drugą i trzecią.

Korytarz był pusty. Piotr sięgnął do kieszeni po lusterko, żeby sprawdzić, jak trzyma się charakterystyka. Z kieszeni wypadły mu kluczyki. Kiedy się po nie schylał, zauważył, że na podłodze coś błysnęło. To była kulka. Zielona szklana kulka. Piotr podniósł ją i położył na parapecie. Przejrzał się w lusterku. Charakterystyka była bez zarzutu.

– Świetnie pan wygląda! – zawołała dyrektorka na jego widok. – Takiego stylowego Mikołaja jeszcze nie mieliśmy. Dzieci nie mogą się już doczekać. Co chwilą biegają do toalety, żeby przy okazji sprawdzić, czy Mikołaj już przyszedł.

– Dziękuję za komplement. No to może wystarczy im już tego czekania. Proszę mi tylko powiedzieć, do których sal mam iść.

– Zaprowadzę pana – oznajmiła Gabriela Hanuszko.

Piotr zarzucił worek na plecy i poszedł za dyrektorką. Czuł lekką treść, ale miał nadzieję, że kiedy już zacznie mówić, to mu przejdzie.

– Tu mamy pierwszą klasę. – Gabriela Hanuszko zatrzymała się przed salą numer 5.

Piotr trzy razy zapukał w drzwi, mocno, lecz z długimi przerwami. Za drzwiami najpierw zrobiło się zupełnie cicho, a potem zaczął narastać gwar.

Drzwi uchyliły się powoli.

– Dzień dobry, Mikołaju – przywitała go uśmiechnięta brunetka, która, jak się domyślił, była wychowawczynią pierwszej klasy. – Zapraszamy.

Zanim Piotr zdążył wykrztusić: „dzień dobry”, dzieci wyskoczyły ze swoich ławek i otoczyły go ciasnym kręgiem. Chyba ze dwadzieścia par oczu wlepiło się w Mikołaja, dwie dziewczynki głaskały białe futrzane łamówki jego płaszcza, jakiś chłopiec ciągnął go za rękaw, a powietrze było aż naelektryzowane oczekiwaniem.

– Dzień dobry. – Mikołaj uśmiechnął się.

– Dzień do-bry – opowiedziały chórem dzieci.

– Widzę, że czekaliście na mnie?

– Tak!

– A byliście grzeczni?

– Tak!

– No to jeszcze zapytam pani: czy dzieci były w tym roku grzeczne?

Piotr widział, że niektóre dzieci spuściły głowy, inne wstrzymały oddech, a jeden chłopiec złożył ręce, błagalnie wpatrując się w nauczycielkę.

Pani powiodła wzrokiem po swojej gromadce. Drugi chłopiec też złożył ręce, za jego przykładem poszły dwie dziewczynki i po chwili cała klasa ze złożonymi rękami błagalnie wpatrywała się w wychowawczynię.

– Nie pamiętam, kiedy to ostatnio w naszej klasie panowała taka cisza – uśmiechnęła się pani. – Pytasz, Mikołaju, czy dzieci były grzeczne? Hmm... różnie to bywało z tą grzecznością, ale jest coraz lepiej, a to najważniejsze.

– No to dobrze, bo już myślałem, że będę musiał z powrotem dźwigać te paczki, a w grudniu to ja się nanoszę, aż mnie plecy bolą od dźwigania. – Piotr zaczął całkiem niezłe czuć się w roli Mikołaja.

– Mikołaju – odezwała się jedna z dziewczynek – wiesz, że trzeba ćwiczyć, żeby plecy nie bolały?

– I trzeba siedzieć prosto! – zawołała inna dziewczynka.

– Nie wolno się garbić – poparła ją trzecia.

– My codziennie ćwiczymy z naszą panią! – zawołał jakiś chłopiec.

– Możemy Mikołajowi pokazać! – zaproponował inny.

– Pokażemy przysiady!

– Skłony!

– Ruchy naprzemienne!

– Słoń!

– Sowa!

– Kapturek myśliciela!

– Nauczymy Mikołaja!

Dzieci wołały jedno przez drugie, a Piotr, zasypany gradem zaskakujących propozycji, nie bardzo wiedział, jak zareagować.

Pani klasnęła trzy razy. Najwidoczniej był to sygnał znany dzieciom, bo w klasie zrobiło się cicho. No, może nie jak makiem zasiał, ale na tyle cicho, żeby wychowawczyni mogła coś powiedzieć.

– Cieszę się, że pamiętacie o prawidłowej postawie i o ćwiczeniach. Mikołaju, pewnie nie masz za dużo czasu, bo inne klasy też czekają, ale czy dzieci mogą ci pokazać jakieś ćwiczenie, którego się nauczyły?

– Ależ oczywiście, chętnie popatrzę. – Mikołaj uśmiechnął się.

– Słonia!

– Sowę!

– Ósemki!

– Skłony!

– A właśnie, że słonia!

– Wymachy!

Pani znowu klasnęła trzy razy.

– Nie kłóćcie się. Proszę, Mikołaju, wybierz, jakie ćwiczenie dzieci mają pokazać.

– To ja poproszę słonia.

– Przyklejamy ucho do trąby – powiedziała nauczycielka. – I napiszemy trąbą imię naszego gościa – Mikołaj.

Dzieci stanęły w lekkim rozkroku, wyciągnęły prawą rękę do przodu, przytulając ją do ucha, i pisały „trąbą” kolejne litery. Potem wykonały ćwiczenie drugą ręką.

– Pięknie! – pochwalił Mikołaj. – Jak myślicie, czy już nadeszła pora na rozdanie paczek?

– Tak! – zawołały chórem pierwszaki.

Piotr szybko uporał się z paczkami. Pożegnał się z dziećmi, przerwę spędził na kawie w dyrektorskim gabinecie, a po przerwie poszedł do klasy trzeciej.

Trzecioklasiści nie byli tak żywiołowi jak pierwszaki. Przywitali Mikołaja, nie wychodząc z ławek, zaśpiewali piosenkę *Kochany Panie Mikołaju* i ustawili się w kolejce po paczki, przepychając się tylko troszeczkę. Każde dziecko przygotowało dla Mikołaja jakiś drobny prezent. Dostał więc mnóstwo laurek, kilka cukierków, dwa batoniki, ciasteczka i samochodzik z jajka z niespodzianką, a także notes, żeby mógł sobie w nim zapisywać adresy dzieci, do których ma zanieść prezenty. Podziękował dzieciom, pożegnał się i poszedł do drugiej klasy.

Drugoklasiści też przygotowali dla niego program artystyczny – wyrecytowali dwa wierszyki z podziałem na role i zaśpiewali piosenkę. Wśród dzieci Piotr rozpoznał bliźniaków, którzy dwoili mu się w oczach podczas poprzedniej wizyty w szkole, dziewczynki, które odwiedzały panią Ewę w dyżurce, i ich koleżankę, która sprowokowała kłótnię – ciągle nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją zna, ale miał wrażenie, że nie były to miłe okoliczności.

Po występie nadeszła pora na paczki. Piotr zauważył, że dziewczynka, która wydawała mu się znajoma, patrzy na niego jakoś tak dziwnie. Nie stanęła w kolejce jak inne dzieci, tylko kręciła się blisko Mikołaja i cały czas go obserwowała. Podeszła po paczkę ostatnia. Piotr wyczuł, że była bardzo spięta, ale to nie była nieśmiałość, raczej jakaś gotowość.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Amanda – odpowiedziała i w tym momencie w głowie Piotra otworzyła się klapka.

Amanda! Córka doktor Orszuli Kacprzyckiej! Dziewczynka, która chciała, żeby coś ukradł! Wtedy miała jakieś inne włosy; dłuższe, a może krótsze, w każdym razie inne, więc jej nie poznał. Poza tym nie spodziewał się, że ją tu spotka. Pewnie dlatego tak go obserwowała – może też próbowała sobie przypomnieć, skąd go zna. Wcale nie chciał, żeby sobie przypominała. Schylił się do worka po paczkę.

– Amando, proszę.

Dziewczynka, zamiast odebrać paczkę, wpatrywała się w jego srebrną brodę.

– Amando, twoja paczka.

Zobaczył w jej oczach błysk zdecydowania. Amanda chwyciła go za brodę.

– Puść! – Piotr złapał jej rękę, ale dziewczynka nie puszczała.

– Amando! Przestań! – krzyknęła nauczycielka.

Amanda odgięła palce.

– Co ty zrobiłaś? Natychmiast przeproś Mikołaja! – krzyknęła nauczycielka.

– Przepraszam. – Dziewczynka ciągle wpatrywała się z jego brodę.

– Porozmawiamy później, Amando! – zapowiedziała groźnie wychowawczyni. – Cisza! – zawołała, bo klasa śmiała się, komentując zachowanie koleżanki. – Przepraszam bardzo, Mikołaju. Nie wiem, co jej się stało – dodała ciszej.

Piotr pożegnał się szybko i wyszedł z klasy, nie chcąc powodować większego zamieszania. Amanda dogoniła go na korytarzu.

– Przepraszam, Mikołaju. Nie chciałam, żeby cię bolało, ale musiałam sprawdzić, czy jesteś prawdziwy.

– Dlaczego? – zaciekawił się Piotr.

– Bo gdybyś był prawdziwy, to... – przełknęła ślinę – to mógłbyś zrobić tak, żeby mnie lubili.

– Kto?

– No, oni. Dziewczyny i chłopaki w klasie. I na podwórku też. – Nerwowo skubała rękaw

swetra. – Mamusia mówi, że jestem od nich mądrzejsza i ładniejsza i żebym się nie przejmowała, czy mnie lubią, czy nie. Mówi, żebym ich olała. Mamusia nigdy nie mówi brzydkich słów, ale jak powiedziałam, że nie chcą się ze mną bawić, to tak właśnie powiedziała – żebym ich olała i już. A ja chciałabym, żeby mnie lubili! Nie potrzebuję żadnego głupiego prezentu, chcę tylko, żeby mnie lubili! Możesz to zrobić? – Spojrzała na niego prosząco.

Co miał odpowiedzieć temu dziecku? Że gdyby tylko mógł, sprawiłby cud i dla jej matki, i dla niej, ale niestety nie był cudotwórcą. Co miał jej powiedzieć? Że to wszystko nie takie proste? Że nie da się nikogo zmusić, żeby kogoś polubił? Że sama zraża ludzi swoim zachowaniem i to od niej zależy, czy będą ją lubić, czy nie? Ale to też nie było takie proste, bo Amanda ani w klasie, ani na podwórku nie miała czystej karty. Wielu osobom zdążyła się już narazić. Nawet gdyby się zmieniła, co nie jest łatwe, koleżanki mogą tego nie zauważyć. Co mógł dla niej zrobić, mając zaledwie kilka minut do dzwonka, podczas gdy tu potrzeba było psychologa, terapii rodzinnej i pewnie jeszcze jakiejś pracy z klasą? Nie był przecież świętym Mikołajem!

Ale ta dziewczynka położyła wszystko na jedną szalę. Zaryzykowała, a teraz z nadzieją wpatrywała się w Piotra. Nie mógł jej zawieść.

Zielona szklana kulka nadal leżała na parapecie. Nikt jej nie zabrał. Czekwała na Amandę.

– Amando, widzisz tę kulkę?

– Tak...

– Weź ją do ręki.

Dziewczynka sięgnęła po kulkę.

– Jaka ona jest w dotyku?

– Zimna.

– Zaciśnij rękę, zamknij oczy i skoncentruj się na kulce.

Amanda zacisnęła pięść, aż pobiegały jej palce.

– Rozluźnij trochę dłoń, ale jej nie otwieraj.

Dziewczynka posłusznie wykonała polecenie.

– Czy kulka nadal jest zimna?

– Nie...

– Dlaczego?

– Ogrzała się od mojej ręki. Przecież to proste! – prychnęła Amanda.

– No właśnie... Niby proste... – Mikołaj uśmiechnął się tajemniczo. – Amando, lubisz zagadki?

– Bardzo! I krzyżówki też! Mama mówi, że rozrywki umysłowe rozwijają umysł.

– Wobec tego zagadka dla ciebie: co ma wspólnego ta kulka z twoim życzeniem?

Amanda zmarszczyła brwi, wpatrując się w leżącą na dłoni kulkę.

– Ona jest czarodziejska? – spytała.

– No... niezupełnie...

Zastanawiała się przez chwilę.

– To głupia zagadka! – powiedziała z pretensją.

– Chciałaś powiedzieć: trudna? – spytał Mikołaj.

– Głupia! Beznadziejnie głupia! Bo jej się nie da rozwiązać!

– Nie zadawałbym ci zagadki bez rozwiązania. Ty rozgrzałaś kulkę...

– To przecież wiem! Kto by tego nie wiedział! – przerwała mu Amanda.

– Zrobiłaś to sama. I sama możesz zrobić coś, żeby cię lubili.

– Ja mam zrobić coś, żeby mnie lubili? – spytała z powątpiewaniem.

– Mhm...

- Ale co? Przecież im nie rozkażę!
- A ty byś posłuchała takiego rozkazu?
- Pewnie, że nie – obruszyła się Amanda.
- No to przydałoby się wymyślić coś innego.
- Nie umiem!

– Zamknij oczy i ściśnij kulkę. – Piotr poczekał, aż dziewczynka spełni jego prośbę. – A teraz wyobraź sobie, że twoje życzenie się spełniło. Wszyscy cię lubią. Koleżanki w szkole i na podwórku. I akurat o tobie rozmawiają. Wiesz, co mówią?

– Obgadują mnie? – spytała niepewnie.

– Ależ skąd. Chwalą cię. Jedna dziewczynka mówi: „Ale ta Amanda się zmieniła! Jakby ją ktoś zaczarował. Już nie skarży pani i nie zadziera nosa”. A druga na to: „No. I pożyczyła mi nabój do pióra. W ogóle to jest całkiem miła”.

Piotr widział, jak dziewczynka rozjaśnia się pod wpływem tych słów. Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się.

– Chciałabym, żeby tak było – powiedziała, otwierając oczy. – Mam oddać kulkę?

– Zostaw ją sobie na pamiątkę. Będę trzymał za ciebie kciuki.

– Dziękuję! Muszę już wracać do klasy. – Westchnęła. – Do widzenia.

– Do widzenia, Amando.

Patrzył za nią, jak biegnie korytarzem, ściskając w dłoni zieloną kulkę.

Kiedy Amanda zniknęła za drzwiami klasy, Piotr poszedł do dyrektorskiego gabinetu. Zostawił worek i umówił się, że strój odda następnego dnia, ale nie przyniesie go do szkoły, żeby nie wzbudzać dziecięcych podejrzeń, tylko zostawi w centrum miasta w piekarni, którą prowadziła siostra szkolnej sekretarki.

– A jak wrażenia? – spytała Gabriela Hanuszko. – Pierwszaki podobno były zachwycone, że mogły pokazać Mikołajowi ćwiczenie.

– Było bardzo sympatycznie, tylko... czy mogę pani coś powiedzieć w tajemnicy?

– Ależ oczywiście. – Dyrektorka zamknęła drzwi oddzielające gabinet dyrektorski od sekretariatu. – Słucham.

– Czy zna pani Amandę z drugiej klasy?

– Oczywiście. Wszyscy w szkole znają Amandę. Nabroiła coś? Przepraszam, wyrwało mi się, niech pan o tym zapomni.

– Nie chodzi o to, że nabroiła, tylko... – Piotr opowiedział o wydarzeniach w klasie i rozmowie z Amandą na korytarzu.

Gabriela Hanuszko słuchała z uwagą.

– Ta dziewczynka ma dobre chęci, ale samej będzie jej trudno coś zmienić – kontynuował Piotr. – Przydałby się jakiś anioł stróż, który by nad nią czuwał i w razie czego dyskretnie pomógł. No i nawet, jak ona coś zmieni, nie wiadomo, czy dzieciaki coś zauważą. I jeszcze ta jej matka...

– Zna pan jej matkę? – zdziwiła się dyrektorka.

– Spotkałem ją raz. Ale to wystarczy.

– Rozumiem. – Gabriela Hanuszko uśmiechnęła się porozumiewawczo. – My też ją znamy – twardy orzech do zgryzienia. Czy pan ma coś wspólnego z psychologią albo z pedagogiką?

– Ja? Nic absolutnie!

– No to ma pan świetną intuicję! Ale i ja na swoją intuicję nie mogę narzekać, bo od razu wiedziałam, że z nieba pan nam spadł!

Po trzech godzinach w szkole Piotr czuł się, jakby ktoś wyjął mu baterie. Pragnął jedynie

ciszy i spokoju. Planował, że gdy już zdejmie strój Mikołaja, zmyje makijaż i odzyska własny kolor brody i włosów, usmaży sobie jajecznicę z cebulą, a potem będzie się lenił z książką przez cały dzień. No, chyba że trafi się jakieś nagłe zlecenie. Był kilka dni temu w bibliotece i przyniósł stamtąd trzy thrillery Robina Cooka – ostatnie książki tego autora, których jeszcze nie czytał. Postanowił, że w prezencie mikołajkowym dla samego siebie urządzi sobie czytelniczą ucztę. Zawsze robili sobie z Karoliną jakieś drobne mikołajkowe niespodzianki. Ale dzisiaj nie spodziewał się żadnej.

Mylił się.

W skrzynce leżało awizo.

Piotr nie miał odwagi przeczytać pisma od razu na pocztce. Złożył list na pół i schował do kieszeni na piersi. Miał wrażenie, że koperta pali go przez ubranie. A może to serce? Waliło mocno, nierówno i Piotr nie mógł złapać oddechu. Przestraszył się. A jeśli to zawał? Nigdy wcześniej nie miał kłopotów z sercem. Próbował się uspokoić, skoncentrować na oddychaniu.

– Pan źle się czuje? – spytała kobieta, która właśnie odeszła od okienka pocztowego.

– To ze stresu, zaraz przejdzie, mam nadzieję.

– Proszę usiąść. – Podesunęła mu krzesło i usiadła obok.

Kobieta mogła być mniej więcej w jego wieku, może trochę młodsza, nie była szczególnej urody, ale miała w sobie coś ciepłego, co pewnie przyciągało do niej ludzi. Piotr czuł się wobec niej trochę głupio, bo co innego, gdyby pomógł mu facet, ale kobieta? To on – mężczyzna – powinien ratować omdlewające dziewczyny, a nie odwrotnie.

Z drugiej strony przyjemnie mu było, że ktoś się o niego troszczy, nawet jeśli tego zainteresowania nie zawdzięczał swojemu urokowi osobistemu – przeczuwał, że ta kobieta tak samo zaopiekowałaby się chorym kotem albo ptakiem, który wypadł z gniazda, albo kimkolwiek, kto potrzebowałby pomocy.

Serce powoli się uspokajało.

– Już panu lepiej? – spytała.

– Tak, przeszło mi – powiedział trochę na wyrost, bo całkiem dobrze jeszcze nie było, ale na pewno zdecydowanie lepiej niż przed chwilą. – Dziękuję bardzo.

Wracając, spotkał panią Augustynę obładowaną zakupami i pomógł jej nieść torby. Chociaż pragnął jak najszybciej znaleźć się w domu, siedł powoli, żeby staruszka mogła dotrzymać mu kroku. Odstawił sąsiadkę z zakupami pod drzwi jej mieszkania, wymówił się od zaproszenia na domowe ciasteczka i pobiegł do siebie.

Zamknął drzwi na klucz, wyłączył telefon. Nie chciał, żeby ktokolwiek mu przeszkadzał.

Drżącymi rękami rozerwał kopertę. Przeleciał wzrokiem nagłówek: *Sąd okręgowy wydział cywilny rodzinny w...*

Powódka: Karolina Kowalczyk

Pozwany: Piotr Kowalczyk

Powódka i pozwany. Nie żona i mąż, tylko powódka i pozwany. Już nie razem, tylko po dwóch stronach barykady.

Czytał dalej:

Pozew o rozwód

W imieniu własnym wnoszę o:

1. rozwiązanie małżeństwa zawartego... przez orzeczenie rozwodu bez orzekania o winie stron

Uzasadnienie

Obecny stan więzi pomiędzy małżonkami jednoznacznie prowadzi do wniosku, że nastąpił zupełny rozkład pożycia małżeńskiego o charakterze trwałym, uzasadniający orzeczenie rozwodu.

Poniżej kilka beznamiętnych zdań podsumowujących trzynaście lat małżeństwa. Wyrazy skakały Piotrowi przed oczami.

bezsukteczne starania o dziecko... stopniowy rozkład więzi pożycia... podjęcie przez pozwanego pracy za granicą... strony coraz bardziej się od siebie oddalały... dystans emocjonalny... uczucie pomiędzy małżonkami wygasło... strony nie utrzymują kontaktu ze sobą, a każde z małżonków prowadzi odrębne życie.

Przeczytał jeszcze raz, a potem znowu. Bolało. Cholernie bolało. To pismo nie było żadnym zaskoczeniem, spodziewał się go przecież, a jednak spisana czarno na białym historia jego nieudanego małżeństwa, opatrzona urzędową pieczętką, nie pozwalała ot tak po prostu przejść nad nią do porządku dziennego.

Piotr uważał, że już zdążył pogodzić się z sytuacją, jak nakazywał rozsądek, bo przecież co się stało, to się nie odstanie, wydawało mu się, że rana się zabiłiżniła, tymczasem znowu nie mógł spać po nocach, a w domu ciągle trafiał na ślady Karoliny.

To wysypały mu się zdjęcia jeszcze z czasów narzeczeńskich, to słodząc herbatę, przypomniał sobie, że tę łyżeczkę do cukru dała im koleżanka Karoliny w prezencie ślubnym z życzeniami: „żeby wam zawsze słodko było”, to znowu wkładając sweter, przypomniał sobie, że dostał go od żony. To ona wybierała mu kosmetyki i ubrania; oczywiście jeśli mu coś mu nie odpowiadało, nie kupowali tego, ale Piotr rzadko protestował, przeważnie zdawał się na jej gust. Ta wodę toaletową, której została już tylko odrobina na dnie butelki, to też był jej wybór. Gdyby on sam miał kupić, pewnie wziąłby jakąś inną, ale skoro Karolinie ten zapach podobał się najbardziej... Nie używał tej wody od dawna. Chciał przypomnieć sobie, jak pachnie. Buteleczka wyśliznęła mu się z ręki. Szkło rozprysło się po podłodze, intensywna woń wypełniła łazienkę. Piotr szybko sprzątnął okruchy i wytarł na mokro terakotę, ale niewiele to pomogło. Nie mógł się pozbyć drażniącego zapachu.

Miał jeszcze dwanaście dni, żeby napisać odpowiedź na pozew.

A później jedenaście, dziewięć, siedem, pięć... dni mijały jak szalone wypełnione pracą od rana do wieczora, bo ludzie chcieli jeszcze tyle rzeczy zrobić w domach przed świętami – kuchnię odświeżyć, karnisze nowe zawiesić, meble wymienić albo poprzestawiać, żeby choć trochę było inaczej niż przedtem, coś powywozić, naprawić, odnowić, pomalować, przykręcić, uszczelnić, przyczepić, zdjąć, wywiercić, zakleić... Piotr wracał do domu wykończony, rzucał się na łóżko, oczy mu się zamykały, ale zasnąć nie mógł, albo zasypiał, a potem budził się w środku nocy i leżał aż do rana.

W nocy z soboty na niedzielę znowu nie mógł spać. Nie, to nie miało sensu. Ileż w końcu można odwlekać. Włączył komputer, przejrzał w internecie wzory odpowiedzi na pozew. Po dwóch godzinach wydrukował gotowe pismo. Uważnie przeczytał, sprawdzając, czy daty, numery i inne dane formalne się zgadzają. Zatrzymał wzrok na dłużej na dwóch zdaniach, których napisanie zajęło mu najwięcej czasu:

W imieniu własnym, w związku z pozwem o rozwód wniesionym przez Karolinę Kowalczyk, wnoszę o rozwiązanie małżeństwa przez rozwód bez orzekania o winie stron.

Mimo że nie do końca zgadzam się z interpretacją wydarzeń przedstawioną przez powódkę, potwierdzam, że nastąpił zupełny rozkład pożycia małżeńskiego o charakterze trwałym, uzasadniający orzeczenie rozwodu.

Podpisał pismo, włożył do koperty, zaadresował. Mógł je wysłać dopiero w poniedziałek, ale już sama świadomość, że jest gotowe, przyniosła mu ulgę. Wrócił do łóżka i po raz pierwszy, od kiedy dostał pozew, nareszcie mocno zasnął.

ROZDZIAŁ 17

Kiedys Piotr bardzo lubił Boże Narodzenie. Jako dzieciak nie mógł doczekać się świąt. Wtedy czas przedświąteczny był jak bąbelki unoszące się nad szklanką pełną rozpuszczonej oranżady w proszku – Piotrek lubił nachylać się nad nią i czuć na twarzy musującą zapowiedź przyjemności.

Zwiastunem nadchodzących świąt były pierniczki. Mama piekła je już na początku grudnia, żeby zdążyły zmięknąć do Bożego Narodzenia, a musiała upiec ich dużo, żeby codziennie można było spróbować, czy miękna i żeby jeszcze coś na święta zostało. Przez cały dzień mama stała przy kuchni, a Piotrek razem siostrą pomagał wygniatać ciasto, wałkować, wycinać foremkami najprzeróżniejsze kształty, a kiedy pierniczki były już upieczone, ozdabiali je lukrem. Cały dom wypełniał świąteczny zapach, nawet poduszka pachniała pierniczkami i pluszowy kot, który lubił spać z Piotrkim, i mama, gdy przychodziła dać buziaka na dobranoc. A Piotrek już nie dziwił się Jasiowi i Małgosi, że dali się skusić piernikową chatką Baby Jagi.

Drugą zapowiedzią świąt były roraty. Mroźne poranki, kiedy tak trudno było wstać z łóżka, skrzypiący śnieg pod nogami, półmrok w kościele, kolorowe lampiony z bibułki. I serca wrzucane do żłóbka, na których zapisywało się dobre uczynki. Raz zrobili sobie z chłopakami konkurs, kto do wieczora nazbiera najwięcej dobrych uczynków i wzbudzili we wsi sensację. Grupa dzieciaków czekających pod sklepem, żeby pomóc kobietom zanieść zakupy, albo oferujących pomoc w odśnieżaniu, noszeniu węgla czy innych pracach nie była zjawiskiem zwyczajnym. Rodzice nieco podejrzliwie patrzyli na swoich synów gorączkowo szukających okazji, żeby komuś pomóc, i zastanawiali się, co też takiego chłopcy zmalowali, że teraz próbują to zatuszować, zachowując się jak aniołki.

Konkurs wygrał Marek. Miał szczęście, bo jego sąsiadka akurat szykowała się do przeprowadzki, więc okazji do dobrych uczynków mu nie zabrakło. Nagrodą dla zwycięzcy był dobry uczynek od każdego z kolegów. I to nie było jakiś dobry uczynek, tylko taki, o jaki Marek poprosił. Olek na przykład wysprzątał mu pokój, Jacek napisał wypracowanie, a Piotrek miał mu przeczytać na głos lekturę z polskiego. Nie pamiętał już, jaka to była książka, na szczęście nie za gruba, bo Piotrek nie cierpiał głośnego czytania. I tak nie przeczytał jej na głos całej – po kilkunastu stronach Marek stwierdził, że szkoda czasu, lepiej niech Piotrek przeczyta ją sam, a potem mu opowie.

A jaki ksiądz był zdziwiony, kiedy na następne roraty wszyscy przynieśli po kilkanaście serc. Nie mieściły się w żłóbku.

Piotr westchnął, wspominając tamte czasy. Ileż to emocji dawały prezenty – odgadywanie, czy rodzice już je kupili i co to takiego będzie w tym roku, przeszukiwanie szaf, wersalek, składzików, piwnic i strychów w poszukiwaniu świątecznych podarków, które czasami udawało się znaleźć, a czasami nie. I czekanie; odliczanie tygodni, potem dni, a wreszcie godzin. Ubieranie choinki, wypatrywanie pierwszej gwiazdki, opłatek, wieczerza wigilijna, barszcz z uszkami – ulubiona potrawa Piotrka, którą mama robiła tylko raz w roku, a potem rozpakowywanie paczek, radość z prezentów, zapach pomarańczy pojawiających się w sklepach tylko przed świętami, smak prawdziwej czekolady, o którą było tak trudno, kolędy, pasterka i... żal, że na następną Wigilię znów trzeba czekać cały rok.

Kiedy Piotr dorastał, emocje przedświąteczne stopniowo traciły swą intensywność, już tak bardzo nie czekał na Boże Narodzenie, ale wciąż lubił ten czas w roku. Karolina również. I to właśnie w Wigilię kilka lat temu przy dzieleniu się opłatkiem szepnęła Piotrowi do ucha, że chciałaby już mieć dziecko i spytała, czy on też. Życzyli sobie wtedy nawzajem, żeby następne

święta mogli przywitać we trójkę. Na pasterce ściskali się za ręce, ze wzruszeniem patrząc na Dzieciątko w żłóbku i jeszcze tej nocy kochali się z myślą o dziecku.

Cudowne były te pierwsze próby, kiedy seksu nie zdominował jeszcze kalendarz, a bezowocność nie zniszczyła spontaniczności. Gdy za każdym razem mieli nadzieję, że może to właśnie dzisiaj i chcieli zrobić wszystko, żeby ten początek był jak najpiękniejszy, a zmysłowość splatała się z modlitwą...

A potem przyszło kolejne Boże Narodzenie i znowu składali sobie takie same życzenia i znowu ściskali się za ręce, modląc się przed żłóbkiem. Wtedy jeszcze w ich serca nie wkraśl się niepokój. Ale następne święta, które spędzili u rodziców Karoliny, nie były już dla nich tak radosne. Siostra Karoliny przyjechała z niemowlakiem, kuzynowi właśnie urodziło się drugie dziecko, a ciotki i wujowie nie szczędzili Karolinie i Piotrowi komentarzy w stylu: „teraz wasza kolej” albo „a wy nie myślicie o dziecku?”.

Z roku na rok Boże Narodzenie nabierało coraz bardziej gorzkiego posmaku. Wszystkim wokół rodziły się dzieci, planowane albo nieplanowane, tylko im nie. Przy okazji świąt i rodzinnych spotkań maluchy kręciły się wszędzie, rozmawiano o dzieciach, pytano Karolinę i Piotra o ich plany na powiększenie rodziny. Te pytania bolały, ale z czasem zaczęły padać coraz rzadziej, aż wreszcie nikt już ich nie zadawał.

W ostatnie Boże Narodzenie Karolina i Piotr, składając sobie życzenia, nie wspomnieli o dziecku. Właściwie to nawet nie były życzenia, tylko coś w rodzaju: „ty przecież wiesz” i szybki buziak, bo przecież jeszcze z innymi trzeba się podzielić opłatkiem, a barszcz stygnie.

Od kilku lat w Wigilię Karolina płakała. Kiedy już goście rozeszli się do domów, kiedy było już po pasterce i wszyscy spali, a w każdym razie Karolina myślała, że śpią, popłakiwała sobie cicho w łóżku albo szła wypłakać się do łazienki. Piotr nie spał, ale wiedział, że żona nie lubi płakać przy ludziach, a poza tym nie umiał jej pocieszyć, więc się nie odzywał. Towarzyszył jej po cichu, czuwając, dopóki nie zasnęła.

To miały być pierwsze święta bez Karoliny. U mamy. W tamtym roku byli u teściowej. Przyszło mu do głowy, że rozwód oznacza, że nie tylko nie będzie miał żony, ale również teściowej.

Nie miał ochoty na święta u mamy. Wiedział, że cała matczyna troska skupi się na nim, bo siostra z rodziną tym razem nie planowała przyjazdu. No i jeszcze w czasie spotkań przy stole będzie musiał stawić czoło ciekawości ciotek, wujków, kuzynek i sąsiadów, wyrażonej jeśli nie w pytaniach, to w spojrzeniach sprawdzających, jak sobie sam radzi i szukających odpowiedzi na pytanie, dlaczego go rzuciła. A tam, do cholery! Nie był przecież jedynym człowiekiem, któremu nie wyszło małżeństwo. Nie ma czego ukrywać. A poza tym kiedyś i tak musi przełknąć tę gorzką pigułkę.

Ale co z prezentem dla mamy? O podarki dla innych ona zadba, Piotr się tylko dorzuci finansowo, ale prezent dla mamy zawsze wybierała Karolina, on się przecież zupełnie nie znał na takich babskich sprawach. Natomiast w wyborze prezentu dla Karoliny pomagała mu Olga. Ale przecież w tym wypadku nie zwróci się do niej o pomoc. Poczul się kompletnie bezradny. Markowi umiałby kupić prezent, ale nie mamie. Gdyby pomyślał o tym kilka dni wcześniej, poprosiłby siostrę. Gosia zamówiłaby coś przez internet na jego adres. Lecz teraz było już za późno. Paczka mogła nie dojść przed wyjazdem i zostałaby bez prezentu. Upominek dla mamy musiał więc kupić w sklepie. Tylko skąd wziąć kobietę, która mogłaby mu w tym pomóc? Gdyby pani Augustyna była zdrowa, może do niej by się zwrócił, ale sąsiadka przeziębila się i leżała od kilku dni w łóżku – Piotr wiedział o tym, bo prosiła go o pomoc w zakupach. Koleżanki Karoliny odpadały, a nikt inny nie przychodził mu do głowy. Zaczął przeglądać kontakty w komórce. Jagoda Węgielska! To była jedyna osoba, do której miał śmiałość się zwrócić.

– Cześć, Piotrze!

Po tonie głosu Piotr poznał, że jest trochę zaskoczona jego telefonem.

– Cześć, Jagodo. Dzisiaj ja z prośbą do ciebie. Potrzebuję żony zastępczej.

– O, a do czego ci ta żona zastępcza?

– Do pomocy przy wyborze prezentu pod choinkę dla mamy. Ja się zupełnie nie znam na takich babskich duperelach.

– Masz jakiś pomysł?

– Może coś ze srebrnej biżuterii, mama lubi srebro. Ale ja sam nie bardzo umiem wybrać. Próbowałem, nie myśl, że nie – wszedłem do sklepu jubilerskiego i wyszedłem stamtąd po dwóch minutach. Jak dla mnie to tam za dużo tych świecidełek, oczopląsu można dostać.

– Spokojnie, mogę się z tobą wybrać na zakupy. Kiedy?

– Uff! Kamień spadł mi z serca! A jutro po południu możesz?

– Mogę. Gdzie się spotkamy?

Umówili się w galerii handlowej. Piotr chciał przyjechać po Jagodę, ale powiedziała, że woli mieć swój samochód, bo i tak zamierzała zrobić zakupy.

– Pan mąż! – Okrzyk małej dziewczynki rzucającej się w ramiona faceta na środku galerii handlowej wzbudził niejaką sensację. Kilka osób zatrzymało się, czekając, jak rozwinie się sytuacja. Piotr poczuł na sobie taksujące spojrzenia. Zrobiło mu się gorąco. Wiedział, że się czerwieni i wiedział, że to nie działa na jego korzyść.

– Cześć, Tosiu, przybij piątkę. – Odsunął od siebie dziecko, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Piątka! – Mała ochoczo klepnęła jego dłoń. – Zółwik, panie mężu! – Wyciągnęła piąstkę.

– Tosiu, mówiłam ci, żebyś na mnie poczekała. – Nadbiegła zdyszana Jagoda. – Zobacz, jaki tłok, mogłaś się zgubić.

– Nie mogłam. Bo zobaczyłam pana męża – odpowiedziała stanowczo dziewczynka.

– Chodźmy już stąd – zaproponował Piotr. Ściszył głos, żeby mała go nie usłyszała. – Patrzę na mnie jak na pedofila.

Ale Tosia miała świetny słuch.

– Co to jest pedofil? – spytała.

– Tu zaraz jest sklep jubilerski – powiedziała Jagoda, udając, że nie słyszy pytania córki.

– Co to jest pedofil? – powtórzyła głośniejszym głosem Tosia, znowu przyciągając kilka zaciekawionych spojrzeń.

– Yyy... to taki człowiek, który udaje, że lubi dzieci, ale jest dla nich niedobry – wyjaśniła Jagoda.

– Pan mąż nie jest pedofilem – orzekła Tosia. I po chwili zastanowienia dodała: – Pani Janka z przedszkola jest pedofilem.

– Co ty mówisz, Tosiu! – oburzyła się mama.

– No tak, bo udaje, że lubi dzieci, ale jak rodziców nie ma, to strasnie na nas kzczy, a do pani Halinki mówiła, że ma już dość tych wstrętnych bachorów.

– Pani Janeczka krzyczy na dzieci, gdy są niegrzeczne i jest zmęczona, bo długo pracuje, ale tak naprawdę to lubi dzieci – odpowiedziała mama Tosi i szybko zmieniając temat, żeby uniknąć dalszych pytań, zwróciła się do Piotra. – Jak się Tosia dowiedziała, że mam się z tobą spotkać, to za nic nie chciała zostać z siostrą w domu.

– Bo ja lubię pana męża! – krzyknęła dziewczynka, ściągając spojrzenie przechodzących obok dwóch kobiet w średnim wieku. – Mama mówiła, że pan mąż potrzebuje kobiety, żeby poradziła, jaki prezent kupić dla mamy. A ja przecież jestem kobietą – wyprostowała się dumnie –

i mogę panu mężowi powiedzieć, co kupić.

– No rzeczywiście, nie pomyślałem o tobie. A jaki prezent wybrałabyś dla mojej mamy?
– zaciekał się Piotr.

– Sanki albo łyżwy – odpowiedziała Tosia bez zastanowienia.

– Tylko że moja mama nie jeździ na łyżwach ani na sankach.

– Skoda – zmartwiła się. – Ale może się naucy? Ojej – westchnęła z zachwytem, bo właśnie weszli do jubilera. – Ile skarbów! Mamo, kupis mi bransoletkę?

– Na pewno nie w tym sklepie. Tu są rzeczy dla dorosłych.

– A jak będę dorosła, to mi kupis w tym sklepie?

– Pogadamy za kilka lat. Na razie sobie pooglądaj.

– Jaką biżuterię lubi twoja mama? Delikatną czy bardziej wyrazistą? To ma być jakiś wisiorek czy kolczyki, czy może komplet? – dopytywała Jagoda.

– Wiem, że lubi srebro – odpowiedział niepewnie Piotr. – I to chyba tyle...

Jagoda westchnęła.

– Mam pomysł! – ucieszył się Piotr. – Moja siostra na pewno powie ci coś więcej.

Dzwonię do niej.

Gośka odebrała po pierwszym sygnale. Piotr wytłumaczył jej, o co chodzi, a potem przekazał telefon Jagodzie. Kobiety dogadały się bez problemu.

– OK, to ja już wiem, czego mam szukać, podaj tylko pułap cenowy.

Po piętnastu minutach oglądania i podejmowania decyzji, w czym czynny udział brała Tosia, wyszli ze sklepu z łańcuszkiem i okazałym srebrnym wisiorkiem.

– Nareszcie. – Piotr odetchnął z ulgą. – Kiedy sprzedawczyni wyłożyła te wszystkie cudeńka na ladę, miałem ochotę po prostu uciec. Co innego, gdyby to były narzędzia. Ale biżuteria? W życiu bym się nie zdecydował, co wybrać. Uratowałyście mnie, dziewczyny. To ja was teraz porywam na jakąś kawę i deser.

– Z bitą śmietaną? – Tosia przełknęła ślinę.

– Może być z bitą śmietaną – zgodził się Piotr. – Oczywiście, jak mama pozwoli.

– Pozwalam – uśmiechnęła się Jagoda. – I chętnie napiję się kawy, zanim wyruszę szturmować sklepy. Straszny tłok tu dzisiaj.

Udało im się znaleźć w miarę spokojną kafejkę. Jagoda i Piotr zamówili kawę i szarlotkę, a Tosia deser wiśniowy z bitą śmietaną. Dziewczynka pierwsza uporała się z deserem i zajęła się oglądaniem wystawionych za szybą słodkości.

– Tata! – zawołała nagle i wybiegła z kafejki. Jagoda ruszyła za nią.

Za szklaną ścianą kawiarni Piotr zobaczył Tomasza Węgielskiego. Mężczyzna uściśnął Tosię, chciał też przytulić Jagodę, ale ta odchyliła się, z rezerwą podając mu rękę. Tosia wskazała ręką na Piotra, który skinął głową Węgielskiemu. Mężczyzna odpowiedział mu niechętnym skinieniem. Rozmawiali chwilę. Tosia z przejęciem tłumaczyła coś tacie, zdenerwowany Węgielski mówił coś do Jagody, rzucając Piotrowi piorunujące spojrzenia, Jagoda chyba próbowała mu coś wytłumaczyć, wreszcie pożegnali się chłodno i dziewczyny wróciły do kawiarni.

– Mój mąż jest o ciebie zazdrosny – powiedziała z gorzkim uśmiechem Jagoda, gdy Tosia zajęła się obserwowaniem ekspresu do kawy. – Zaoferował swoją pomoc we wszelkich sprawach domowych, z którymi nie będę mogła sobie poradzić. Po co masz prosić obcego faceta, jak ja mogę to zrobić – powiedział, na co Tosia zaprotestowała, że pan mąż nie jest obcy, bo mamusia pozwala jej z nim rozmawiać, a z obcymi przecież nie pozwala i dodała, że pan mąż nie jest pedofilem i naprawdę lubi dzieci, a ona lubi pana męża i już. Nie dał sobie wytłumaczyć, że nic nas nie łączy, a zresztą nawet gdyby, to i tak nie jego sprawa. – Westchnęła ciężko. – Ostatnio

zaprosił mnie z dziewczynkami na kolację. Zgodziłam się. Było nawet całkiem sympatycznie. Ale przecież nie daje mu to prawa do wtrącania się w moje życie. – Zamyśliła się. – Wiesz, kiedy patrzyłam w czasie tej kolacji na dziewczynki, takie zadowolone, że jesteśmy razem, kiedy widziałam, jak on patrzy na mnie, kiedy podając mi chleb, dotknął mojej dłoni, to chciałam, żeby wrócił... Ale... ja nie umiem zachować dystansu – albo angażuję się cała, albo nie angażuję wcale. A tamtej zdrady ciągle nie umiem mu zapomnieć. I jeszcze to wypytywanie o ciebie! Dla mnie zazdrość nie jest oznaką, że mu na mnie zależy, tylko że chciałby mieć nade mną kontrolę.

– Mamo, mamo! – przerwała im Tosia. – Ten ekspres tak ślicznie parska i pluje! Kawą pluje. I robi pianę z mleka. Jak będę duża, będę ekspresownicą jak ta pani!

– Wesołych świąt i żeby ci się wszystko dobrze ułożyło w Nowym Roku. – Piotr uściśkał Jagodę na pożegnanie.

– I tobie też. – Pocałowała go w policzek. – W końcu przecież musi być dobrze.

– A ja? Mnie też przytul, panie mężu. – Tosia pociągnęła Piotra za rękaw.

Nie tylko Piotr miał problem z wyborem świątecznego prezentu. Następnego dnia zadzwoniła do niego kobieta, która chciała kupić mężowi pod choinkę wiertarkę i nie wiedziała, jaką wybrać. Umówili się więc w Castoramie.

Klaudia Śrubka z pewnością już dość dawno skończyła czterdziestkę i rozpaczliwie starała się to ukryć. Włosy dłuższe z jednej strony, z drugiej postrzępione i nastroszone (jeszcze jakiś czas temu Piotr uznałby to za błąd fryzjerski, ale Karolina wytłumaczyła mu, że tak się nosi), gruba warstwa jakiegoś opalonego mazidla na twarzy, obcisłe dżinsy i równie obcisła bluzka z dużym dekoltem. Mocny uścisk dłoni. Uwodzicielskie spojrzenie.

– Od razu wiedziałam, że to pan! – Taksowała go wzrokiem z góry na dół i z dołu do góry, nie przejmując się wcale, że to może być krępujące. – Prawdziwego mężczyznę zawsze rozpoznam. Gryzipiórek z laptopem to dla mnie żaden facet. Siekiera, młotek, kilof, wiertarka – to są narzędzia prawdziwego faceta. I żadne tam sztuczne pachnidła. Prawdziwy facet pachnie trudem, wysiłkiem, walką. – Wciągnęła głęboko powietrze nosem.

Piotr poczuł się trochę skrępowany.

– Pomoże mi pan, prawda?

– Ależ oczywiście. Chce pani kupić wiertarkę, prawda?

– Tak, wiertarkę!

– A jaką?

– Dużą. Koniecznie dużą. Żeby mój chłop poczuł w rękach jej ciężar. I żeby mięśnie było widać, jak on tak będzie wiercił i wiercił... – mówiła rozmarzonym głosem. – I zielona musi być ta wiertarka.

– Duża i zielona? – Piotr był trochę skołowany.

– Tak. Mojemu chłopu pasuje zielony, a poza tym zielony to kolor nadziei...

– A jakie jeszcze ma pani oczekiwania?

– Ojej – westchnęła z lubością – oczekiwania to ja mam duże... ale najpierw wiertarka.

– A w jakim przedziale cenowym szukamy? – spytał Piotr, gdy już znaleźli się w dziale z wiertarkami.

– Cena to rzecz drugorzędna. Ważne, żeby ta wiertarka była w miarę dobra oraz duża i zielona oczywiście.

– A może woli pani młotowiertarkę? – zapytał Piotr.

– Młotowiertarka? – zaciekawiła się kobieta. – Nawet nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. A w czym jest lepsza od wiertarki?

– Można nią wiercić otwory w betonie, kamieniu, marmurze, może też służyć do kucia i wyburzania ścian działowych.

– Ach, kuć i burzyć i wiercić w kamieniu... „Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mury tłuc z łoskotem! I nie wiedziała ślepa noc, kto jest człowiekiem, a kto młotem?” – wyrecytowała z emfazą. – Zna pan ten wiersz Leśmiana?

Piotr, aczkolwiek nieco zaskoczony tym niespodziewanym przeskokiem od techniki do poezji, nie dał się zbić z tropu.

– „O, prędzej skruszmy zimny gład, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze! – Tak, waląc w mur, dwunasty brat do jedenastu innych rzeczy”^[31].

Klaudia Śrubka wpatrywała się w Piotra z podziwem graniczącym z uwielbieniem.

– Pan zna to na pamięć! Prawdziwy facet i miłośnik poezji jednocześnie! Niesamowite!

– Nie jestem miłośnikiem poezji, po prostu kiedyś musiałem nauczyć się tego wiersza, żeby dostać czwórkę z polskiego na koniec roku.

– Ale skoro wiersz wrył się panu w pamięć, to znak, że chociaż nie chce się pan do tego przyznać, jednak gdzieś w głębi duszy łaknie pan poezji. – Klaudia Śrubka nie pozwoliła Piotrowi zejść z piedestału. – Ach, kiedy wyobrażam sobie tych dwunastu braci pochłoniętych marzeniami, ociekających potem, niepoddających się nawet po śmierci... gdyby ktoś kiedyś tak dla mnie... – Westchnęła tęsknie. – Młotowiertarkę! Tak! Chcę młotowiertarkę!

Niestety, spełnienie oczekiwań Klaudii Śrubki okazało się niewykonalne. Młotowiertarki były albo duże, albo zielone. Żadna nie spełniała obu tych warunków jednocześnie. Lecz Klaudia tak łatwo nie rezygnowała z marzeń. Z zapamiętaniem godnym dwunastu braci z ballady Leśmiana ciągała Piotra po wszystkich supermarketach budowlanych, choć właściwie nie wiedział po co, bo kiedy próbował powiedzieć cokolwiek na temat oglądanych przez nią modeli, nawet nie udawała, że go słucha. Przestał się więc odzywać.

Na piętnaście minut przed zamknięciem ostatniego sklepu Klaudia Śrubka musiała pogodzić się z faktem, że dużej i zielonej młotowiertarki nie dostanie i z czegoś musi zrezygnować. Chodziła między półkami, oglądała młotowiertarki, brała w ręce, sprawdzając ciężar, gładziła pieszczotliwie główki i korpusy i wzdychała, nie mogąc wybrać między dużą a zieloną. W końcu, gdy pracownik sklepu poprosił, żeby podeszli do kasy, bo sklep jest czynny do dwudziestej pierwszej, a jest już trzy po, ciężar wygrał z kolorem.

– Aha, i jeszcze wiertła. To długie koniecznie. – Klaudia Śrubka sięgnęła po półmetrowe wiertło (dłuższego nie było) – a resztę niech pan wybierze.

– Niebieska też jest ładna – pocieszała się. – Już widzę mojego Heńka, jak trzyma ją w rękach, mięśnie mu się napinają pod skórą, a on – mój obsypany pyłem bohater, walczy i nie poddaje się – mówiła z emfazą. – Zielona byłaby ładniejsza, ale Heniek ma niebieskie oczy, to i z tą będzie mu do twarzy.

ROZDZIAŁ 18

Święta okazały się przyjemniejsze, niż Piotr się spodziewał. Bolało – szczególnie w Wigilię przy dzieleniu opłatkiem, ale był to ból, który dało się znieść bez środków znieczulających. Kiedy ciotka zapytała, co u niego, Piotr powiedział, że się rozwodzi, a ponieważ były przy tym inne ciotki, wujkowie i kuzynki, wykorzystał okazję, żeby oznajmić to wszystkim od razu, a nie tłumaczyć się przed każdym z osobna. Przed Jaśkiewiczową też nie ukrywał rozwodu, więc pewnie już cała wieś była poinformowana. Ta świadomość przyniosła mu ulgę.

Mama była zachwycona wisiorkiem, śnieg padał jak za czasów dzieciństwa, choinka pachniała, a dzieciaki kuzynów cieszyły się z prezentów jak Piotr, gdy był w ich wieku. On sam dostał ciepły, ciemnozielony sweter, kilka par skarpet, komplet kosmetyków i słodycze. Śpiewali kolędy przy choince, a potem tradycyjnie całą rodziną, oprócz najmłodszych dzieci, wybrali się na pasterkę.

Po pasterce Piotr długo jeszcze nie mógł zasnąć, myśli płynęły do Karoliny, która pewnie spała teraz w objęciach Wypłosza. A może nie spała, bo musiała wstawać do dziecka. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić Karoliny z dzieckiem.

Nie wiedział nawet, czy urodziła już, czy nie, w końcu to nie była jego sprawa, więc z jakiej racji miał się dopytywać. Ale skoro miała termin na początek grudnia, to zapewne tak. Mignęła mu kiedyś na ulicy gdzieś w połowie listopada, kurtka opinała się jej na brzuchu. Nie podszedł, bo i po co? Nie miał już swojej żonie nic do powiedzenia.

Formalnie była jeszcze jego żoną i miała nią być jeszcze przez kilka tygodni. Formalnie, bo nieformalnie od dawna była już żoną Wypłosza, a Piotr niby się z tym pogodził, ale... Próbował jakoś uporządkować swoje myśli i emocje, zamknąć je w szufladce z napisem „Karolina = przeszłość”, do której nie musiałby zaglądać, chyba że akurat miałby ochotę. Jednak wciąż nie udawało mu się domknąć tej szufladki, ciągle coś z niej wystawało albo wysypywało się, tak jak teraz w tę wigilijną noc.

Wstał z łóżka i wyrzął przez okno. Owionęło go mroźne, rześkie powietrze. Na twarzy czuł chłodne uklucia śnieżnych drobinek. Było cicho. Ulice spały pod śniegiem. Piotr odetchnął głęboko. Powoli udzielał mu się spokój świętej nocy.

Następne dwa dni były wypełnione przyjemnym leniuchowaniem przy co rusz innym stole uginającym się od świątecznych specjałów; u jednej ciotki, u drugiej, u kuzynki i wreszcie u Marka.

– Niby że baba z wozu, koniom lżej, ale co z tego, że z wozu, jak w głowie siedzi – orzekł Marek, mimo że Piotr wcześniej usilnie go przekonywał, że pogodził się z perspektywą rozwodu. – Chodź, stary, przejdziemy się naokoło jeziora, może coś ci z tej głowy wywieje.

Właściwie Piotr mógł zostać dłużej u mamy, bo nie miał pilnych zleceń. Co prawda dwudziestego ósmego grudnia był umówiony na sprzątanie piwnicy, ale spokojnie mógł to przełożyć, gdyż klientce zależało jedynie, żeby praca została wykonana przed siódmym stycznia.

Marek kusił go imprezą sylwestrową z tańcami. Ale kiedy Piotr uświadomił sobie, że będzie tam jedyną osobą bez pary, odmieńcem pośród tych, którym życie małżeńskie potoczyło się szczęśliwie, albo tak z pozoru wyglądało, stracił ochotę na wyjście.

Dwudziestego siódmego grudnia wrócił do domu obładowany słoikami z jedzeniem („bo co ty tam, synku, będziesz jadł, nikt ci przecież obiadu nie ugotuje”). Następnego dnia sprzątnął tę piwnicę, jeszcze jakieś dwa drobne zlecenia trafiły mu się przed sylwestrem, lecz na nadmiar pracy w tym czasie nie mógł narzekać.

Na sylwestrowy wieczór zostawił sobie *Niebezpieczną grę* Robina Cooka. To miał być

jego pierwszy samotny sylwester. Przez kilkanaście ostatnich lat witał Nowy Rok z Karoliną i ze znajomymi, wcześniej z kumplami, jako dzieciak z rodziną. Ale czym ostatecznie ten wieczór różni się od innych, żebym się miał przejmować – przekonywał sam siebie – tyle samotnych wieczorów już przeżyłem.

Miał co prawda dwie służbowe sylwestrowe propozycje jako osoba towarzysząca, ale odmówił.

Jedna z pań była niepocieszona.

– Naprawdę nijak pan nie da się przekonać? A nie kusi pana przygoda? Bo wie pan, ja tak na co dzień prowadzę dość monotony tryb życia. Pracuję w laboratorium medycznym, męża nie mam, dzieci też nie, znajomych niewielu. Moje życie to praca, obowiązki domowe, książki, telewizja, czasami jakieś spotkania z koleżankami, ale one mają rodziny, więc muszą to najpierw zaplanować, ustalić z mężami, dograć z planem zajęć dzieci, nieraz przez kilka tygodni próbujemy umówić się do kina, a kiedy wreszcie nam się uda, to okazuje się, że tego filmu już nie grają. Nudne to moje życie, prawda?

– Zależy jak na to spojrzeć – odpowiedział wymijająco Piotr.

– E tam, nie ma co owijać w bawełnę – nudne, schematyczne i przewidywalne. Ale obiecałam sobie trzy lata temu, że ta jedna jedyna noc na przełomie roku będzie inna. Nie zamierzam jej spędzać przed telewizorem albo ze znajomymi, tylko zupełnie inaczej. Wśród ludzi, których nie znam i w jakimś nietypowym miejscu. Dwa lata temu spędziłam sylwestra na imprezie w pociągu Kraków-Zakopane, w tamtym roku pod ziemią w kopalni soli w Bochni, a w tym roku wymyśliłam sobie, że wybiorę się na bal z nieznanym mężczyzną do średniowiecznego zamku. I zawsze mam nadzieję, że skoro przełom roku spędzę w niezwykle sposób, to i cały rok taki będzie. A potem niestety wracam do swojego zwyczajnego, szarego życia. – Westchnęła. – Ale podobno do trzech razy sztuka, a teraz jest ten trzeci. A jak nie trzeci to czwarty albo piąty, co mi tam! Może jednak wybierze się pan ze mną na średniowieczną ucztę do zamku?

– Dziękuję bardzo za zaproszenie, ale moja firma nie świadczy takich usług.

– To może pójdzie pan ze mną nie jako firma, ale jako osoba prywatna? Co pan na to, panie Piotrze?

– Dziękuję bardzo, ale nie.

– Pewnie ma pan ciekawsze plany. – W jej głosie słychać było rozczarowanie.

– Będę czytał książkę.

– Naprawdę? A jaką? – zainteresowała się.

– *Niebezpieczna gra*.

– Robina Cooka?

– Tak. Zna ją pani?

– Jasne! Znam większość jego książek. Robin Cook to jeden z moich ulubionych autorów.

– No to mamy coś wspólnego.

– No widzi pan! Tak przeczuwałam. Ale na imprezę nie chcę pan ze mną pójść. – Znow westchnęła.

– Za to życzę pani, żeby nie tylko sylwester, ale i ten cały Nowy Rok był dla pani niezwykle i żeby przyniósł pani same dobre niespodzianki.

– Dziękuję. Ja też życzę panu wszystkiego dobrego.

Pizza na zamówienie, pepsi i piernik od mamy – takie było sylwestrowe menu Piotra.

A do tego książka. Pochłonęła go na tyle, że nie przejmował się wcale, że spędza samotnie ten szczególny wieczór.

Telefon zadzwonił przed jedenastą.

– Dobry wieczór, Aldona Ptaszyńska. Kilka dni temu proponowałam panu sylwestrową ucztę w średniowiecznym zamku.

– Tak, pamiętam. – Piotr był zaskoczony telefonem. Wydawało mu się, że podczas poprzedniej rozmowy nie powiedział niczego takiego, co mogłoby ją skłaniać do szukania dalszych kontaktów.

– I jak tam sylwester? W domu z książką? Zgodnie z planem?

– Tak – odpowiedział lakonicznie.

– A pamięta pan, jakie ja miałam plany?

– Chciała pani przeżyć niezwykłego sylwestra – odpowiedział, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– No właśnie. – Zaśmiała się gorzko. – Różnie można by spuentować moją sytuację, ale to życzenie akurat się spełniło – jest niezwykły. A że niekoniecznie o taką niezwykłość mi chodziło, no cóż... Dzwonię do pana z lochu.

– Skąd?! – Piotr sądził, że się przesłyszał.

– Z lochu. No może trochę przesadzam, teraz właściwie jestem już w zamkowych piwnicach.

– A co pani tam robi?

– Od kilkadziesiąt minut bezskutecznie usiłuję się stąd wydostać. I jeśli mi się to wkrótce nie uda, a biesiadnicy będą dalej pili w takim tempie, to wyjdę stąd dopiero w przyszłym roku i wcale nie jestem pewna, czy już pierwszego stycznia. Nie mam tu numeru telefonu do zamku ani internetu. Próbowałam dzwonić do kilku koleżanek, ale nie odbierają, a mamy nie chcę niepokoić i dlatego dzwonię do pana. Podam panu namiary tego zamku i bardzo proszę, żeby pan znalazł telefon do recepcji i powiedział im, żeby mnie wypuścili.

– Pani jest tam sama?

– W lochach sama, a na imprezę przyjechałam z takim jednym dupkiem, kuzynem mojej koleżanki. Oczywiście, kiedy się z nim umawiałam, nie wydawał mi się dupkiem. To wyszło na jaw dopiero na miejscu, kiedy spodobała mu się jakaś cycata blondynka. Przez pierwsze pół godziny usiłował to ukryć, ale potem przestał się mną w ogóle przejmować. Jedną z atrakcji wieczoru było zwiedzanie lochów. Nie chciałam patrzeć, jak facet, z którym przyjechałam na imprezę, obściskuje inną babę, więc szłam na końcu, a potem łańcuszek się zerwał i spadł mi wisiołek, a w lochu przy latarce z komórki nie tak łatwo szukać. Kiedy w końcu znalazłam, cała grupa była już daleko. Wyszli, zanim zdążyłam ich dogonić. Drzwi są zamknięte. Jest tu takie małe okienko, ale się nie otwiera. Stukałam w szybę, wołałam i nic. Żywego ducha za oknem nie widać. Impreza odbywa się w zupełnie innej części zamku. Jak ktoś pali, to popielniczki są zaraz przy wejściu, więc palacze też tu nie dotrą. Gdyby ta cycata została w lochach, dupek na pewno by zauważył. Ale ja nie mam na co liczyć. Moje zniknięcie będzie mu nawet na rękę. Na szczęście przy tym okienku udało mi się wreszcie złapać zasięg. Tylko że nie mam numeru do recepcji. Błagam, niech mi pan pomoże.

– No to rzeczywiście ma pani przygodę. Proszę mi powiedzieć, w którym to zamku, znajdę numer i zadzwonię.

Bez problemu znalazł w internecie miejsce imprezy i nawet trzy numery telefonów – dwa do recepcji i jeden do organizatora imprezy sylwestrowej – Janusza Olszyka. Cóż, kiedy żaden z nich nie odpowiadał. Piotr próbował kilkakrotnie i nic. Do Aldony Ptaszyńskiej również nie mógł się już dodzwonić. – Albo ma kłopoty z zasięgiem, albo bateria w komórce padła, a jeśli tak, to amatorka przygód siedzi sama w ciemności. Za ciepło w tej piwnicy też pewnie nie jest i nie wiadomo, jak często ktokolwiek tam w ogóle zagląda. Jeśli nie uda się dodzwonić do tego zamku, a dupek nie zacznie jej szukać, pani Aldona może tam sobie jeszcze długo posiedzieć.

Jedyna nadzieja, że wreszcie ktoś odbierze ten cholerny telefon – myślał, wystukując najpierw numer recepcji, potem organizatora imprezy, następnie Aldony i znowu od początku. Raz, drugi, trzeci. Bez odzewu.

Za oknem już od jakiegoś czasu rozlegały się pojedyncze wystrzały, ale Piotr zajęty telefonowaniem nie zwracał na nie uwagi ani nie zastanawiał się, która godzina. Dopiero nagła eksplozja setek fajerwerków i feeria barw na niebie uświadomiły mu, że właśnie rozpoczął się Nowy Rok. Zapatrzył się na widowisko za oknem, wspominając, jak to z chłopakami robili petardy z saletry potasowej, cukru i pudełek od zapalek i odpalali je w nocy nad jeziorem.

Nowy Rok... Kolejny Nowy Rok. Oby był lepszy.

Mijały pierwsze minuty Nowego Roku, wystrzały odzywały się coraz rzadziej. Piotr znowu sięgnął po komórkę. Miał nadzieję, że teraz po północy będzie miał więcej szczęścia. Ludzie często o tej porze dzwonią z życzeniami, więc może i ci, do których próbował się dodzwonić, poszukają swoich telefonów i jeśli nie oddzwonią, widząc kilka nieodebranych połączeń, to może chociaż odbiorą następne.

Niestety, jego nadzieje okazały się płonne. Nikt nie odbierał. Chyba nie miał co liczyć na ludzi z zamku. Ale przecież nie mógł zostawić kobiety bez pomocy. Najbliższa wioska leżała dwa kilometry od zamku. Sklep w wiosce prawdopodobnie był nieczynny, ale w restauracji Bernardino odbywała się impreza sylwestrowa.

– Halo! – odezwał się zniecierpliwiony męski głos. W tle słychać było jakieś piski, śmiechy i głośnie muzykę.

– Dobry wieczór, Piotr Kowalczyk, dzwonię do pana w takiej nietypowej sprawie.

– Nic nie słyszę! Niech pan poczeka, przejdę do innego pomieszczenia.

Trzasnęły drzwi i rzeczywiście zrobiło się odrobinę ciszej.

– Niech pan mówi.

– Piotr Kowalczyk, dzwonię do pana w takiej nietypowej sprawie.

– W nietypowej to Janusz Weiss dzwoni. A pan też z jakiegoś radia? – spytał podejrzliwie.

– Nie, nie z radia. Powiem krótko, o co chodzi. Otóż dzwoniła do mnie znajoma, ona jest na imprezie sylwestrowej w tym zamku w pobliżu pana.

– W zamku? – W jego głosie brzmiały nieprzyjemne nuty. – A co mnie to obchodzi!

– Przepraszam, że pana niepokoję, ale ja mam do zamku sto kilometrów, a tam nikt nie odbiera telefonu, a moja znajoma przez przypadek została zamknięta w lochach i nie może wyjść.

– Klientka czy znajoma tego skur... Olszyka? – zainteresował się właściciel Bernardina.

– Klientka.

– I mówi pan, że ona siedzi w lochach i nie może wyjść? Ta klientka?

– No właśnie. I mam do pana prośbę, czy nie mógłby pan znaleźć kogoś, żeby tam pojechał i skontaktował się z kimś z obsługi?

– Zamknęli klientkę w lochach! Ja pierdolę! – Mężczyzna wybuchnął śmiechem. – Mam nadzieję, że to nie jakaś dziumdzia, tylko baba z jajami i da im popalić! Pierwsza dobra nowina w tym roku!

– Mógłby pan kogoś znaleźć, żeby tam pojechał? – spytał Piotr zaskoczony reakcją mężczyzny.

– Nie mógłbym. A nawet gdybym mógł, to i tak bym tego nie zrobił. Niech im ta kobieta zrobi awanturę na sto fajerek. Wtedy wszyscy się dowiedzą, że Olszyk klientkę w lochach zamknął, nie dba o bezpieczeństwo gości, na pewno był pijany. O, już ja postaram się, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Może i nasza lokalna prasa coś napisze? A w tych lochach to pewnie zimno, może ona tam przemarznie i zachoruje? – ucieszył się.

- Nie pomoże pan kobiecie?
- Kobiecie może bym i pomógł, jakby to było w moim interesie. A nie jest.
- Jak pan tak może?! – oburzył się Piotr.
- A mogę!

Piotr był wściekły. Żałował, że w ogóle rozmawiał z tym facetem. Kolejny raz spróbował zadzwonić się do zamku i do Aldony Ptaszyńskiej. Nadal nikt nie odbierał.

Sto kilometrów w nocy to prawie dwie godziny jazdy, powrót tyle samo, a oprócz tego jakieś pół godziny w zamku i noc z głowy. Wcale nie chciało mu się jechać, ale co miał zrobić. Przecież nie mógł tak zostawić kobiety. Zaparzył sobie mocną kawę, żeby odpędzić sen, napełnił nią termos i resztę wypił. Przed wyjściem zadzwonił jeszcze raz. Nic z tego. Musiał jechać.

Padął drobny śnieg, droga była śliska, a widoczność słaba. Piotr nie lubił jeździć w taką pogodę, na dodatek w nocy. Z trudem walczył z sennością. Zatrzymał się przy stacji benzynowej, mroźne powietrze trochę go orzeźwiło. Zatankował, wypił kilka łyków kawy i pojechał dalej. Na miejscu był tuż po trzeciej.

Przed bramą ośnieżonej kamiennej budowli dostrzegł kobietę w pelerynie, mignęła i znikła w drzwiach, zanim zdążył do niej podejść. Stało się to tak szybko, że Piotr nie był pewien, czy naprawdę tam była, czy tylko mu się przywidziała.

Rozejrzał się.

Lewe skrzydło zamku wyglądało na opuszczone, z prawego rzeźbiście oświetlonego dobiegały dźwięki muzyki. Piotr podszedł do drzwi, za którymi zniknęła kobieta. Nacisnął klamkę i znalazł się w holu, gdzie kilka par w średniowiecznych strojach tańczyło w rytm całkiem współczesnej muzyki. W recepcji nie było nikogo. Tańczący nie zwrócili na Piotra uwagi, a on nie chciał im przeszkadzać, skierował się więc w stronę otwartych drzwi na końcu korytarza. Impreza najwyraźniej miała się ku końcowi, bo w sali zastawionej na kilkadziesiąt osób siedziały już tylko ostatnie niedobitki.

– Przepraszam państwa – zwrócił się Piotr do spotkanej przy wejściu pary – szukam organizatora imprezy albo kogoś z obsługi.

– Szef siedzi tam na końcu, o ten z wąsami, widzi pan? – wyjaśniła blondynka w zielonej sukni z dużym dekoltem, który odsłaniał całkiem okazały biust.

– To Janusz Olszyk?

– Tak, to Janusz – potwierdziła kobieta.

– Przepraszam, pan Janusz Olszyk? – spytał Piotr, podchodząc do wskazanego przez blondynkę mężczyzny.

– Tak... – odpowiedział nieco bełkotliwie.

– Mogę pana prosić na chwilę?

– Już idę. – Mężczyzna z trudem podniósł się z ławy. Twarz miał czerwoną, spojrzenie mętne – musiał już sporo wypić.

– Piotr Kowalczyk – przedstawił się. – Ponad cztery godziny temu dzwoniła do mnie znajoma, że siedzi zamknięta tu w zamku w lochu.

– To jakaś bzdura! My nie zamykamy ludzi w lochu!

Widząc szczere oburzenie Janusza Olszyka, Piotr w pierwszym momencie pomyślał, że Aldona Ptaszyńska zrobiła mu kawał.

– A brał pan dzisiaj gości na wycieczkę do lochu?

– Tak... O cholera! Chce pan powiedzieć, że ktoś tam został? – Janusz Olszyk w jednej chwili wytrzeźwiał.

– Tak. Aldona Ptaszyńska. A ponieważ nie miała pańskiego numeru telefonu, zadzwoniła do mnie, żebym powiadomił kogoś z obsługi, ale nie mogłem się zadzwonić ani do pana, ani do

repcji.

– Wyładowała mi się komórka, a recepcja... wie pan, sylwester jest raz w roku, jak się bal zaczął, dałem dziewczynie wolne.

– I dlatego moja znajoma przywitała Nowy Rok w lochu, a ja musiałem przejechać sto kilometrów, bo pan dał recepcjonistce wolne?! To trzeba było samemu siedzieć w recepcji!

– Przepraszam, nie przewidziałem. Wezmę tylko klucz i już idziemy.

– Ale jak to się mogło stać, że nikt nie zauważył, że tej pani nie ma? – spytał Janusz Olszyk, kiedy szli w stronę wieży, gdzie znajdowało się wejście do lochów.

– Znała tu tylko jednego faceta, a ten znalazł sobie inny obiekt zainteresowania i pewnie nawet specjalnie się nie przejął jej zniknięciem. Mógł przypuszczać, że się obraziła – wyjaśnił Piotr.

– No tak, to prawdopodobne.

Janusz Olszyk przekręcił klucz w drzwiach prowadzących do wieży i w świetle latarki ukazały się prowadzące w górę i w dół schody.

– Schodzimy – powiedział – proszę iść za mną.

Po kilkunastu schodach w dół drogę zagroziły im drewniane, łukowato wykończone u góry drzwi. Gospodarz odsunął zasuwę.

– Strasznie mi głupio i boję się reakcji tej pani – szepnął, otwierając drzwi.

– Proszę pani – zawołał – gdzie pani jest? – Powoli omiół światłem latarki niewielkie pomieszczenie, z którego odchodził ciemny korytarz.

– Nareszcie! – W głosie kobiety słychać było ulgę. – Już myślałam, że nigdy stąd nie wyjdę! – Chwiejnie wstała ze skrzynki stojącej w rogu obok regału, na którym leżały butelki z winem. – Strasznie tu zimno. Musiałam rozgrzewać się winem. Podniosła prawie opróżnioną butelkę. – To co, mamy już ten Nowy Rok?

– Mamy. Od ponad trzech godzin – odpowiedział Piotr.

– No to za ten Nowy Rok, chłopaki! – Wyszczyła resztę wina. – Chyba się trochę wstawiłam. – Zachichotała. – Ale pana to nie znam – zwróciła się do Piotra.

– Jak to pani nie zna? Ten pan mówił, że jest pani znajomym. Co tu jest grane? – spytał podejrzliwie Janusz Olszyk.

– W życiu go nie widziałam – odezwała się Aldona Ptaszyńska, zanim Piotr zdążył cokolwiek powiedzieć. – Na pewno zapamiętałabym takiego fajnego faceta.

– Bo mnie pani nie widziała, tylko słyszała – wyjaśnił Piotr, mile połączony jej słowami.

– Piotr Kowalczyk.

– A, pan mąż zastępczy! – ucieszyła się kobieta, podając mu rękę. – A skąd pan się tu wziął?

Janusz Olszyk patrzył na nich oboje, jakby się z choinki urwali. Piotr zamierzał wszystko wyjaśnić, już otwierał usta, ale Aldona Ptaszyńska nie dała mu dojść do głosu.

– Chodźmy stąd wreszcie – zarządziła. – Bo zamarzną.

Miała na sobie długą niebieską suknię wystającą spod sięgającego za kolana płaszcza, cienkie rajstopy i buty odpowiednie do tańca, a nie do chodzenia po lochach. Piotr narzucił jej na ramiona swoją kurtkę.

– Nie dość, że fajny, to jeszcze rycerski – powiedziała sama do siebie. – Dziękuję. To skąd się tu wzięłeś, rycerzyku?

– Nie mogłem się dodzwonić do zamku, więc przyjechałem.

– Tyle kilometrów w ciemną noc, żeby mnie uwolnić z lochu? Czuję się jak królewna. – Aldona Ptaszyńska zachwiała się, wchodząc na schody i upadłaby, gdyby Piotr jej nie podtrzymał.

– Te schody są nierówne, pomogę pani.

– Królowna i dwóch rycerzy. Ale fart! Ciekawie się ten Nowy Rok zaczyna! Tylko że w głowie mi się kręci. Wstawiona królowna. – Zachichotała. – Chyba nie ma bajki o wstawionej królownie? A pan – zwróciła się z wyrzutem do Olszyka – jak pan mógł mnie tak zostawić samą w lochu?

– Przepraszam panią bardzo. Strasznie mi przykro – kajał się Janusz Olszyk. – Naprawdę nie wiem, jak to się mogło stać, ale postaram się to pani jakoś wynagrodzić. Oczywiście zwrócimy pani pieniądze za ten pobyt sylwestrowy i panu koszty podróży, a dla pani w prezencie mamy pakiet weekendowy SPA dla dwóch osób w wybranym przez panią terminie.

– Cały weekend w lochu? – Aldona Ptaszyńska zaśmiała się.

– Ależ skąd! W naszym najlepszym apartamencie.

– Zimno mi. – Kobieta naciągnęła kaptur na głowę, osłaniając się przed lodowatym wiatrem i zacinającym śniegiem.

– Zaraz zdobędziemy coś gorącego do jedzenia. I do tego nalewka własnej roboty, najlepsza na rozgrzanie – obiecał właściciel zamku.

W holu tańczyła już tylko jedna para, w sali też się przeredziło. Jakiś mężczyzna spał z głową na stole, w jednym kącie siedziała grupka kilku osób, w drugim zajęta sobą para.

– Proszę usiąść, ja zaraz postaram się o jedzenie. – Janusz Olszyk zniknął na zapleczu.

– Na szczęście dupka tu nie ma. Cycatej również – stwierdziła Aldona Ptaszyńska, rozejrzawszy się po sali. Oddała Piotrowi kurtkę, ale płaszcz tylko rozpięła. Wtulona w kaloryfer trzęsła się z zimna.

Dopiero teraz Piotr miał okazję lepiej się jej przyjrzeć. Z dekoltu sukni obiecująco wyląniał się biust. Kobieta nie była szczupłą, ale i nie gruba, żadne tam wystające kości ani zwały tłuszczu, była po prostu przyjemnie pulchna. W twarzy przede wszystkim zwracały uwagę oczy – ciemne, wyraziste, a teraz jeszcze dodatkowo zwracał uwagę czerwony z zimna nos.

Kelnerka postawiła przed nimi barszcz, krokiety i kieliszki, a Janusz Olszyk przyniósł obiecaną nalewkę.

– Ja dziękuję – powiedział Piotr.

– Ależ dlaczego? – zdziwił się właściciel zamku. – Odrobina nalewki po tych emocjach dobrze panu robi.

– Prowadzę – powiedział Piotr, bo co miał obcemu facetowi wyjaśniać, że ma uczulenie.

– No ale chyba nie zamierza pan teraz wracać? – spytał Janusz Olszyk.

– Właśnie zamierzam. – Piotr westchnął.

– Pani Aldono, czy pani pozwoli panu jechać w taką śnieżycę?

– Nie pozwolę! Ma pan jakiś wolny pokój?

– Obawiam się, że nie... – zafrasował się Janusz Olszyk. – Nie mam. Nie wiem, co tu wymyślić.

– Nie musi pan nic wymyślać – odezwała się Aldona Ptaszyńska – u mnie w pokoju są dwa łóżka. Tylko pościel jest jedna.

– Pościel damy, oczywiście – powiedział Janusz Olszyk. – To jak, zostaje pan?

Piotrowi oczy się zamykały i ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, była nocna jazda w śnieżnej zamieci. Marzył o ciepłym łóżku, w którym mógłby wyciągnąć się wygodnie, więc propozycja była mu ręką, nie wiedział tylko, czy współlokatorka nie będzie skrupowana obecnością w pokoju bądź co bądź obcego faceta, ale zanim zdążył wyrazić swoje wątpliwości, Aldona Ptaszyńska zarządziła:

– No jasne, że zostaje!

– Skoro pani tak mówi, nie będę się sprzeciwiał. – Piotr uśmiechnął się z ulgą.

Kelnerka podała bigos. Janusz Olszyk sięgnął po butelkę.

– No to wobec tego możemy się napić.

Piotr zasłonił dłonią kieliszek.

– Nie, ja i tak dziękuję.

– Spokojnie, do jutra pan wytrzeźwieje – zachęcał gospodarz.

– Nie mogę, mam uczulenie na alkohol – przyznał się Piotr.

– Naprawdę? Jest coś takiego jak uczulenie na alkohol?

– Jest.

– No, to trudno – westchnął współczująco Janusz Olszyk. – Będziemy pić sami. Pani Aldono. – Podniósł kieliszek. – Za ten Nowy Rok!

– Za Nowy Rok! – Wychyliła kieliszek jednym haustem i skrzywiła się. – Mocne.

I gorzkie.

– Ale za to rozgrzeje i wszystkie bakterie wybije, jeśli jakieś w gardle zdołały się zalęgnąć.

– Ja już chyba nie powinnam pić.

– Jeszcze jeden kieliszeczek. Dla zdrowotności – namawiał Janusz Olszyk.

Przy tym drugim kieliszeczku przeszli na ty i zrobiło się całkiem sympatycznie. Janusz Olszyk odetchnął z ulgą i przestał obawiać się konsekwencji swojego niedopatrzenia. Nalał sobie kolejny kieliszeczek, a ponieważ Aldona stanowczo odmówiła alkoholu, dla niej i dla Piotra zamówił herbatę z sokiem malinowym. Po herbacie odprowadził ich do pokoju, gdzie pokojówka już przygotowała łóżko dla Piotra, i upewnił się, czy czegoś jeszcze im nie potrzeba.

Aldona pierwsza poszła do łazienki, a Piotr w ubraniu wyciągnął się na łóżku i słysząc dźwięk lejącej się z prysznicy wody, nie mógł przestać myśleć o nagiej, ledwie znajomej kobiecie, z którą miał dzisiaj dzielić pokój. To już prawie rok... Prawie rok nie dotykał kobiety. Próbował wmówić sobie, że potrafi się bez tego obejść, przecież są ważniejsze rzeczy w życiu, a abstynencja uszlachetnia. Próbował nie tęsknić do tych chwil, kiedy znajdował się w jakimś innym stanie świadomości, który mógł osiągnąć tylko z kobietą i ani we śnie, ani szukając samozaspokojenia, nie potrafił znaleźć tej bramy, przez którą przeprowadzić mogła go jedynie ona. Wyobrażał sobie krople wody spływające z szyi w zagłębienie między piersiami, płynące po brzuchu, żeby jak najszybciej dotrzeć TAM, a potem płynąc dalej po wewnętrznej stronie ud, nie mógł przestać myśleć o jej namydlonych dłoniach błędzących po ciele, o twardniejących sutkach... Trzymane tak długo na uwięzi ciało przestało go słuchać, umysł też nie poddawał się kontroli, tak jakby Piotr znowu był nastolatkiem oszołomionym nadmiarem hormonów i odkrywaniem nieznanymi możliwości swojego ciała.

Kiedy rozgrzana, pachnąca pomarańczami Aldona wyszła wreszcie z łazienki, Piotr omijał ją wzrokiem, żeby nie zauważyła, jak działają na niego jej uwolnione ze stanika piersi, których zarys dostrzegał pod błękitną nocną koszulką, bosc stopy i rozpuszczone wilgotne włosy. Szybko przemknął do łazienki, zamknął drzwi i odkręcił wodę, żeby nie domyśliła się, co się z nim dzieje. Wyobrażał sobie, że to ona dotyka go i pieści – Aldona – Karolina – Karolina – Aldona i już nie wiedział, która to i było mu obojętnie, pragnął kobiety, pragnął jej aż do bólu każdą komórką ciała... a w końcu spotkał tylko samego siebie. Fizjologia. Niezaspokojone zaspokojenie.

Woda się lała, a on musiał ochłonać, dojść do siebie, jeszcze prysznic gorący i zimny na przemian, zakończony zimnym, żeby ochłodzić rozgrzane ciało i umysł. Wytarł się szorstkim ręcznikiem, aż skóra zrobiła się czerwona, ubrał się, odetchnął głęboko i wszedł do pokoju.

Aldona płakała. Zwinięta w kłębek, z głową wtuloną w poduszkę łkała bezgłośnie.

– Hej, co ci jest? – Piotr nieśmiało dotknął jej włosów.

Pociągnęła nosem i odwróciła się do niego. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

– Chyba upiłam się na smutno. – Otarła oczy chusteczką, wydmuchała nos. – Bilans życiowy wychodzi mi na minus.

– Aldona, jest Nowy Rok, zaczęłaś go tak, jak chciałaś – nietypowo, a dupkiem nie ma się co przejmować.

– Dupka mam gdzieś, cycatą również, nie o to chodzi.

– A o co?

– Że ten rok znowu będzie beznadziejny, nudny, nic się nie wydarzy, i następny też taki sam i tak aż do śmierci. Nic się nie zmieni. To właściwie mogłabym umrzeć już dzisiaj. – Zadrżała. – Mam dreszcze. Chyba się przeziębiłam. – Naciągnęła mocniej kołdrę.

– Chcesz na wierzch kapę z mojego łóżka?

– Chętnie. Dzięki.

– I zrobię ci gorącej herbaty, chcesz?

– Poproszę.

Piotr nalał wody do stojącego na szafce czajnika, wyjął z koszyczka dwie saszetki herbaty i wrzucił do filiżanek.

– Słodzisz? – spytał.

– Zazwyczaj nie, ale dzisiaj posłodzę. A co mi tam!

Aldona usiadła na łóżku owinięta kołdrą i dwiema kapami. Piotr podał jej filiżankę.

– Dzięki. – Upiła łyk. – Dobra ta herbata. Coś mi ten smak przypomina.

– Czarna herbata z imbirem i pomarańczą – odczytał Piotr na opakowaniu.

– Rozgrzewająca. – Wypiła jeszcze kilka łyków. – Może to sugestia, ale już mi trochę cieplej. A tobie w życiu dobrze się układa?

Piotr zaśmiał się gorzko.

– Żona mnie zdradziła i odeszła. Niedawno urodziła dziecko, nie moje, jak pewnie się domyślasz. I teraz czekam na sprawę rozwodową.

– Ale może chociaż w pracy nie masz kłopotów? – zapytała z nadzieją Aldona, trochę zakłopotana jego odpowiedzią.

– Od marca to jest już... – Piotr przeliczył w myślach – moja piąta praca. Nie powiedziałem ci jeszcze, że żona zdradziła mnie z moim szefem z tej pierwszej.

– I żadnego światełka na przyszłość?

– Ta praca jest OK. Nareszcie robię to, co lubię. A poza tym jestem niezależny i co rusz spotykają mnie jakieś przygody. O, choćby tak jak dzisiaj. Planowałem spokojny wieczór w domu z książką, a tu noc z dziewczyną i to jeszcze w zamku na dodatek. Skąd mogłem to przewidzieć?

Aldona pochyliła twarz nad filiżanką.

– Fajnie mówisz o swojej pracy. Ja pracuję od zawsze w jednym laboratorium i już mam szczerze dość. Te same zadania, te same twarze, nic zaskakującego. Żadnego wyzwania.

– A jest jakieś światełko?

Aldona sięgnęła do walizki. Wyjęła z niej szkicownik i ołówki.

– To jest moja nadzieja. – Westchnęła.

– Rysujesz? – spytał Piotr.

– Chciałabym. Bardzo. Kiedyś rysowałam.

– Jeśli chciałabyś, masz czym, masz na czym i wiesz jak, bo kiedyś już to robiłaś, to nie rozumiem, dlaczego nie otworzysz tego szkicownika i po prostu nie zaczniesz?

– Teraz?

– A czemu nie? Jeśli masz ochotę.

- Nic nie rozumiesz. – Ponownie westchnęła.
- No przecież powiedziałem, że nie rozumiem, więc może mi wytłumaczysz?
- To nie takie proste.
- Daj mi szansę.

Aldona przymknęła oczy i przyłożyła filiżankę do ust.

– Boję się. – Piotr ledwo dosłyszał jej szept.

– Boisz się... rysować?

– Bo widzisz... ja w podstawówce – ciężko jej było mówić – wciąż coś rysowałam.

Miałam mnóstwo teczek z rysunkami, nie mieściły się w szafce, zawsze nosiłam ze sobą blok i kredki, a jak widziałam coś, co mi się spodobało, koniecznie musiałam to narysować. Nieraz do szkoły się spóźniałam, bo po drodze zobaczyłam coś takiego, że po prostu musiałam się zatrzymać. Mama mówiła, że przecież mogłam tam wrócić po lekcjach i wtedy narysować, nie rozumiała, że nie mogłam, bo potem ten obraz byłby już inny. Wszyscy chwalili moje rysunki, wygrywałam konkursy plastyczne, chciałam iść do liceum plastycznego, ale w moim miasteczku nie było, a bałam się wyjechać z domu. Poszłam do ogólniaka. A potem... myślałam o akademii sztuk pięknych, ale tam była duża konkurencja. Bałam się, że odpadnę, że wcale nie jestem taka dobra, jak myślałam i jak spodziewali się inni. Zdecydowałam się na analitykę medyczną. Jeśli nie przyjęliby mnie na te studia, owszem, byłoby mi żal, ale to nie byłaby żadna tragedia. Ale gdybym oblała egzaminy na akademię sztuk pięknych, to znaczyłoby, że nie mam talentu. Że to, co kocham, jest nic niewarte. Na analitykę dostałam się bez problemu. Miałam dużo nauki, nowe towarzystwo, dodatkowe zajęcia. Przestałam rysować. A im dłużej trwała ta przerwa, tym trudniej było mi wrócić do rysowania. Nie ćwiczyłam, nie rozwijałam się, może moje rysowanie zostało na poziomie podstawówki? A może jest jeszcze gorzej? Mimo wszystko cały czas nosiłam ze sobą szkicownik, ołówek i nadzieję, że kiedyś znowu zacznę rysować. Ale i lęk, że w tym momencie prysną złudzenia. Będę musiała spojrzeć prawdzie w twarz i uznać, że jestem kiepska. Ileż to razy widziałam coś porywającego, co chciałabym natychmiast utrwalić, wyciągałam blok, ołówek, czułam w palcach mrowienie i... nie mogłam postawić ani jednej kreski.

Odstawiła filiżankę. Sięgnęła po ołówek. Nerwowo obracała go w palcach, zerkając to na Piotra, to na szkicownik.

– Kiedyś... kiedyś wrócę do rysowania... może w tym roku... może w następnym... ale kiedyś wrócę – tak sobie powtarzam. To mnie uspokaja, daje jakąś perspektywę, przekonuje, że jest na co czekać. „Kiedyś” to moje koło ratunkowe. Jeśli je puszczę, czy wystarczy mi siła, żeby dopłynąć do brzegu?

Oparła głowę na rękach zaciśniętych na ołówku, oddychała szybko, nierówno, Piotr czuł, że toczy wewnętrzną walkę. Nie wiedział, jak jej pomóc. Gdyby miał przed sobą faceta, wcisnąłby mu ten szkicownik w ręce i powiedział, żeby brał się do roboty. Ale z kobietami to chyba trzeba jakoś inaczej.

Suchy trzask pękającego ołówka zaskoczył ich oboje.

– Złamałam. – Aldona trzymała w rękach obydwa kawałki, patrząc na Piotra bezradnie, jak dziecko, które niechcący zepsuło zabawkę.

– Tym można jeszcze rysować. – Piotr wskazał zatemperowaną końcówkę.

Kobieta odłożyła drugi kawałek ołówka.

– Narysujesz coś dla mnie? – spytał Piotr, podsuwając jej szkicownik.

Wypuściła ołówek z ręki.

– Nie mogę. – Spojrzała na niego przepraszająco. – Naprawdę nie mogę.

– Ja nie cierpiałem rysowania, w każdym razie od kiedy pamiętam. W ogóle nie mieściło

mi się w głowie, jak inni mogą to lubić. Może dlatego, że mieliśmy wstrętą babę od plastyki. Nikt jej nie znosił. Miała zaciśnięte usta i była wiecznie niezadowolona. Najgorsze oceny dostawałem zawsze z plastyki. Podobnie zresztą jak i pół mojej klasy. Jedyne miłe wspomnienia, jakie mam z rysowaniem, to ze świetlicy. Ale tam nie chodziło o efekt i nikt nie stawiał ocen. Na przykład mieliśmy coś narysować z zamkniętymi oczami, a im bardziej było to niepodobne do tego, co miało powstać, tym było śmieszniejsze. Albo każdy zaczynał coś rysować, a potem na sygnał zamienialiśmy się kartkami i trzeba było dorysować coś do rysunku kolegi i tak szły te rysunki w kółko, aż do każdego wrócił jego własny. Ale moja ulubiona zabawa (nawet przyniosłem ją ze świetlicy do domu i bawiłem się z siostrą, a mama nie mogła się nadziwić, że dobrowolnie sięgnąłem po kredki) polegała na tym, że rysowało się kilka linii, jakichś kropek, zawijasów, czy kto co tam chciał, w każdym razie coś, co nie tworzyło żadnego sensownego rysunku, a druga osoba łączyła te elementy w taki sposób, żeby coś z tego powstało.

– Nigdy się tak nie bawiłam.

Piotr otworzył szkicownik, szybko narysował kilka kresek i podał ołówek Aldonie. Wzięła go z wahaniem, zmarszczyła brwi, przyglądając się kreskom, obracała kartkę w różne strony, wreszcie zaczęła rysować. Z podziwem patrzył, jak przekształca jego bazgroły w drzewo, nie, to jednak nie było drzewo, tylko drzewopodobny stwór, głęboko zakorzeniony w ziemi, z sękatymi rękami błagalnie wzniesionymi do nieba. Kiedy skończyła, dorysował parę kółek i zawijasów – w życiu nie pomyślałby, że można zrobić z tego wiewiórkę i zajaca przytulonych do drzewopodobnego stwora. Wymieniali się kartką, Aldona nadawała sens Piotrowym esom-floresom, on nie mógł się nadziwić, jak szybko i lekko jej to przychodzi. W ciszy słychać było tylko skrzypienie ołówka.

– Niesamowite – odezwał się Piotr, gdy na kartce nie pozostał już nawet kawałek wolnego miejsca.

Aldona nic nie odpowiedziała.

Piotr podsunął jej szkicownik otwarty na czystej stronie. Wbiła wzrok w kartkę. Po chwili przeniosła spojrzenie na ołówek w wyciągniętej ręce Piotra. Wahala się. Słyszał bicie jej serca i przyspieszony oddech.

– Nie ruszaj się i nie patrz – szepnęła, sięgając spoconą dłonią po ołówek.

Nie ruszał się więc i nie zerkał na rysunek, żeby jej nie spłoszyć. Ale ona już się nie wahala. Rysowała w zapamiętaniu, nie zatrzymując się ani na chwilę i nie zwracając uwagi na to, co się wokół dzieje. Z ogniem w oczach, z wypiekami na twarzy rysowała, od czasu do czasu niecierpliwym ruchem odgarniając opadające na twarz włosy. Ołówek tańczył po kartce, wystukując rytm zwycięstwa, a Piotr czuł, że jest świadkiem czegoś niezwykłego. Na jego oczach dokonywało się misterium przemiany.

Aż trudno było uwierzyć, że ma przed sobą tę samą kobietę, która jeszcze przed chwilą bała się wziąć ołówek do ręki. Teraz nie bała się już niczego. Wsłuchana w wewnętrzny głos prowadzący jej rękę, wyglądała jak prorokini albo szamanka. Odłożyła szkic czystą stroną do góry i sięgnęła po następną kartkę, a potem po kolejną. Przerzywała rysowanie tylko po to, żeby zatemperować ołówek.

Piotr stracił poczucie czasu. Za oknem nadal padał śnieg i ciągle jeszcze było ciemno, ale z korytarza dochodziły jakieś odgłosy. Prawdopodobnie obsługa hotelowa sprzątała pozostałości po sylwestrowej imprezie.

Aldona otoczona kartkami rysowała.

Zaczynało się już przejaśniać, gdy wreszcie wypuściła z rąk ołówek. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Ze łzami spływało z niej napięcie.

– Płaczę... właściwie to sama nie wiem czemu. Ale nie ze smutku – odpowiedziała na

pytające spojrzenie Piotra. – Chyba mi się za dużo nagromadziło.

– Mogę zobaczyć? – Piotr wskazał na rysunki.

– Jak chcesz...

Odwracała je powoli w takiej kolejności, w jakiej były rysowane. Na pierwszym Piotr zobaczył rycerza przedzierającego się przez baśniowy las, na drugim – odwróconą tyłem dziewczynkę, która przez uchylone drzwi zaglądała do wnętrza pałacu, na następnym – dziewczynę usiłującą uwolnić się z gąszczy oplatających ją roślin. Kolejne rysunki przedstawiały jakiś baśniowy świat – niezwykle stwory, niespotykane budowle, dziwaczne rośliny. Piotr nie był znawcą, ale obok tych rysunków nie potrafiłby przejść obojętnie. Było w nich coś, co przyciągało, chwytalo za serce, nawet gdyby nie znał autorki, zwróciłby na nie uwagę.

Aldona patrzyła na Piotra niepewnie, czekając na jego reakcję.

– Aldona, ja jestem prosty człowiek, na sztuce się nie znam, ale te rysunki mnie poruszyły. Po prostu działają na mnie i już. Nie umiem rozłożyć tego na czynniki pierwsze, powiem ci tylko jedno: rysuj, dziewczyno!

– Będę rysować! – powiedziała z mocą. – Nieważne czy to się innym spodoba, czy nie. I tak będę rysować. Dla siebie. Nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć o tym cudownym uczuciu, kiedy trzymam ołówek, stawiam pierwsze kreski, a potem... umysł prowadzi rękę albo ręka umysł. I to drugie jest jeszcze fajniejsze, bo nieraz sama nie wiem, co mi z tego wyjdzie. Zawsze rysowanie sprawiało mi frajdę, ale chyba teraz przeżywam to jeszcze mocniej. Jak mogłam stracić tyle lat? Trochę szkoda. – Westchnęła. – Ale lepiej późno niż wcale. Ojej, w głowie mi się kręci. Która to godzina?

– Dochodzi ósma.

– Przesiedzieliśmy całą noc.

– Pierwszą noc Nowego Roku. – Piotr uśmiechnął się. – A planowałem spokojnego samotnego sylwestra z książką.

– Nie wszystko w życiu da się zaplanować. – Aldona popatrzyła na swoje rysunki. – I czasami bywa to fajne.

– Podarujesz mi jeden rysunek na pamiątkę?

Aldona zarumieniła się.

– Tak myślałam, ale nie chciałam ci wciskać. Wybierz sobie któryś.

Piotr wybrał rycerza.

– Poproszę jeszcze o dedykację.

„Piotrowi na pamiątkę najbardziej niezwykłej nocy w moim życiu” – napisała po drugiej stronie rysunku.

Doba hotelowa kończyła się o dwunastej, więc zdążyli jeszcze trochę się wyspać. Kiedy w sali pełnej gości jedli śniadanie (najwyraźniej po wczorajszej imprezie nikomu nie chciało się wcześniej wstawać i wszyscy zjawili się tuż przed dwunastą), podszedł do nich Janusz Olszyk. Przeprosił Aldonę raz jeszcze i zapytał, jak się czuje. Tak jak obiecał, zwrócił pieniądze i obdarował ją voucherem na weekendowy pobyt w SPA.

Wracając ze śniadania, na korytarzu spotkali dupka. Zmieszał się na widok Aldony.

– Cześć – powiedział. – Wyszłaś wcześniej, nie chciałem ci się narzucać.

– I całe szczęście – odpowiedziała zimno.

– Odwieźć cię? – zapytał takim tonem, że gdyby Aldona nie miała innego wyjścia, to wolałaby pieszo przejść te sto kilometrów, niż przyjąć jego propozycję.

– Poradzę sobie.

Dupek odetchnął z ulgą.

– Dotrzymasz swojego noworocznego postanowienia? – spytał Piotr, gdy żegnał się

z Aldoną pod jej domem.

– Będę rysować. Obiecuję. – Podniosła rękę jak do przysięgi. – Dzięki. – Pocałowała go w policzek. – Nigdy ci tego nie zapomnę.

ROZDZIAŁ 19

Po tym zwariowanym sylwestrze przyszły dni spokojne, nudne niemalże, trochę leniwe, bo zleceń Piotr nie miał za wiele, ludzie starali się dopiąć wszystko w domu na ostatni guzik jeszcze przed świętami, pieniądze też im się rozpląnęły jak śnieg za oknem, więc podobnie jak w sklepach tak i w firmie Piotra niewiele się działo. Trafiły mu się jakieś dwa zlecenia na likwidację zniszczeń po imprezach sylwestrowych. W jednym mieszkaniu były to wgłębienia w suficie po korkach od szampana i plamy na ścianach po tymże samym czerwonym szampanie (oj, kilka tych szampanów musiano tam wypić, a otwierający pewnie bez doświadczenia, jako że była to impreza młodzieżowa zorganizowana naprędce pod nieobecność rodziców i bez ich wiedzy), w drugim zniszczone panele i ściana po zabawie zimnymi ogniami, od których zapaliła się firanka, choinka i dywan. Oprócz tego Piotr ze trzy razy wrzucał węgiel do piwnicy, kilka razy odśnieżał, komuś naprawił piecyk gazowy, a komuś innemu pralkę. I tak interes powoli się kręcił. Pierwsze większe zlecenie trafiło mu się dopiero w trzecim tygodniu stycznia – poważny remont kuchni, glazura, terakota, wymiana mebli i przeniesienie zlewu pod okno, jak sobie wymarzyła pani domu.

– O, jak dobrze, że może pan zacząć już jutro – ucieszyła się – bo wie pan, ten remont kuchni to moje postanowienie noworoczne. Trzeci rok z rzędu to samo! Chciałabym w końcu postanowić coś innego, ale nie mogę, skoro poprzednie postanowienie niezrealizowane. W tamtym roku to już nawet wstępnie umówiłam się z fachowcem, ale miał termin dopiero w maju, a w maju to ja przenoszę się na działkę i już mi na tym remoncie przestało zależeć. A co się odwlecze, to i uciecze, jak widać. Ale skoro pan przyjdzie jutro, to ani się odwlec, ani uciec nie zdąży.

Słuchając jej, Piotr pomyślał ciepło o Aldonie i jej noworocznym postanowieniu. Trzymał kciuki, żeby wytrzymała. Tylu ludzi przewinęło się przez jego życie, od kiedy założył firmę. Różnych ludzi. Jedni byli mu obojętni, inni go złościли, u jeszcze innych dobrze mu się pracowało, ale gdy skończył robotę, dłużej już o nich nie myślał, ale byli i tacy, którzy zajmowali w jego myślach więcej miejsca. Tak jak Jagoda i Tosia, Amanda, Józefina Klepacka, Jola... Za nie też trzymał kciuki, w myślach życząc im dobrego roku.

Swojej obecnej zleceniodawczyni ani jej rodziny Piotr nie miał okazji poznać bliżej, bo najpierw na tydzień cała rodzina przeniosła się do rodziców pana domu, a potem wyjechała na ferie, zostawiając go samego z remontem.

– Pani Augustyna mówiła, że jest pan jej sąsiadem od lat i że z czystym sumieniem może pana polecić, a ja jej ufam – oznajmiła pani domu – zresztą widzę, jak pan pracuje i wiem, że pan robi to dobrze. I tak się cieszę, że kiedy wrócę z urlopu, będę już miała nową kuchnię!

Piotr nie chciał jej zawieść, a że do zrobienia było naprawdę dużo, więc codziennie pracował do późna. Popołudniami pomagał mu Jędrrek. Chłopak czasami zabierał ze sobą zeszyty z pracą domową, prosząc o sprawdzenie błędów, więc Piotr na wszelki wypadek nosił w walizce słownik ortograficzny. Co prawda po tym, jak z obawy przed błędami nie wziął od Jasmin adresu, wykuł zasady pisowni na blachę, zaczął przywiązywać wagę do poprawnego pisania i błędów robił zdecydowanie mniej, ale mistrzem ortografii nie został nigdy. Otwarcie powiedział o tym Jędrkowi, lecz chłopak machnął na to ręką, natomiast zaczął dopytywać się o Jasmin. Potem rozmawiali o dziewczynach, o szkole, o wrednych i fajnych nauczycielach i o polskiej reprezentacji piłki nożnej.

W towarzystwie Jędrka czas płynął szybciej i robota szła dużo lepiej. Chłopak pomagał już kilkakrotnie przy malowaniu, tapetowaniu i układaniu paneli. Piotr płacił mu uczciwie

według stawki dla pomocnika budowlanego, a Jędrzek odkładał te pieniądze na obóz żeglarski.

Ostatniej soboty przed powrotem gospodarzy pracowali we dwóch do trzeciej w nocy, ale udało się wszystko skończyć. Dom leżał na uboczu, nie musieli obawiać się, że obudzą sąsiadów, więc na koniec odśpiewali triumfalne *We are the champions...*, wystukując rytm na odwróconych wiaderkach po farbie.

– Sprawdziłeś się, chłopie! – Piotr poklepał Jędrka po ramieniu.

Jędrzek wyprostował się dumnie. Oczy mu błyszczały. Było w nim teraz jednocześnie coś z odpowiedzialnego mężczyzny i rozradowanego chłopca.

– Dziękuję, szefie – powiedział, a Piotr był pewien, że chłopak na długo zapamięta tę chwilę.

*

Piotr rozerwał kopertę i wyjął wezwanie. Przeczytał uważnie, zatrzymując wzrok na terminie rozprawy rozwodowej. Sprawdził jeszcze raz, czy na pewno dobrze odczytał. I nagle zaczął się śmiać. Nie mógł opanować śmiechu. Zupełnie jak wtedy – pierwszego kwietnia ubiegłego roku, gdy odchodziła Karolina. Prima aprilis.

I znowu prima aprilis. W tym roku pierwszego kwietnia mieli spotkać się w sądzie.

– Ja przepraszam, że dopiero teraz dzwonię, ale naprawdę nie byłam w stanie. Chorowałam. I Malwinka też. Miałam ciężki poród. Ale to nieważne. Chodzi o to, że...

Piotr był kompletnie zaskoczony telefonem Karoliny. A więc ma córkę – Malwinkę. Niespotykane imię. Ale po co mu to wszystko opowiada? Chyba nie spodziewa się, że jej pogratuluje dziecka?

– Już jesteś zdrowa?

– Tak, ale... nie wiem, czy wiesz... – Znowu zamilkła.

– Że pierwszego kwietnia spotykamy się na rozprawie? Wiem. Dostałem wezwanie.

– Ja też dostałam. Ale nie o to chodzi. Bo żebyś nie myślał, że ja cię chcę wrobić. Takie jest prawo i już. W tym urzędzie stanu cywilnego nie chcieli ani mnie, ani Zbyszka słuchać. „Proszę państwa, takie jest prawo i ja nic na to nie mogę poradzić”, oświadczyła kierowniczką i nawet jakbym ci powiedziała od razu i poszedłbyś z nami, to i tak by nic nie pomogło. Pokazywałam pozew rozwodowy, ale ich to nie obchodzi.

– Karolino, możesz mówić jaśniej?

– Malwinka ma na nazwisko Kowalczyk, a ty jesteś wpisany jako ojciec.

– Co?! Jak mogłaś?!

– Nie krzycz na mnie. – Była bliska płaczu. – Mówiłam ci już, że to nie moja wina. Takie jest prawo. Jeśli dziecko urodzi się w czasie trwania małżeństwa albo nawet do trzystu dni po rozwodzie, to prawo uznaje, że ojcem jest mąż. Nieważne, co mówi matka, mąż i ojciec biologiczny, który chce uznać dziecko. Jest wpisane, że to twoje dziecko. Można to zmienić tylko sądownie. Napiszę pozew o zaprzeczenie ojcostwa, ale żeby było szybciej i bez wypytywania o pożycie, to trzeba dołączyć wynika badania DNA twojego i Malwinki. Bierze się do badania wymaz z wewnętrznej strony policzka. Szybko i bezboleśnie. Oczywiście zapłacę za twoje badanie.

– Według prawa jestem ojcem twojego dziecka i nikt z nas nie ma tu nic do gadania? To jakiś absurd!

– Absurd, ale takie jest prawo.

– Nie wierzę. Nie, no nie wierzę! To się po prostu w głowie nie mieści! Zadzwoń za godzinę. Muszę to sprawdzić.

Piotr poszukał informacji w internecie i na wszelki wypadek zatelefonował jeszcze do

urzędu stanu cywilnego. Niestety Karolina miała rację.

Był wściekły. Nie dość, że żona go zdradziła, to jeszcze prawo obarcza go obcym dzieckiem. On musi udowodnić, że nie jest ojcem. I znowu trzeba przejść wszystkie procedury prawne; pozew, odpowiedź, wyznaczenie terminu rozprawy, rozprawa. A do tego najpierw jeszcze badania. Na szczęście nie są skomplikowane. A kosztem niech się martwi Karolina.

*

Jadąc na spotkanie z Anitą Bardos, Piotr nie był pewien, czy rzeczywiście zastanie ją pod wskazanym adresem. Może kobieta chciała tylko zrobić mu kawał. Ale była tak przekonująca – sprawdził firmę, w której podobno pracowała i godzinę odlotu – wszystko się zgadzało.

Kiedy zadzwoniła, był pewien, że to nowy wyglup tej, która od kilku miesięcy prześladowała go dziwnymi telefonami. Słuchał z niedowierzaniem, a gdy wreszcie powiedział, że przyjmuje zlecenie, czekał, aż jego rozmówczyni z triumfem ogłosi wynik rozgrywki. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Anita Bardos podała mu swój adres i zastrzeżony numer telefonu. Od razu do niej zadzwonił, sprawdzając numer. Odebrała i jeszcze raz podziękowała za przyjęcie zlecenia.

Trochę był skrępowany i niepewny swoich zdolności aktorskich, ale rozumiał sytuację kobiety, a skoro mógł jej pomóc, nie narażając dobrego imienia firmy, to czemu miałby tego nie zrobić?

Anita Bardos z walizką na kółkach i z torbą przewieszoną przez ramię czekała na niego w drzwiach.

– O, jak dobrze, że pan się zgodził. Samej byłoby mi trochę głupio. Żeby potem było nam łatwiej, proponuję od razu przejść na ty. Anita. – Wyciągnęła do niego rękę. Uścisk miała zdecydowany, taki jaki Piotr lubił, absolutnie nie w stylu „śnięta ryba” czy „omdlewająca królowna”.

– Piotr – przedstawił się.

– Od razu rozliczę się z panem i będziemy mieli już formalności za sobą. Proszę. – Podała mu banknot stułotowy. – Reszty nie trzeba.

– To za dużo – zaprotestował Piotr.

– Jest OK. Wybawił mnie pan z tarapatów. – Uśmiechnęła się.

Królowna Śnieżka... Rzeczywiście, jasna cera i czarne włosy sięgające ramion upodabniały ją do Śnieżki. No i jeszcze delikatność w połączeniu ze zdecydowaniem – cechy niezbędne, aby królowna mogła poradzić sobie z siedmioma krasnoludkami.

Piotr zaniósł bagaże do samochodu.

– Nie musi się pan bardzo spieszyć, umówiliśmy się wystarczająco wcześniej, żeby zdążyć na samolot, a chcę, żeby chłopcy byli tam przed nami.

Kiedy dotarli na lotnisko, sześciu krasnoludków już czekało. Piotr w jednej ręce niósł walizkę (co z tego, że była na kółkach, miał wystarczająco dużo siły, żeby ją nieść, a liczyło się dobre wejście), drugą obejmował wtuloną w niego Anitę. Jego minę mówiła: Ta piękna kobieta jest moja! Przyjemnie było iść w towarzystwie atrakcyjnej kobiety, wzbudzając zazdrość innych samców i patrzeć, jak krasnoludkom zrzedły miny. Śnieżka i siedmiu krasnoludków – tak nazywano w firmie dział marketingu, w którym pracowała Anita i siedmiu facetów.

Krasnoludki – Piotr stwierdził, że to określenie pasuje do nich jeszcze z innego powodu. Na pierwszy rzut oka trudno ich było nazwać prawdziwymi facetami. Wyglądali na takich, co to szafy mają pełne markowych ubrań i kosmetyków, gonią za nowinkami mody, regularnie odwiedzają kosmetyczkę, poświęcają mnóstwo czasu na dbanie o swój wygląd, a pryszcz na nosie jest dla nich powodem do rozpacz. Gdyby taki miał walczyć ze smokiem, uciekłyby na

drzewo i zasłonił oczy, aby nie widzieć, jak smok zjada dziewczynę. Ale po co zaraz smok? Wymiana koła w samochodzie wystarczy, żeby delikacik wymiękł, bo rączki mu się pobrudzą, wypiełgnowane paznokcie połamią i markowe ubranko poniszczą. A gdyby miał po górach chodzić, a zapomniałby zabrać kremu chroniącego przed słońcem i buty by go obtarły, to pewnie GOPR by wezwał na pomoc. Zaraz, jak to Karolina nazywała takie męskie wytwory miejskiego konsumpcjonizmu? Było takie określenie... kojarzyło się Piotrowi z pociągiem... nie, nie z pociągiem, tylko z metrem – metroseksualni!

Ten siódmy, co dopiero przybiegł, aż taki metroseksualny znowu nie był, chyba że zasnął i nie miał czasu na codzienne zabiegi kosmetyczne.

– Cześć, chłopaki – rzuciła Anita. – Piotruś, poznaj moich kolegów z pracy.

Piotr uściśnął siedem dłoni, ale zdołał zapamiętać tylko cztery imiona.

– Kochanie, zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz na miejscu – zwrócił się do Anity.

– Ależ oczywiście, od razu dam ci znać. Pamiętaj o podlewaniu kwiatków na parapecie, a w zamrażalniku znajdziesz kotlety i gołąbki na obiad. – Anita mówiła ściszym głosem, ale tak, żeby krasnoludki mogły podsłuchać.

Usłyszały. Zerkały spod byka na Piotra, usiłując odgadnąć, czym oczarował ich Śnieżkę, która nie dość, że z nim jest, to jeszcze mu obiady gotuje na zapas.

– I... – Anita nachyliła się i udawała, że szepcze coś Piotrowi do ucha.

Piotr włączył się w grę. Uśmiechał się, kiwając potakująco głową i ukradkiem obserwował reakcję krasnoludków.

Kiedy Anita zadzwoniła do niego z prośbą, żeby odwiózł ją na lotnisko, udając jej narzeczonego, początkowo chciał odmówić. Ale wyjaśniła mu, że jako jedyna kobieta pracuje w dziale z siedmioma facetami i ma teraz lecieć z nimi na trzy dni w podróż służbową, a chłopcy już nadzieję sobie robią na to, co w czasie tej podróży może się zdarzyć, tymczasem ona nie ma najmniejszej ochoty na nawiązywanie z żadnym bliższych relacji, dlatego na lotnisku potrzebny jej narzeczoney, który ostudziłby ich zapał, a ponieważ tego narzeczonego nie ma, więc pozostaje jej jedynie mąż zastępczy. Piotr przemyślał sprawę i uznał, że jest to jednorazowa sytuacja, w żadne relacje rodzinne nie wchodzi, a skoro dziewczyna potrzebuje pomocy, to nie ma się nad czym zastanawiać.

Przyjmując zlecenie, nie podejrzewał nawet, że będzie się tak dobrze bawił, a zazdrość krasnoludków mile połączycie jego męską dumę. No i nie przewidział też pożegnalnego narzeczeńskiego pocałunku, który musiał wyglądać bardzo przekonująco.

Anita smakowała zupełnie inaczej niż Karolina...

*

– Dzień dobry. Mam do pana ogromną prośbę.

– Tak, słucham.

– Tylko widzi pan, to taka nietypowa sprawa. Otóż w klasie u mojego syna jest wywiadówka. Syn jest gimnazjalistą, a to trudny okres dla młodzieży. Narozrabiał trochę w szkole i wychowawczyni zapowiedziała, że tym razem to tata ma przyjść na wywiadówkę. A mój mąż jest po zawale. Zdenerwowanie mogłoby mu zaszkodzić, więc chciałabym prosić, żeby pan poszedł na tę wywiadówkę zamiast niego. Ile to będzie kosztować?

– Czy ja dobrze zrozumiałem, że pani chce, żebym poszedł na wywiadówkę do szkoły, udając pani męża?

– Dokładnie tak – ucieszyła się, że ją zrozumiał.

– Muszę pani odmówić.

– Ale dlaczego? – Kobieta wydawała się autentycznie zdziwiona.

– To nie wchodzi w zakres mojej działalności.

– Przecież zakres działalności zawsze można rozszerzyć. Bardzo pana proszę, niech pan ma wzgląd na chorego człowieka. Każdy wstrząs emocjonalny może mu zaszkodzić. Hubert, to znaczy syn, mówił wychowawczyni, że tata nie może się stresować, bo miał zawał, ale wie pan, co mu odpowiedziała? Jak syn mi powtórzył, to tak się zdenerwowałam, że krople uspokajające musiałam zażywać. Powiedziała mu, że ją to nie obchodzi i że ona chyba sama niedługo przez tę klasę dostanie zawału, a tata ma przyjść i już. Ja to w ogóle nie chcę z nią zaczynać, bo ona mnie strasznie nie lubi. Mówi, że bronię syna i mu tym krzywdę robię. A kto niby ma bronić dziecko jak nie matka? To babsko naprawdę mogłoby zadzwonić do męża i mu wszystko powiedzieć. A ja w ogóle nie chcę, żeby wiedział, że Hubert ma jakieś kłopoty.

Piotr już od jakiegoś czasu chciał przerwać swojej rozmówczyni i powiedzieć, że zdania nie zmieni, ale nie udało mu się wstrzelić w potok słów.

– Pomoże mi pan, prawda?

– Nie, proszę pani. Nie przyjmę tego zlecenia.

– Proszę mi odmawiać. Cena nie gra roli. Proponuję trzysta złotych, może być?

– Powiedziałem już pani, że to nie wchodzi w zakres mojej działalności.

– Pięćset? Sześćset? Ile pan chce?

– Szkoda i pani czasu, i mojego. Jeśli będzie pani miała zlecenie mieszczące się w zakresie prowadzonej przeze mnie działalności, to zapraszam.

– No, cóż! Trzy-dwa dla pana.

I wyłączyła się. To znowu ona! Dawno już jej nie słyszał. Nawet myślał, że dała mu spokój. Stracił czujność. Próbował przypomnieć sobie całą rozmowę, szukając czegoś, co mogłoby naprowadzić go na trop kobiety, albo chociaż rozstrzygnąć wątpliwość, czy to Jola, czy nie Jola, ale nie znalazł żadnego śladu. Jola też już dawno nie dzwoniła. Może nawet napisała tę książkę? A może radzi sobie sama? Albo wena ją opuściła? Właściwie to ciekawe, jak taki pisarz pracuje? Do prac konkretnych natchnienia nie trzeba. Jak człowiek ma coś do zrobienia, robi to i już. Czasami się nie chce, fakt. Ale mus to mus. A jak pisarzowi nic nie przychodzi do głowy, co wtedy? Co ma biedak robić? To już chyba lepiej kłaść kafelki, niż pisać książki.

*

Tym razem Józefina Klepacka umówiła się z Piotrem od razu w galerii handlowej przy kasie. Zauważyła go pierwsza i pomachała do niego, uśmiechając się jak do dobrego znajomego, a nie wynajętego tragarza. Wyglądała dużo lepiej niż poprzednio.

– Jak tam kociaki? – zapytał Piotr, kiedy władował już trzy torby zakupów do bagażnika.

– Ale z nich łobuziaki! Wszędzie wejdą, skaczą po firankach, a śpią najchętniej na książkach albo na gazetach. Pewnie dlatego, że urodziły się w bibliotece. Jak tylko gdzieś na wierzchu zostawię gazetę czy książkę, to zaraz albo Kizia, albo Mizia kładzie się na niej. A czasami to obie skulą się na jednej gazecie. Mam z nimi sto pociech.

– Pewnie trochę urosły?

– Sam pan zobaczy. A słyszał pan kiedyś o felinoterapii?

– Nie. A co to takiego? – zaciekawił się Piotr.

– Ja też nie słyszałam – przyznała się pani Józefina. – Aż do dzisiaj. A felinoterapia to terapia z udziałem kota. Właśnie wracam ze Stowarzyszenia Miłośników Kotów. Dzisiaj mieliśmy spotkanie z psychoterapeutą dziecięcym i jego kotem Klemensem. Ten Klemens to istna przytulanka. Jest bardzo towarzyski. Łasi się, ociera, wskakuje na kolana, lubi, żeby go głaskać, takiego kota jeszcze nie widziałam. Pan Tadeusz – ten psychoterapeuta – też jest ciekawym mężczyzną. I bardzo mi się podobało, jak prowadził spotkanie – opowiadała

z przejęciem. – Ja tam nigdy się nie spóźniam, ale ludzie są różni, niektórzy to i dwadzieścia minut po czasie potrafią przyjść. Pan Tadeusz z Klemensem oczywiście przyszedł przed czasem, kot chodził między ludźmi, łąsił się, ludzie go głaskali, pan Tadeusz zagadywał, zresztą jego też zagadywano. Dwadzieścia po piątej (na piątą było wyznaczone spotkanie) prelegent przedstawił siebie i swojego kota również i powiedział, że przed chwilą mieliśmy okazję zaobserwować felinoterapię w praktyce i doświadczyć, jak kot pomaga przełamywać lody i nawiązywać kontakt. A potem opowiadał o dzieciach, które do niego w ogóle nie chciały się odzywać, ale do Klemensa i owszem. Głaskały go, czesały, rysowały dla niego rysunki, wreszcie zaczynały rozmawiać z terapeutą – o Klemensie oczywiście, słuchały bajek o kotach i wymyślały bajkę dla Klemensa i dzięki kotu terapeuta porozumiewał się z dzieckiem. Opowiadał też o takim eksperymencie, gdzie wybrani przez psychologów więźniowie (to nie było w Polsce), mogli w nagrodę za dobre zachowanie chodzić do schroniska dla kotów i opiekować się kotami. Okazało się, że są spokojniejsi, bardziej wrażliwi, lepiej się zachowują, a po wyjściu z więzienia wielu z nich zaopiekowało się kotem. Aha, i jeszcze jedno – w tej grupie dużo rzadziej zdarzały się ponowne przestępstwa niż wśród osób, które nie brały udziału w programie.

– Bardzo ciekawe rzeczy pani mówi.

– To jeszcze panu powiem, że właściciele kotów są zdrowsi – mają niższy poziom trójglicerydów i cholesterolu, mniejsze jest u nich ryzyko miażdżycy, zakrzepicy i zawału. Głaskanie kota przynosi ulgę w reumatyzmie, a poza tym kot wyczuwa bolące miejsca, kładzie się tam i łagodzi ból. I to nie są żadne wymysły, tylko badania naukowe tak wykazały.

Piotr nigdy wcześniej nie widział Józefiny Klepackiej tak pozytywnie ożywionej. Kiedy zaniósł jej zakupy, poczęstowała go herbatą i dalej opowiadała o felinoterapii dzieci niepełnosprawnych, autystycznych, nadpobudliwych, o kotach w domach seniora i w szpitalach. Podczas wszystkich jego poprzednich wizyt razem wziętych nie wypowiedziała tylu słów co teraz. A Piotr, głaszcząc leżącą mu na kolanach Mizię, słuchał tych opowieści z zainteresowaniem i z przyjemnością patrzył na zaaferowaną staruszkę, która zupełnie nie przypominała wyniosłej pańci, jaką zapamiętał z pierwszego spotkania.

ROZDZIAŁ 20

Klaudia Śrubka zadzwoniła ponownie pod koniec lutego.

– Pamięta pan, kupował pan ze mną wiertarkę dla mojego męża pod choinkę?

– Tak, pamiętam. Szukała pani dużej i zielonej.

– A kupiłam niebieską. Ale widzi pan, cała rzecz w tym, że Henio jeszcze tej wiertarki nie użył, a regały w piwnicy trzeba przymocować do ściany, bo się ruszają. Więc chciałabym, żeby pan przyszedł i pokazał mojemu chłopu, jak to się robi.

Chłop Klaudii Śrubki okazał się niepozornym facetem, który najchętniej schowałby się w mysia dziurę. A najlepiej, gdyby mógł zmieścić się tam razem z laptopem. Siedziałby sobie w tej mysiej dziurze cichutko, nie zwracając niczyjej uwagi i miałby święty spokój. Mógłby skupić się na pracy, robić to, co lubi i umie i nikt, ale to nikt (czytaj: żona) nie zmuszałby go, żeby wiercił jakieś otwory, mocował regały i robił rzeczy, na których nie zna się i znać się nie chce.

– Heniu, zaprowadź pana Piotra do piwnicy i pomóż z tymi regałami. Będiesz mógł wypróbować wiertarkę – zarządziła Klaudia Śrubka.

A cóż Henio miał w takiej sytuacji zrobić?

– Pomogę panu – mruknął niechętnie, szukając kluczy do piwnicy.

Piotr żałował, że przyjął to zlecenie. Właściwie z rozmowy telefonicznej powinien się domyślić, że Henio niespecjalnie ucieszył się z prezentu i wcale nie ma ochoty z niego korzystać, a wiertarka była pomysłem Klaudii Śrubki, która próbuje wtłoczyć męża w ramy swoich wyobrażeń. Już w drzwiach okazało się, że Piotrowi w tej grze małżeńskiej również wyznaczyła rolę. A jemu wcale się ta rola nie podobała.

– Pan Piotr Kowalczyk, mąż zastępczy – przedstawiła go w sposób nasuwający dwuznaczne skojarzenia, tym bardziej że patrzyła na niego uwodzicielsko – prawdziwy mężczyzna, co i dziurę wywiercić umie, i mamuta do domu przyniesie, i kobietę z paszczy lwa wyrwie, przepraszam, panie Piotrze, że ja tak kolokwialnie, ale to takie kobiece spojrzenie. My, kobiety, w głębi duszy tęsknimy za pierwotną męską siłą.

Schodząc z mężem Klaudii do piwnicy, Piotr zastanawiał się, jak z tego wybrnąć.

– Mam nadzieję, że pani Klaudia da nam wolną rękę i nie przyjdzie nas sprawdzać? – Piotr uśmiechnął się porozumiewawczo.

Henryk Śrubka odpowiedział porozumiewawczym uśmiechem.

– Płonna nadzieja. Przyjdzie na pewno, ale na szczęście zaraz zaczyna się jej ulubiony serial, więc mamy jakieś pół godziny spokoju. Chyba że zdążymy przed końcem filmu.

– No to zdążymy – oświadczył Piotr, rozglądając się po piwnicy.

Zabrali się do roboty.

Regały były dwa i każdy miał po sześć półek zastawionych kompotami, dżemami, ogórkami kiszonymi, piklami, korniszonami, papryką w słoikach i marynowanymi grzybkami. Najpierw trzeba było wszystkie te słoiki pozdejmować, przymocować kątownikiem regał do ściany i następnie poustawiać je z powrotem.

Kiedy już regał był pusty, Henryk Śrubka sięgnął po wiertarkę. Ustawił ją odpowiednio, wywiercił otwór, przyczepił kątownik do ściany i do regału. Jego ruchy były szybkie i pewne. Nie wyglądał na kogoś, kto nie wie, jak posługiwać się wiertarką.

– Tylko ani słowa mojej żonie, ty to zrobiłeś, przepraszam, wymknęło mi się, pan to zrobił. A może przejdziemy na ty, będzie wygodniej?

– Pewnie, że wygodniej – Piotr.

– Henryk.

Podali sobie ręce.

– Zaskoczyłeś mnie – odezwał się Piotr.

– Myślałeś, że nic nie umiem zrobić? Umiem, ale Klaudia o tym nie wie. Przeważnie siedzę pod pantoflem, żeby mieć święty spokój, tylko czasami się spod tego pantofla wymykam. Ale bierzmy się szybko do słoików, zostało nam dziesięć minut.

Spotkali Klaudię na schodach, gdy wracali do domu. Była zawiedziona, że skończyli tak szybko.

– Wiesz, Piotr mi właśnie opowiadał, że ma znajomą, która świetnie piecze ciasta. Nawet jakiś konkurs cukierniczy wygrała. A na dodatek jest ładna i sympatyczna. Piotr tak ją zachwalał, że sobie pomyślałem, że może zaprosilibyśmy ją do nas. Bo prawdziwa kobieta wie, jak dogodzić mężczyźnie, a w każdym facecie jest mały chłopiec, który pragnie słodkości. My, mężczyźni dla słodczy gotowi jesteście na wiele...

Klaudia patrzyła na męża okrągłymi ze zdziwienia oczami. Piotr z trudem opanował śmiech.

– Ale tu nie chodzi o ciasto z cukierni – kontynuował Henryk. – Mam na myśli prawdziwą słodycz... głęboką... słodycz, dla której wojownik wraca do domu. – Westchnął tęsknie. Tak sobie myślę, że może ta pani nauczyłaby cię piec? Może ty ciągle popełniasz ten sam błąd i dlatego wychodzi ci zakalec? To jak, umówimy się z nią?

Klaudia nie mogła wydobyć głosu.

– Zadzwoń. – Henryk odblokował telefon. – Jaki termin ci pasuje?

– No wiesz! Co ty w ogóle mówisz! – oburzyła się Klaudia Śrubka. – Nie mam zamiaru wpuszczać do domu obcej baby.

– Na pewno? Przemyśl to jeszcze. Bo ja naprawdę czasami miałbym ochotę... – I zanim żona zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał: – Wychodzę.

– Wychodzisz? Jak to wychodzisz? Tak nagle? Dokąd? – Klaudia Śrubka nie poznawała swojego męża.

– Z kumplem na piwo. – Henryk klepnął Piotra w ramię.

– A... kiedy wrócisz?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Jak wrócę, to będę.

Zamurowało ją. Był to widok tak niespotykany, że Henryk najchętniej utrwaliłby go na fotografii. Wracałby do niej w chwilach, gdy Klaudia zachowuje się jak walec gotów przejechać wszystko, co spotka na swojej drodze i wydaje się niemożliwe, że cokolwiek mogłoby go zatrzymać, albo zmienić jego tor, wobec tego instynkt samozachowawczy nakazuje usunąć się z drogi. Ale teraz mógł zrobić tylko jedno – wyjść tak, jak zapowiedział.

Kiedy Piotr i Henryk znaleźli się na dworze poza zasięgiem słuchu i wzroku Klaudii, spojrzeli na siebie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Śmiali się jak chłopcy, którym właśnie udał się kawał. Śmiali się i nie mogli przestać. Henryk odreaagowywał w tym śmiechu całe lata uciekania przed walcem, a Piotr mu w tym towarzyszył. Taka męska solidarność.

Piotr uspokoił się pierwszy.

– I co teraz? – spytał.

– Jak to co? – Henryk ocierał łzy ze śmiechu. – Idziemy na piwo! Ja stawiam!

– Idziemy! Ale dla mnie colę.

– Nie lubisz piwa?

– Mam uczulenie na alkohol.

Przesiedzieli w pubie kilka godzin, bo Henryk stwierdził, że skoro raz zerwał się ze smyczy, to tak szybko do domu nie wróci. Niech małżonka ma czas na przemyślenia.

Rozmawiali o różnych sprawach. Okazało się, że obaj kiedyś żeglowali, a niewiele brakowało, żeby spotkali się na jednym obozie żeglarskim. Obaj lubili pływać i jeździć na rowerze. Umówili się, że gdy śnieg stopnieje i zrobi się ciepło, wybiorą się razem na wyprawę rowerową, a wcześniej na basen. Henryk był informatykiem i zaoferował Piotrowi pomoc, gdyby dostał jakieś zlecenie związane z komputerami, z którym nie umiałby sobie poradzić.

Około dziewiątej zadzwonił telefon Henryka.

– W pubie. – Nieprzyzwyczajony do większych ilości alkoholu Henryk przy trzecim piwie miał już trochę bełkotliwy głos. – Mówiłem, że jak wrócę, to będę. Cześć.

Posiedzieli jeszcze z godzinkę, potem Piotr odwiózł Henryka do domu.

– Cześć, cześć. – Henryk wylewnie poklepywał Piotra po plecach. – To mi Klaudia prezent pod choinkę zrobiła. Kij z wiertarką! Ale kumpel, kumpel w gratisie! I to jaki! To w następną niedzielę o piątą na basenie, tak?

*

Piotr wyciągnął kartkę, na której miał zapisany adres. Tak, to był ten blok. Trzecie zgłoszenie z osiedla Piastowskiego od początku działalności. Ciekawe, czy Zuzanna Gładka znalazła ofertę w internecie, czy też na jakiejś osiedlowej tablicy zdążyła wypatrzeć jego ulotkę, zanim zniszczył ją tajemniczy przeciwnik.

Piotr dawno nie był na Piastowskim. Dzięki internetowi i zadowolonym klientom polecającym jego usługi znajomym miał wystarczająco dużo zleceń i właściwie nie jeździł już z ogłoszeniami po mieście. Jedynym miejscem, gdzie czasami rozklejał ulotki, było właśnie osiedle Piastowskie. Umieszczał je tam nie tyle dla reklamy, ile dla pokazania wandalowi, że tak łatwo się nie podda. W miejscach, gdzie wisały jego ulotki, spodziewał się znaleźć ogłoszenia ze świetlicy, tymczasem znalazł prośbę o przekazanie 1% podatku na schronisko dla zwierząt. Trochę go to zaskoczyło. Ale zaraz pomyślał, że dzieci ze świetlicy mogą współpracować ze schroniskiem dla zwierząt i stąd taka nagła zmiana treści ogłoszeń.

Z bloku wychodził właśnie mężczyzna z psem, więc Piotr nie musiał nawet używać domofonu. Niestety obie windy nie działały, a Zuzanna Gładka mieszkała na jedenastym piętrze. Na piątym zdyszany Piotr zrobił sobie krótką przerwę na odpoczynek i drugą przerwę na dziesiątym. Nie chciał sapać pod drzwiami klientki, więc poczekał chwilę, aż uspokoi mu się oddech. Wszedł na jedenaste piętro i zatrzymał się pod drzwiami z wizytówką „Zuzanna Gładka”. Wiedział, że dzwonek nie działa, bo przyszedł właśnie, żeby go naprawić. Zapukał.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Chuda, płaska jak deska kobieta patrzyła na niego surowo zza okularów.

– Dzień dobry, Piotr Kowalczyk. – Uśmiechnął się, żeby przełamać lody. – Miałem przyjść naprawić pani dzwonek.

Nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Miał pan przyjść o siedemnastej piętnaście.

– I przyszedłem. – Piotr spojrział na zegarek. Właśnie piętnasta szesnaście zmieniała się w siedemnastą siedemnaście.

– Spóźnił się pan dwie minuty.

– Przepraszam. Winda była zepsuta, a wejście na jedenaste piętro jednak trochę czasu zajmuje.

– Czekam pod drzwiami od siedemnastej czternaście, a w tym czasie mogłabym na przykład zamieść podłogę w kuchni.

– Przepraszam – powtórzył Piotr, choć powoli ta sytuacja zaczynała go irytować. Chciał jak najszybciej naprawić ten dzwonek i wyjść.

– Proszę wejść – powiedziała niechętnie Zuzanna Gładka, wlepiając zde gustowany wzrok w jego zabłocone buty.

Przez kilka dni padały deszcze, dopiero tego dnia po południu zaczęło się przejaśniać, ale ziemia była rozmiękła, a na osiedlu wymieniano jakieś rury i chodniki częściowo rozkopano. Miejscami błota nie dało się ominąć. Po wdrapaniu się na jedenaste piętro Piotr podeszwy już miał czyste, ale na butach widać było zaschnięte ślady.

Postanowił nie zwracać uwagi na oskarżycielskie spojrzenie gospodyni. Nie zamierzał też zdejmować butów. Ostatecznie Zuzanna Gładka nie miała w przedpokoju perskich dywanów, a jedynie ułożoną w szachownicę białą-czarną terakotę, którą łatwo umyć, a poza tym dzwonek znajdował się nad drzwiami wejściowymi, więc żeby go naprawić, nie trzeba było nawet dalej wchodzić.

W mieszkaniu pachniało środkami dezynfekującymi. Piotr lubił zapach chloru, bo przypominał mu basen i pływanie, ale teraz w połączeniu z białymi ścianami z czarnym pasem kafelków przy podłodze kojarzył mu się z jakimś laboratorium medycznym.

– Ma pani stołeczek?

Kobieta niechętnie skinęła głową.

– To proszę stołeczek i jeszcze jakieś stare gazety albo ręczniki papierowe do podłożenia.

Zuzanna Gładka przyniosła stołeczek i gazetę, miotłę, śmietniczkę, wiadro z wodą i mop. Stała w korytarzu i obserwowała Piotra.

Odwrócony do kobiety plecami, czuł jej palący wzrok. Nie lubił, kiedy ktoś patrzył mu na rękę. Na całe szczęście długo nie musiał tego znosić. Wyłączenie bezpiecznika, zdjęcie obudowy dzwonka, sprawdzenie, co się stało, włożenie wysuniętego przewodu, ponowne nałożenie obudowy, włączenie bezpieczników i sprawdzenie, czy dzwonek działa, zajęło mu zaledwie kilka minut.

– Gotowe – powiedział Piotr, chowając wkrętak do walizki z narzędziami.

– Dziękuję – odpowiedziała chłodno Zuzanna Gładka. – A to należność. – Położyła pieniądze na stolku, szybko cofając rękę. Rękawy bluzki miała naciągnięte do połowy palców, ale Piotr zauważył, że skóra dłoni jest spierzchnięta i spękana miejscami aż do krwi.

Z ulgą opuścił to mieszkanie. Miał wrażenie, że na klatce schodowej mimo wyczuwalnej woni ze zsypu lżej się oddycha niż w tamtym przedpokoju, gdzie powietrze zgęstniało od tłumionych emocji. Nie chciał tam wracać, lecz nie mógł wyrzucić z myśli Zuzanny Gładkiej, jej spękanych rąk i sterylnego mieszkania.

Ledwie wyszedł, zabrała się do sprzątania. Piotr słyszał odgłosy miotły niecierpliwie uderzającej o drzwi, jakby chciała jak najszybciej wymieść wszelkie ślady jego obecności.

*

– Przepraszam, że dzwonię o tak wczesnej porze, ale widzi pan, to taka delikatna sprawa.

– Tak, słucham. – Piotr próbował się do budzić i przypomnieć sobie, jaki to dzień tygodnia.

– Ja wiem, że mamy niedzielę i jest dopiero piętnaście po szóstej, ale ja bardzo proszę, żeby pan przyjechał do mnie jak najszybciej, zanim sąsiedzi wstaną.

– A co takiego się stało?

Kobieta powiedziała coś tak cicho, że nie zrozumiał ani słowa.

– Przepraszam, nie dosłyszałem.

– Chodzi o to, żeby zdjąć coś z drzewa, zanim sąsiedzi to zobaczą.

– Kota? – spytał jeszcze nie całkiem obudzony Piotr.

– Nie, nie kota.

– A co?

Kobieta milczała.

– Proszę pani, ja muszę wiedzieć co, żeby się przygotować. Muszę wiedzieć, co ze sobą zabrać.

– Rozumiem... ale to krępujące.

– Proszę pani, ja jestem jak ksiądz albo lekarz. Tajemnica zawodowa rzecz święta.

– Powiesiłam pranie na balkonie na noc, bo w łazience mi się nie zmieściło, a noc taka ciepła, to pomyślałam, że choć trochę się podsuszy. I chciałam je teraz zdjąć. A w nocy był wiatr. Ja staram się zawsze dobrze przyczepić spinaczami, bo to nigdy nie wiadomo, kiedy pogoda się zmieni i prawie wszystko wisiało jak wczoraj, tylko... a co tam będę w bawełnę owijać, powiem panu wprost – moje majtki wiszą na drzewie i nawet nie mogę się do nich nie przyznać, bo drzewo też jest moje i rośnie w moim ogrodzie. I proszę, żeby pan je zdjął, zanim sąsiedzi wstaną i dowiedzą się, że ja XL-kę noszę! Przed panem ukrywać nie będę, bo się ukryć nie da. To jak, przyjedzie pan?

– Przyjadę. Proszę podać adres.

– Punkt dla mnie! Trzy-trzy! Do widzenia!

Zawsze kończyła rozmowę, zanim zdążył o cokolwiek spytać. Gdyby zwrócił się do niej „Jolu”, może po reakcji udałoby się rozpoznać, czy to ona, czy nie. Tym razem nawet się nie zirytował. Sam przed sobą musiał przyznać, że czasami o niej myśli, bo zagadki zawsze go intrygowały. Ale nie lubił takich, które nie dawały się rozwiązać.

*

Henryk się spóźniał, a Piotr nie miał nawet jego numeru telefonu. Przyszedł tuż przed piątą i od kwadransa czekał przy wejściu na basen, tak jak się umówili, a Henryka jak nie było, tak nie było. Może zapomniał? Co prawda całkiem trzeźwy nie był, ale chyba nie na tyle pijany, żeby nie wiedzieć, co mówi. Piotr postanowił, że poczeka do wpół do szóstej, a jeśli kumpla nie będzie, wejdzie sam. Henryk zjawił się dwadzieścia po piątej. W pierwszej chwili Piotr go nie poznał. Pomyślał, że ten mężczyzna wysiadający z samochodu jest bardzo podobny do Henryka. Przyszło mu nawet do głowy, że może to jego brat i patrzył, czy z samochodu nie wysiądzie ktoś jeszcze. Dopiero po chwili ze zdumieniem stwierdził, że ten wyprostowany, pewny siebie mężczyzna, tak inny od tamtego niepozornego faceta, którego poznał niecałe dwa tygodnie temu, to Henryk.

– Cześć! Przepraszam bardzo za spóźnienie, ale Klaudia nie chciała mnie puścić.

– Patrząc na ciebie, wnioskuję, że ta małżeńska tyrania była ci nawet na rękę – zaśmiał się Piotr.

– Człowieku, żebyś ty wiedział... – Henryk zrobił wniebowziętą minę. – Chodź ze mną po basenie na pizzę, to ci opowiem.

Po godzinie intensywnego pływania i relaksie w jacuzzi Piotr doszedł do wniosku, że ta forma aktywności fizycznej odpowiada mu zdecydowanie bardziej niż bieganie. Co prawda gotów był przyznać, że gdyby sensowniej się do tego biegania zabrał – nie po to, żeby się katować, to może myślałby inaczej, ale na razie biegać nie zamierzał. Natomiast obaj z Henrykiem kupili karnety na basen, stwierdzając, że męskie towarzystwo i trochę ruchu każdemu z nich dobrze zrobi.

Właściwie Henryk nie przypominał wcale Marka, ale jednak obaj mieli coś wspólnego – w ich towarzystwie Piotr czuł się swobodnie. Kiedy miał ochotę mówić, mówił, kiedy wolał milczeć, milczał. Nie musiał odgrywać żadnej roli i silić się na podtrzymywanie rozmowy.

Z przyjemnością poszedł z kumplem na pizzę. Gdy zaspokoili już pierwszy głód (pizza hawajska była pyszna), Henryk zaczął mówić:

– Człowieku, ja własnej żony nie poznaję. To cud niemalże. Myślałem, że Klaudia będzie na mnie obrażona, że będzie gadać albo oczekiwać, że ją przeproszę, byłem na to przygotowany, ale wcale nie zamierzałem się poddać i grać wyznaczonej mi roli. O, nie! Zamierzałem walczyć! I wiesz co?

– Co? – zaciekawił się Piotr.

– Uległem – zaśmiał się Henryk.

– Naprawdę? – Piotr próbował ukryć rozczarowanie.

– Kiedy wróciłem, nasze córki już spały, a Klaudia czekała na mnie w łóżku w seksownej bieliźnie. Nawet nie wiedziałem, że taką ma. Nie mam pojęcia, czy chowała ją w szafie na specjalną okazję, czy też może kupiła ją dopiero, kiedy wyszedłem z domu. W każdym razie czekała na mnie. Żadnych wyrzutów, żadnego obrażania, tylko... człowieku, na samo wspomnienie robi mi się gorąco. A potem było jeszcze lepiej. Moja żona wreszcie przestała próbować wtłoczyć mnie w jakieś swoje wymyślone ramki i zaczęła się ze mną liczyć. Przeżywamy drugi miesiąc miodowy. To jak? Usprawiedliwisz moje spóźnienie?

ROZDZIAŁ 21

Piotr był trochę zaskoczony, gdy Zuzanna Gładka zadzwoniła do niego po raz drugi. Tym razem miał powiesić półki. Wyszedł dużo wcześniej na wypadek, gdyby miał zdarzyć się jakiś nieprzewidziany kataklizm. Ze stoickim spokojem porozwieszał na osiedlu nowe oferty, ciekaw, co wkrótce zawiśnie na ich miejscu – ulotki schroniska dla zwierząt, jak teraz, czy też świetlicy jak przedtem, czy może jeszcze coś zupełnie innego. Prawdopodobieństwo, że natknie się na nieznanego przeciwnika, który z niewiadomych powodów uwziął się na jego ogłoszenia, było nikłe, a jednak jak zawsze, kiedy rozlepił ulotki na tym osiedlu, uważnie obserwował przechodniów.

Przed blokiem, w którym mieszkała klientka, spojrzął na zegarek. No, tym razem nawet jeśli winda będzie zepsuta, Zuzanna Gładka na pewno nie zarzuci mi spóźnienia, pomyślał z satysfakcją. Spojrzął na swoje buty. Im także dzisiaj nie można było nic zarzucić. Bo i pogoda od kilku dni była piękna, i błota w okolicy ani na lekarstwo. W powietrzu pachniało wiosną, na drzewach pojawiały się liście, nawet tu, na osiedlu gęsto zabudowanym blokami czuło się nowe życie i gdyby nie wisząca nad Piotrem sprawa rozwodowa, byłby całkiem zadowolony.

Drzwi zewnętrzne były otwarte. Windy na szczęście działały. Naprawiony dzwonek również.

Piotr spodziewał się, że gospodyni otworzy mu błyskawicznie tak jak poprzednio, ale w przedpokoju panowała cisza. Odczekał chwilę i zadzwonił raz jeszcze. Znowu nic. Zastanawiał się, czy nie pomylił terminu, zerknął do terminarza, sprawdził, że wszystko się zgadza i już wyciągał rękę, żeby zadzwonić ponownie, gdy drzwi wreszcie się uchyliły.

Zuzanna Gładka tak jak poprzednio miała zde gustowaną minę.

– Umawialiśmy się na szóstą – powiedziała z pretensją, stając w uchylonych drzwiach.

Piotr spojrzął na zegarek.

– Przecież się nie spóźniłem.

– Jest za sześć szóstą – odpowiedziała, oddzielając dłuższą przerwą każde słowo.

– Mam wyjść? – spytał, poirytowany jej reakcją.

– Proszę przyjść o szóstej. – I zamknęła mu drzwi przed nosem.

Tego się nie spodziewał. Przez moment stał jak ciele, gapiąc się na zamknięte drzwi. Dopiero po chwili doszedł do siebie. Stał przy oknie, nerwowo bębniąc palcami w parapet i co chwilę zerkając na zegarek. Punktualnie o szóstej ponownie zadzwonił. Tym razem Zuzanna Gładka otworzyła natychmiast.

W nozdrza uderzył go intensywniejszy niż poprzednio zapach chloru.

– Proszę do kuchni. – Gospodyni niechętnie zerknęła na jego buty. Wyraźnie oczekiwała, że je zdejmie, ale Piotr nie zamierzał paradować w skarpetkach po jej wypucowanym mieszkaniu. Nie powiedziała nic, tylko zacisnęła mocniej usta, widząc, jak intruz butami gwałci jej nieskazitelnie czystą podłogę. W każdym razie widząc jej minę, Piotr czuł się jak gwałciciel.

Kuchnia, podobnie jak przedpokój, utrzymana była w białoczarnych barwach i sprawiała wrażenie ekspozycji w sklepie meblowym, chociaż właściwie takie ekspozycje są bardziej swobodne – żeby stworzyć wrażenie przytulnej domowości, umieszcza się na nich jakies drobiazgi – kwiatek, książkę kucharską czy koszyczek z owocami. Tutaj wszystko było idealnie czyste, wypucowane do połysku, żadne naczynie nie stało na wierzchu, zlew lśnił, a pomieszczenie kojarzyło się raczej ze sterylnym laboratorium niż z kuchnią będącą sercem domu.

Na czarnym kuchennym blacie leżały dwie białe półki, cztery haki ułożone w rzędki jak

pod sznurek i zwrócone zagięciem w tę samą stronę, a na podłodze czekała już zmiotka i szufelka.

– Gdzie powiesić te półki? – spytał Piotr.

Zuzanna Gładka wskazała miejsce na ścianie i obserwowała, jak Piotr zaznacza ołówkiem miejsca na otwory.

– Proszę przymierzyć półkę – zarządziła, zanim zaczął wiercić. – Nie, nie jest dobrze. Proszę centymetr w lewo... za dużo... cofnąć odrobinę... o tak... i trochę w dół... jeszcze odrobineczkę – komenderowała. – O, teraz może być – uznała wreszcie, gdy Piotra zaczęły już boleć ręce.

To samo było z drugą półką. A gdy wreszcie dokładnie zostało ustalone, gdzie mają wisieć i Piotr zabrał się do wiercenia otworów, przytknęła do ściany śmietniczkę i zbierała na nią pył, cały czas patrząc Piotrowi na ręce. Był coraz bardziej poirytowany.

– Otwory już wywiercone dokładnie według pani wymagań, teraz jeszcze wkręcę haki i powieszę półki, tu już nic nie da się sknocić, spokojnie może pani zająć się czymś innym.

– Poczekam, aż pan skończy.

Starał się uporać z robotą jak najszybciej, żeby uwolnić się spod jej kontroli. Miał wrażenie, że ta chuda jak patyk kobieta wypełnia sobą całą kuchnię, wysysa powietrze, a pod wpływem jej wzroku jego ruchy stają się niezdarne i wkręcenie głupiego haka zabiera mu o wiele więcej czasu niż zwykle.

Wreszcie skończył. Półki prezentowały się całkiem ładnie. Piotr był ciekaw, co Zuzanna Gładka na nich umieści, jakie przedmioty uzna za godne wyeksponowania i według jakiego klucza je wybierze. Ale gospodyni nic na ten temat nie wspomniała, a on nie odważył się zapytać, więc przeznaczenie półek pozostało dla Piotra tajemnicą.

Tak jak poprzednio poczuł ulgę, wychodząc z tego mieszkania, jednak nadal nie mógł przestać myśleć o jego właścicielce.

*

– Mąż zastępczy, prawda? – upewniła się dzwoniąca kobieta, gdyż Piotr tym razem przedstawił się tylko imieniem i nazwiskiem.

– Tak – potwierdził.

– To świetnie! – ucieszyła się rozmówczyni. – Bo ja właśnie szukam męża zastępczego. A właściwie kochanka zastępczego.

– Proszę pani, to nie jest agencja towarzyska. Ja zajmuję się naprawami, remontami, transportem.

– Ależ absolutnie proszę pana, nic z tych rzeczy. Żadne usługi towarzyskie nie wchodzą w grę – oburzyła się kobieta. – Chodzi tylko o przepisanie tekstu.

– Przepisanie tekstu? – zdziwił się Piotr. – A co ma do tego kochanek zastępczy?

– Prześlę panu list miłosny – to będzie list miłosny od kochanka do mnie. Ale ja nie mam kochanka, a ten list napisałam sama do siebie. Chodzi o to, żeby pan przepisał ten list pan i wysłał go z powrotem do mnie, żeby mój mąż był zazdrosny.

– Pani chce, żebym ja udawał pani kochanka i wysłał do pani list miłosny, który pani sama do siebie napisała? – Piotr czuł się trochę skolowany i nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Ale najpierw, żeby go pan jeszcze przepisał, potrzebny mi męski charakter pisma, no i żeby list był wysłany z innej miejscowości niż moja. Wie pan, ja ostatnio byłam w sanatorium, na turnusie zebrali się ludzie z całej Polski, więc obojętnie mi jakie to miasto.

– Nie, proszę pani, ja się w takie rzeczy nie mieszam.

– Ale przecież ja nie namawiam pana do niczego zdrożnego. Chyba lepiej udawać, że ma się kochanka, niż mieć go naprawdę. A to wszystko dla ratowania małżeństwa. Żeby mąż wreszcie mnie zauważył. Jak zobaczy, że jest inny, któremu na mnie zależy, to może obudzi się w nim taki samczy instynkt rywalizacji. Tylko na to liczę. Bo inaczej to chyba rozwód. – Westchnęła. – Sam ksiądz na spowiedzi mi powiedział: „walcz, córko o swoje małżeństwo”, więc walczę. Walczę, jak umiem.

– Przykro mi, proszę pani, ale tego zlecenia nie przyjmę. Są poradnie rodzinne, terapeuci, może tam by pani spróbowała poszukać jakiejś rady.

– Ja nie pytam pana o radę, tylko proszę, żeby pan przepisał i wysłał list. A odpowiedzialność ja ponoszę, więc niech pana sumienie nie gryzie.

– Przykro mi, w tym pani nie pomogę.

– Tak też myślałam. – Westchnęła. – No cóż, cztery-trzy dla pana.

*

Pierwszego kwietnia pogoda była równie piękna jak rok temu. Słońce, pijane wiosną ptaki i ten wiosenny powiew budzący w człowieku uśpione pragnienia. Idealna sceneria na obiecujący początek. W taki dzień człowiek powinien się zakochać, a nie rozwodzić. Piotr teoretycznie zgadzał się z twierdzeniem, że koniec jednego jest początkiem drugiego – ale dzisiaj bardziej przeżywał koniec niż początek. Rozwód był porażką.

Na sądowym korytarzu zobaczył Karolinę. Siedziała na krześle przed salą rozpraw, a Wypłosz trzymał ją za rękę. Karolina była podenerwowana, ale jednocześnie wyglądała na szczęśliwą.

Dla niej to początek, dzień wyzwolenia z małżeńskiego jarzma – pomyślał Piotr z goryczą. Skinął im obojgu głową i usiadł w drugim końcu korytarza, jak najdalej od nich.

Kiedy wreszcie znaleźli się w sali rozpraw, sędzia zadał tylko kilka pytań. Zapytał, czy są pewni, że chcą rozwodu, czy są zgodni w tej sprawie, czy chcą rozwodu bez orzekania o winie i czy nie mają małoletnich dzieci wymagających opieki.

Po kilkunastu minutach Piotr był już rozwiedziony.

Nie chciał patrzeć, jak Wypłosz przytula Karolinę, nie chciał widzieć radości na jej twarzy i namiętnego pocałunku. Wybiegł z budynku sądu. Pragnął jak najszybciej znaleźć się w domu. Z dała od Karoliny i Wyplosza, od zakochanych par i od szczęśliwych matek z wózkami, które korzystając z pogody, wyległy na ulice.

Pani Augustyna nalewała zupę ogórkową, z troską zerkając na Piotra.

Piotr od jakiegoś czasu jadał u niej obiady. Starszej pani dla siebie samej nie bardzo chciało się gotować, a Piotr miał już dość jedzenia w barach, więc zaproponował sąsiadce, że wykupi u niej obiady. Zgodziła się chętnie, bo lubiła Piotra i gotowanie, a zawsze to jeszcze grosz dodatkowy i miłe towarzystwo przy obiedzie.

– I jak poszło, panie Piotrusiu? – spytała, stawiając przed nim talerz.

– Szybko – odpowiedział.

– To i dobrze. Ból krótszy. Po co rozdrapywać rany?

– I tak boli. – Westchnął. – A jeszcze spotkamy się w sądzie w maju na tej sprawie o zaprzeczenie ojcostwa.

– Panie Piotrusiu – pani Augustyna pogłaskała go po matczynemu po plecach – zobaczy pan, będzie dobrze. Ból minie i wszystko się poukłada.

*

Tym razem Zuzanna Gładka umówiła się z Piotrem na piątą. Przyszedł punktualnie. Ledwie zadzwonił, otworzyła mu drzwi. Patrząc z pretensją na jego buty, wyłożyła gazetami podłogę w pokoju, w którym Piotr miał powiesić obrazki. Po tym, co wcześniej widział w korytarzu i w kuchni, wystrój pokoju wcale go nie zdziwił, zaskoczyły go jakieś ekstrawagancje kolorystyczne, a taką ekstrawagancją w tym domu byłby jakikolwiek inny kolor niż biały i czarny, ale na to Zuzanna Gładka się nie odważyła. Konsekwentnie czarno-białą kolorystykę zachowywały również obrazki, a właściwie zdjęcia stanowiące cykl fotograficznych wariacji wokół tematu szachownicy. Haczyki w równym rzędzie, czarna zmiotka i śmietniczka leżały pod ścianą.

I znowu gospodyni długo wybierała idealne miejsce na każde zdjęcie (a było ich pięć, więc trochę to trwało), a Piotr z każdą chwilą miał coraz mniej cierpliwości.

– Jeśli pani chce, żebym to skończył – powiedział, gdy otwory były już wywiercone – proszę przestać mnie kontrolować. Nie znoszę, kiedy ktoś patrzy mi na ręce.

Zuzanna zaskoczona jego gwałtowną reakcją nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie skończę, jeśli pani nie zajmie się czymś innym.

– Jeśli pan nie skończy pracy, to panu nie zapłacę.

– No to pani nie zapłaci, a ja nie dokończę – odpowiedział spokojnie.

Chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Niech pan kończy – prychnęła, sięgając po pilota od telewizora. Nerwowo wciskała guziki, przeskakując z programu na program, dopóki Piotr nie wkręcił wszystkich haczyków.

– Muszę jeszcze dwa dokupić – stwierdziła, gdy zdjęcia zostały już rozwieszane. – Może pan przyjść jutro o szóstej?

– A może ja dzisiaj przygotuję haczyki, a pani jutro powiesi obrazki? – zaproponował Piotr.

– Ależ to niemożliwe! Jeśli się okaże, że wszystkie wykupili, to przecież nie mogę zostać z pustymi haczykami na ścianach! – oburzyła się.

– O szóstej nie mogę. Najwcześniej o siódmej – powiedział Piotr, zaglądając w terminarz.

– Niech będzie siódma – zgodziła się niechętnie. – Tylko punktualnie.

– Chyba zdążyła już pani zauważyć, że jestem punktualny, o ile nie wyskoczy mi po drodze coś nieprzewidzianego.

– Proszę. – Położyła pieniądze na szafce.

Tuż po drugiej Piotr dostał esemes: „Najprawdopodobniej nie zdążę wrócić przed siódmą, to niespodziewana sprawa, zostawiam klucze w doniczce na oknie na klatce schodowej, proszę wejść, wszystko będzie przygotowane. Długo nie będzie pan na mnie czekał”.

Piotrowi nie podobał się ten pomysł. Co prawda nie tęsknił za kontrolującym spojrzeniem Zuzanny Gładkiej, ale też nie chciał w czasie nieobecności właścicielki wchodzić do jej mieszkania. Jeszcze coś zginie albo się stanie, a on będzie podejrzany. Zdziwił go ten esemes; kobieta, która kontroluje wszystko wokoło, nagle beztrąsko zostawia klucze w doniczce na klatce schodowej. Na dodatek zostawia je prawie obcemu facetowi. Takie zachowanie zupełnie do niej nie pasowało.

„Może umówimy się w innym terminie?” – odpisał.

„Nie! Bardzo proszę, żeby pan przyszedł o siódmej” – odpowiedziała.

Zadzwonił do niej.

– Dzień dobry. Zmieńmy ten termin. Głupio jest mi wchodzić do mieszkania podczas pani nieobecności.

– W każdej chwili może mi się wyładować komórka – uprzedziła. – Bardzo mi zależy, żeby to było właśnie dzisiaj. Klucz w doniczce. O siódmej. – Wyłączyła się.

Piotr zadzwonił jeszcze raz, ale usłyszał tylko komunikat: „Abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon”. Co prawda rozmówczyni uprzedzała go, że połączenie może zostać przerwane, ale Piotr nie do końca jej wierzył. Może rzeczywiście wyładowała się bateria, a może kobieta specjalnie wyłączyła telefon.

Długo bił się z myślami, co robić, ale za pięć siódma, jeszcze nie do końca zdecydowany, stanął przed blokiem, w którym mieszkała Zuzanna Gładka. Miał nadzieję, że nie znajdzie kluczy w doniczce, bo gospodyni zdążyła już wrócić. Czy rzeczywiście wypadła jej jakaś pilna sprawa, czy może rozgrywała jakąś grę, której prawideł Piotr nie znał, tego nie potrafił rozstrzygnąć.

Ta kobieta działała mu na nerwy, ale jednocześnie intrygowała. Na pierwszy rzut oka widać było, że nadmierną kontrolą i obsesyjną dbałością o porządek przykrywa jakiś wewnętrzny chaos, z którym nie potrafi się uporać. Odgrywając rolę strażnika, sama stała się więźniem. Nie trzeba psychologa, żeby to odgadnąć. Ale dlaczego tak się zachowuje, jaki dramat wydarzył się w jej życiu i jak można jej pomóc – na te pytania Piotr nie znał odpowiedzi.

Klucz znajdował się w doniczce pod sztucznym kwiatkiem całkiem nieźle udającym żywą roślinę.

Przed drzwiami Piotr jeszcze się zawahał. Spojrzał na zegarek. Była punktualnie siódma. Odczekał kilka minut, wyjrzał przez okno, kolejny raz spróbował dodzwonić się do Zuzanny Gładkiej. Usłyszał ten sam komunikat co wcześniej. Schował klucz z powrotem do doniczki. Nacisnął guzik windy. Patrzył, jak zatrzymuje się przed nim, pozwolił jednak, żeby zamknęły się drzwi i po chwili winda ruszyła w dół. Jeszcze raz wyjrzał przez okno. Wyjął klucz z doniczki. Otworzył drzwi. Korytarz wyglądał jak zwykle, drzwi do wszystkich pomieszczeń były starannie pozamykane, a jednak Piotr poczuł jakiś nieokreślony niepokój, właściwie czuł go też wcześniej, tylko teraz był już całkiem pewien, że musiało się zdarzyć coś złego. Skierował się do pokoju.

Zuzanna Gładka leżała na kanapie zwinięta w kłębek. Rękę zacisnęła na szklanej buteleczce, na której dnie kryła się jedna mała biała tabletki. Na kocu leżało rozrzuconych jeszcze kilka takich samych pastylek.

– Pani Zuzanno! Pani Zuzanno! – Potrząsnął ją za ramię. Była całkowicie bezwładna. Na szczęście oddychała. Drżącymi rękami wystukał numer pogotowia ratunkowego.

– Piotr Kowalczyk. Proszę pana, znalazłem kobietę, chyba próba samobójstwa, jakieś tabletki. Nie, na fiolce nie ma naklejki. Oddycha, ale jest nieprzytomna. Zuzanna Gładka, ul. Chrobrego 15, mieszkania 45.

Zgodnie z zaleceniami dyspozytora ułożył Zuzannę płasko na boku z głową odchyloną lekko do tyłu. Co chwilę sprawdzał, czy kobieta jeszcze oddycha. Wydawało mu się, że wieki minęły, zanim przyjechała karetka.

Ratowników było trzech. Zbadali oddech, zmierzili Zuzannie ciśnienie, podłączyli kroplówkę, wzięli od Piotra tabletki, wy pytali, czy wie, co wzięła, ile i kiedy, jeden z nich rozejrzał się po mieszkaniu, sprawdzając, czy nie ma gdzieś butelki z alkoholem i innych leków, które kobieta mogła dodatkowo zażyć, ale nie znalazł nic podejrzanego.

Ratownicy zabrali nieprzytomną pacjentkę. Piotr znalazł jej dowód osobisty, spisał PESEL i pojechał za nimi do szpitala. Niewiele mógł powiedzieć lekarzowi – imię, nazwisko, adres, PESEL, o której godzinie ją znalazł i w jakich okolicznościach. Od lekarza dowiedział się, że trzeba czekać na wyniki badań krwi. Bez nich nie da się nic stwierdzić.

Usiadł więc na korytarzu i czekał. Całe szczęście, że jednak wszedł do tego mieszkania. Oby wszystko dobrze się skończyło. Z jednej strony życzył Zuzannie jak najlepiej, ale z drugiej był na nią nieźle wściekły. I na siebie też. Wciągnęła go w swoją grę, a on dał się zmanipulować.

– Panie doktorze, co z Zuzanną Gładką? Czy może mi pan coś powiedzieć? Są już wyniki krwi? – Piotr zaczął młodego lekarza, który wychodził z oddziału ratunkowego.

– A kim pan jest dla pacjentki?
– To ja ją znalazłem i przywiozłem do szpitala.
– Pan jest z rodziny? – Lekarz był zniecierpliwiony.
– Nie. Prowadzę firmę usługową. Miałem u niej w domu zlecenie do wykonania.
– Wobec tego nie mogę udzielić panu informacji.
– Przecież ja nie pytam o żadne szczegóły! – zdenerwował się Piotr. – Niech pan się postawi w mojej sytuacji – znajduję kobietę nieprzytomną, wiozę do szpitala, więc chyba mam prawo wiedzieć, co się z nią dzieje!
– Stan pacjentki jest stabilny i po wstępnych badaniach wygląda na to, że jej życiu nic już nie zagraża.

Po powrocie do domu Piotr nie potrafił się na niczym skoncentrować. Przed oczami miał obraz nieprzytomnej Zuzanny z ręką zaciśniętą na buteleczce i cały czas myślał, jak mogłaby się skończyć ta historia, gdyby tam nie poszedł.

Długo nie mógł zasnąć, a kiedy się obudził, jego myśli znowu zaczęły krążyć wokół wydarzeń poprzedniego dnia. Jakie miało znaczenie, że to on właśnie znalazł nieprzytomną kobietę? Czy w jakiś sposób go to z nią wiązało? Czyniło za nią odpowiedzialnym? Przypomniały mu się słowa z *Małego Księcia*: „Pozostajesz na zawsze odpowiedzialny za to, co oswoiłeś”^[4]. Wcale nie chciał oswoić Zuzanny. Pracował dla niej i tyle. Nic więcej.

Układał panele i cały czas o tym rozmyślał. Gdyby miał ze sobą Jędrka, chłopak zagadałby, zapytał o coś, opowiedział kawał (zawsze miał jakiś w zanadrzu), pośmialiby się razem i od razu byłoby inaczej. Piotr lubił z nim pracować. I lubił też z nim rozmawiać. „A jak pan był w moim wieku to... – tak zaczynał Jędrak, gdy miał jakiś problem, a dalej było różnie: czy bił się pan z chłopakami, czy miał pan dziewczynę, czy wiedział pan już, kim chce być” – miał tych pytań mnóstwo. Rozmawiali o Bogu i o dziewczynach, o piłce nożnej i o sensie życia, o tym, jak fajnie byłoby wynaleźć lekarstwo na raka i czy lepsza jest pizza na cienkim, czy na grubym cieście.

Z Jędrkiem byłoby różnie. Ale klientce, która pracowała na drugą zmianę, odpowiadały tylko godziny przedpołudniowe, kiedy chłopak był w szkole, więc Piotr musiał sam sobie radzić z ponurymi myślami. I nie bardzo mu się to udawało.

Zastanawiał się, czy po południu nie zajrzeć do szpitala. Nie, wcale nie chciał zobaczyć Zuzanny, chciał tylko usłyszeć jeszcze raz, że nic jej nie grozi, że tam w szpitalu się nią zajmą, że ktoś zauważył jej problemy i będzie wiedział, jak jej pomóc. A jeśli nie zauważyli? Może powinien porozmawiać z lekarzem? No i przecież musiał jeszcze oddać jej klucze.

Pojechał do szpitala zaraz po pracy. Lekarz dyżurny okazał się sympatycznym facetem w średnim wieku.

– Panie doktorze, ja wiem, że pan nie może mi udzielić informacji o pacjentce, skoro nie jest pan do tego upoważniony, ale dla dobra pacjentki może pan przecież mnie wysłuchać, prawda?

Lekarz spojrzał na niego z ciekawością.

– A o którą pacjentkę chodzi?

– O Zuzannę Gładką.

– Proszę mówić.

Lekarz słuchał uważnie, jak Piotr opowiadał o swojej znajomości z Zuzanną, o jej zachowaniach, wystroju mieszkania, swoich wrażeniach i wreszcie o wczorajszym dniu.

– Co pana łączy z pacjentką? – spytał, kiedy Piotr skończył.

– Nic. Oprócz tego, że wykonałem dla niej kilka prac i że znalazłem ją nieprzytomną.

Wyreżyserowała spektakl, a ja zagrałem w nim rolę, jaką mi wyznaczyła – powiedział z goryczą.

- A chce pan dalej w nim grać?
- Nie! W żadnym wypadku! – obruszył się Piotr.
- To dlaczego pan tu dzisiaj przyszedł? – Lekarz spojrział na Piotra badawczo.
- Żeby przekazać swoje spostrzeżenia i upewnić się, że ktoś się nią zajmie. Aha, i oddać jej klucze do mieszkania.
- I zrobił pan to?
- Kluczy nie miałem jak oddać. – Piotr westchnął. – Panie doktorze... trochę mi głupio, ale... czy mógłby pan je przekazać?
- Bez problemu. – Lekarz uśmiechnął się. – Jeśli naprawdę nie chce pan wchodzić w tę znajomość, proszę to tak zostawić.
- Panie doktorze... – Piotr nie zdążył dokończyć, bo lekarz mu przerwał, domyślając się, o co chce spytać.
- Obudziła się.

ROZDZIAŁ 22

– Ja... chciałam przeprosić i... podziękować – kobieta mówiła tak cicho, że Piotr ledwie ją słyszał.

– Przepraszam, a kto mówi?

– Zuzanna Gładka.

Piotr zaniemówił. Od dnia, gdy znalazł ją nieprzytomną, minął prawie miesiąc. Zuzanna nie kontaktowała się z nim od tamtej pory i miał nadzieję, że tak już pozostanie.

– Dziękuję, że pan wezwał pogotowie.

– Ależ mnie pani wrobiła! A ja głupi dałem się! Pomyślała pani, co by było, gdybym wtedy nie przyszedł?

– Przepraszam... Ja wiem... Niedawno wyszłam ze szpitala. Dostałam leki, chodzę na terapię.

– Życzę pani zdrowia. Do widzenia.

– Ale... te obrazki. Chciałabym się z panem umówić, żeby je powiesić.

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie przyjmę od pani więcej żadnych zleceń.

– Ale... ja chciałam panu osobiście podziękować.

– Podziękowała mi pani telefonicznie i to wystarczy. Proszę więcej nie dzwonić. Do widzenia.

– Ale...

Piotr rozłączył się, zanim dokończyła zdanie.

Dzwoniła jeszcze trzy razy, ale nie odbierał. Ostatecznie nie był jej narzeczonym ani terapeutą. Nie miał wobec tej kobiety żadnych zobowiązań. Zuzanna Gładka musiała poradzić sobie bez niego.

*

Jolanta Czernik umówiła się Piotrem koło poczty. Nie miał pojęcia, co tym razem wymyśliła. Podczas rozmowy telefonicznej była podekscytowana i bardzo tajemnicza. Był przed czasem, ale długo nie czekał. Jola przybiegła cała w skowronkach.

– Och, Piotrze, żebyś ty wiedział... zresztą zaraz się dowiesz. Idziemy najpierw na pocztę, a potem do kawiarni. Może znasz tu w pobliżu jakąś fajną kawiarnię?

– Akurat znam. Piwnica pod Liliowym Kapeluszem. Byłaś tam?

– Nie, ja w ogóle rzadko bywam w kawiarniach.

– Ja też rzadko, ale to miejsce ma klimat. Spodoba ci się.

– Po co tu przyszliśmy? – spytał Piotr, gdy Jola zajęła miejsce w kolejce do okienka pocztowego.

– Zobaczysz – odpowiedziała tajemniczo.

Kolejka, mimo że długa, szła szybko.

– Poniesiesz? – spytała Jola, gdy urzędniczka postawiła przed nią na ladzie dość dużą paczkę.

– Jasne. – Piotr złapał paczkę. Trochę ważyła. – A nie wybuchnie? – zażartował.

– Prędeż ja wybuchnę, a raczej pęknę. Z ciekawości. Daleko ta twoja Piwnica?

– Dwie przecznice stąd. Chcesz podjechać?

– Wolę pójść piechotą, skoro już udało się nam zaparkować samochody. Nie wiadomo, jak tam by było z miejscami do parkowania.

– Rzeczywiście może być kiepsko. Masz rację.

– Chyba że z tą paczką będzie ci ciężko.

– Spokojnie, poradzę sobie.

Jola prawie biegła. Obarczony pakunkiem Piotr z trudem dotrzymywał jej kroku.

– To tutaj.

Zeszli po schodkach do Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem. Jola podeszła do pierwszego z brzegu wolnego stolika. Była tak przejęta, że w ogóle nie zwróciła uwagi na wystrój wnętrza. Piotr postawił paczkę na krześle.

– Już się nie mogę doczekać. – Jolanta Czernik pieszczotliwie pogłaskała papier. – Ale trochę się boję. Otworzysz?

– A co tam jest?

– Otwórz.

– Czy to na pewno bezpieczne? – spytał podejrzliwie. Po Joli mógł się spodziewać różnych rzeczy.

– Bezpieczne. – Uśmiechnęła się. – Wiesz co, ale może jednak najpierw coś zamówimy, zanim zrobimy bałagan na stoliku.

– A na co masz ochotę?

– Wszystko mi jedno.

– Kawa? Ciastko?

– Ciastka nie przełknę. Tylko kawa.

– A jaka? Widzisz, ile tu rodzajów?

– Nie mam pojęcia. Sam zdecyduj. Byle szybko.

– Dzień dobry. Proszę. – Weronika podała menu. – Cieszę się, panie Piotrze, że znowu się spotykamy. Jędrak nie może się pana nachwalić. Mówi, że jakby w szkole miał takich nauczycieli, to dostawałby same piątki. A jak jeszcze trochę się nauczy, to może nam zaplecze wyremontować.

– Prawda. Mówię o tym ostatnim zdaniu. Jeszcze trochę praktyki i zaplecze może remontować. A menu nam niepotrzebne, my już właściwie jesteśmy zdecydowani, a raczej niezdecydowani, to znaczy prosimy, żeby pani zdecydowała za nas. Prosimy dwa razy dobrą kawę.

– Z mlekiem czy bez?

– Bez mleka – odpowiedzieli oboje równocześnie.

– Wiesz, z tą paczką jest jak z Bożym Narodzeniem w dzieciństwie, tak długo się czeka, a potem tak szybko jest już po wszystkim – powiedziała Jola, ale Piotr nie zdążył jej nic odpowiedzieć, bo Weronika właśnie przyniosła kawę.

– Proszę. – Postawiła przed nimi filiżanki. – To Arabica Indie Monsooned Malabar, kawa, która nabiera smaku, leżakując wystawiona na działanie letniego monsunu. Myślę, że odpowiednia na dzisiejszą okazję. – Uśmiechnęła się.

Jolanta Czernik spojrzała na nią zaskoczona.

– A pani wie, co to za okazja?

– Dostała pani paczkę, na którą długo pani czekała. Włożyła pani wiele pracy i zaangażowania, a dzisiaj odbiera pani nagrodę. Może podać nożyczki, żeby łatwiej było odpakować?

– Poproszę – wyjąkała Jolanta Czernik.

– Czarownica czy co? – spytała Piotra, kiedy Weronika poszła po nożyczki.

– Też jestem zaskoczony. Ale wygląda na to, że tylko ja jeden jestem niezorientowany, o co tu chodzi.

– Za chwilę wszystko się okaże. – Jola podniosła filiżankę do ust.

– Skąd pani to wie? – spytała, kiedy Weronika wróciła z nożyczkami.
– Czasami wyczuwam coś więcej. – Weronika uśmiechnęła się tajemniczo i odeszła, zanim pisarka zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Kiedy Piotr odpakowywał paczkę, Jola nie spuszczała wzroku z jego rąk.

– Teraz ja – powiedziała, gdy Piotr zdjął papier z pudła.

Z namaszczeniem otwierała karton. Piotr zobaczył ciemne okładki książek, a na nich czerwone litery układające się w tytuł: *Niebezpieczny trójkąt* i nazwisko autora: Jolanta Czernik.

Jola wyjęła książkę i przytuliła do piersi. Odetchnęła głęboko. Oczy jej błyszczały. Oglądała okładkę, głaskała, otworzyła książkę i przymknąwszy oczy, chłonęła zapach świeżego druku. Cieszyła się jak świeżo upieczona mama z narodzin dziecka.

Piotr nie chciał jej przerywać tego rytuału.

– Moja książka – powiedziała z dumą. – Tylko ty jeden wiedziałeś, że piszę. Musiałam ją zobaczyć, żeby uwierzyć, że się udało. Ale mój mąż się zdziwi! A znajomi! Mam nadzieję, że im się spodoba. A to dla ciebie, Piotrze, pierwszy egzemplarz z dedykacją.

„Dla Piotra z podziękowaniem za pomoc” – napisała.

– Jolu, gratuluję. Dziękuję. Jeszcze dzisiaj zacznę czytać. Ciekawe, czy rozpoznam jakieś sceny?

– Rzeczywiście ciekawe...

Piotr już wcześniej zauważył, że siedzący w kącie mężczyzna, który coś pisał na laptopie, od jakiegoś czasu przygląda się Jolancie Czernik. Teraz wstał i podszedł do ich stolika.

– Dzień dobry. Przepraszam, że państwu przeszkadzam. Chciałem pani z całego serca pogratulować. To pani pierwsza, prawda?

– Dziękuję... Ale... ale skąd pan wie? Czy tu wszyscy są jasnowidzami? Najpierw pani Weronika, teraz pan...

– Z Weroniką ma pani rację, ona widzi i czuje więcej niż inni, ale ja nie. Ja po prostu rozpoznaję u pani swoje emocje...

– Pan jest pisarzem? – Jolanta Czernik aż podskoczyła na krześle.

– Pisarzem to za dużo powiedziane. – Mężczyzna uśmiechnął się skromnie. – Jestem autorem jednej książki, teraz piszę drugą. Przepraszam, nie przedstawiłem się – Rajmund Krzysztofowicz.

Jola i Piotr przedstawili się również. Jola zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś.

– Mam! Przypomniałam sobie! Pan napisał powieść o lekarzu, prawda?

– Czytała pani? – ucieszył się Rajmund Krzysztofowicz.

– Tak! I długo o niej myślałam. Niesamowite, że pana tu spotykam! A co pan teraz pisze?

– Powieść o gościach pewnej kawiarni. Niech pani zgadnie, gdzie szukam inspiracji?

– Tutaj? Naprawdę? – Jolanta Czernik rozejrzała się po wnętrzu Piwnicy. – Bardzo sympatyczne miejsce. Właściwie dopiero teraz to widzę, bo przedtem byłam zupełnie zaaferowana paczką. Proszę, niech pan z nami usiądzie.

W czasie tej rozmowy Piotr był właściwie tylko słuchaczem, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Fajnie było patrzeć na parę zaaferowanych pasjonatów, jak z żarem w oczach rozmawiają o swoich pisarskich rytuałach, sposobach na wenę, źródłach inspiracji.

Uwagę Piotra odwrócił dźwięk dzwoneczka przy wejściu.

W drzwiach stała dziewczyna. Drobna, krucha, trochę jakby zagubiona, rozglądała się niepewnie dookoła. Kasztanowe włosy spięte w kitkę jak u dziewczynki, letnia sukienka i wielka walizka w ręce. Piotrowi zdawało się, że gdzieś już ją widział. Tylko gdzie? A może po prostu była podobna do kogoś, kogo znał? Ale do kogo? Była jednak starsza, niż mu się w pierwszej chwili wydawało, mogła mieć około trzydziestu paru lat. Postawiła walizkę i poprawiła

zsuwające się z ramienia ramiączko sukienki.

Patrząc na nią, Piotr mógł zaobserwować, jak działa magia Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem. Kobieta nie wyglądała już na zagubioną, raczej na zaciekawioną. Głęboko wciągnęła nosem powietrze, chłonąc kawowo-waniliowy aromat. Dostrzegła kolaże na ścianach, zatrzymała wzrok na liliowym kapeluszu nad barem, zdziwiła się na widok kolorowych kartonów zastępujących obrusy. Piotr podążył za jej spojrzeniem i miał wrażenie, że odkrywa to miejsce na nowo i na nowo pozwala mu się oczarować.

Nieznajoma chwyciła walizkę i ruszyła w stronę baru. Piotr podniósł się i także skierował się w tę samą stronę.

– Dzień dobry, szukam pani Weroniki.

– To ja. – Weronika uśmiechnęła się.

– Tak właśnie pomyślałam. – Nieznajoma odwzajemniła się uśmiechem. – Dora dokładnie tak panią opisywała. I to miejsce... myślałam, że trochę koloryzuje, jak to Dora, ona tak lubi barwne opowieści, ale tym razem nie musiała nic zmyślać, rzeczywiście to miejsce „coś” w sobie ma. Mam nadzieję, że Dora nie zapomniała zostawić dla mnie kluczy?

– Nie zapomniała. Proszę usiąść, a ja zaraz je przyniosę. – Weronika wskazała dziewczynie miejsce przy bufecie.

– Coś podać, panie Piotrze? – zwróciła się do Piotra, który udawał, że przygląda się słojom z herbatą.

– Tak... poproszę dziesięć deko herbaty... – rzucił okiem na pierwszą lepszą etykietkę – Żar Pustyni.

Zważyła herbatę i podała mu. Niechętnie wrócił na swoje miejsce, nie miał już pretekstu, żeby stać tam dłużej. Weronika z nieznajomą piły kawę przy barze, a Piotr próbował coś wymyślić, żeby znowu znaleźć się koło nich.

Idąc do toalety, trzeba było przejść obok bufetu. Piotr szedł jak najwolniej, przy barze upuścił otwarty portfel, z którego wysypały się drobniaki. Zanim je pozbiierał, minęło trochę czasu. Nieznajoma piła kawę. Piotr wszedł do toalety. Kiedy wrócił, kobiety już nie było.

*

Piotr pochłonął książkę Joli w jedną noc. O różne rzeczy ją podejrzewał, ale nie o to, że potrafi napisać tak dobry kryminał. Co prawda czytając, uśmiechał się przy niektórych scenach, które wcale nie były śmieszne, ale po prostu przypominał sobie, jak te sceny powstawały. Akcja trzymała w napięciu, a tytułowy niebezpieczny trójkąt okazywał się czymś zupełnie innym, niż spodziewał się czytelnik.

– Czytałeś? – spytała Jola drżącym głosem, kiedy do niej zadzwonił.

– Jolu, nie spałem dzisiaj przez ciebie całą noc. Nie mogłem się oderwać od książki.

Szczerze gratuluję.

– Dzięki. – Odetchnęła. – To chyba jesteś pierwszym czytelnikiem. Oprócz mnie. Bo ja też przeczytałam. Co prawdziwa książka to prawdziwa, a nie wydruk komputerowy. Jak sobie napisałam książkę, to i przeczytać sobie mogę, nie? Mój mąż też wczoraj zaczął, ale jeszcze nie skończył. Szkoda, że nie zrobiłam mu zdjęcia w chwili, gdy zobaczył moje nazwisko na okładce – nigdy nie widziałam go tak zaskoczonego. Do tej pory jeszcze nie doszedł do siebie. A premiera książki dopiero pojutrze, więc nikt więcej nie miał jeszcze szansy być jej czytelnikiem. Znajome sceny znalazłeś?

– Tak – zaśmiał się Piotr – tylko stalkera nie znalazłem.

– Stalkera? – zdziwiła się Jola. – Przecież tam nie było stalkera. Miałam taki pomysł w pewnym momencie, ale zrezygnowałam.

– Ale dzwoniłaś do mnie jeszcze całkiem niedawno.
– Dzwoniłam, jak książki przyszły.
– Nie chodzi mi o książki, tylko o majtki. Nie, majtki były wcześ-niej, potem jeszcze był list miłosny.
– Jakie majtki? Jaki list? – zdziwiła się.
– Miałem zdjąć majtki z drzewa i wysłać do ciebie list miłosny, żeby wzbudzić zazdrość twego męża.
– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
– A skunks? Suknia ślubna? Bażant? Wywiadówka u syna? Też nic na ten temat nie wiesz?
– Nic nie rozumiem.
– Więc to jednak nie ty? To ja już naprawdę nie wiem kto.
Opowiedział jej całą historię.
– Niesamowite! Zaintrygowaleś mnie. Może to jakiś pomysł na książkę? Jeśli dalej coś będzie się działo, koniecznie daj mi znać.

*

– Pan mąż! Mamo, patz, pan mąż! – Piotr najpierw usłyszał głos Tosi, a potem zobaczył roześmianą dziewczynkę, która ciągnęła mamę w jego stronę. Mała opaliła się i urosła. Nic dziwnego, przecież widział ją ostatnio w grudniu przed świętami, od tego czasu minęło już kilka miesięcy.

– Cześć, panie mężu – wysapała Tosia, przytulając się do ręki Piotra.
– Cześć, Tosiu! Piątka!
Z całej siły przybiła mu piątkę.
– Ale z ciebie silna dziewczynka! I jak urosłaś!
– A ty wcale nie urosłaś – skwitowała Tosia.
– Bo ja już nie rosnę.
– Ale mogeś zgrubnąć, a nie zgrubeś. Mama się martwi, że zgrubła.
– Tosiu, czy ty musisz zdradzać moje tajemnice? – Jagoda próbowała zrobić surową minę, ale jej oczy się śmiały. – Cześć, Piotrze!
– Cześć, Jagodo! Jakie jesteście wiosenne i opalone. I ja tam wcale nie widzę, żebyś zgrubła.
– Bo najpierw zgrubłam, a potem schudłam, ale tego już Tosia nie powiedziała. – Jagoda zaśmiała się. – Czekasz na autobus?
– Tak. Zostawiłem samochód u mechanika.
– A my wybrałyśmy się na spacer do parku, a teraz szukamy lodów.
– Mamo, tu są lody! Ja chcę takie! – Tosia wskazywała na budkę z lodami włoskimi, przed którą ustawiła się kilkuosobowa kolejka.
– Chcesz sama kupić?
– No pewnie!
– Stań w kolejce, a jak będzie twoja kolej, to poproś panią o dwa lody i daj pieniądze i wtedy ja przyjdę. Piotrze, a może ty też chcesz?
– Nie, dziękuję, z lodami do autobusu nie wsiądę.
– Co u ciebie, Jagodo? – spytał Piotr, kiedy Tosia posłusznie stanęła w kolejce.
– Zaryzykowałam. Od miesiąca Tomek znowu z nami mieszka. Tosia i Ada są przeszczęśliwe.
– A ty? – Piotr patrzył na nią uważnie.

– Ja? – Westchnęła. – Ja uczyć się cieszyć tym, co jest i nie martwić na zapas. To nie takie proste. – Znowu westchnęła. – Nie ma euforii, tylko ostrożność – jak przynosi kwiaty, to miło, lecz gdzieś pod skórą rodzi się wątpliwość, czy coś się za tym nie kryje. Ale ogólnie jest dobrze. Nie żałuję tej decyzji. A co u ciebie?

– Jestem już po rozwodzie, a wczoraj miałem sprawę o zaprzeczenie ojcostwa. Wyobraź sobie, że musiałem udowodnić, że nie jestem ojcem dziecka mojej byłej żony i jej partnera! Takie prawo! Ale to na szczęście już też za mną. Zlecenia są, mam co robić, niedługo lato, jest OK.

– Mamo, lody! – zawołała Tosia, dochodząc do okienka.

Lody wyglądały smakowicie. Patrząc na nie, Piotr żałował, że nie dał się skusić, co prawda autobus miał za dwie minuty, ale to przecież nie ostatni autobus tego dnia. Niestety kolejka wcale nie zmaląła, więc Piotr zrezygnował z lodów.

– Mamo, co to jest dziwka? – spytała nagle Tosia.

Jagoda zakrztusiła się lodami.

– Mamo, co to jest dziwka, no powiedz!

Piotr był bardzo ciekaw odpowiedzi Jagody i miał nadzieję, że zdąży ją usłyszeć, zanim wsiądzie do autobusu, który właśnie nadjechał.

– To jest kobieta lekkich obyczajów – odpowiedziała Jagoda.

– To mój autobus, cześć, dziewczyny!

– Cześć, panie mężu! – Tosia pomachała ręką Piotrowi.

– Mamo, a ty jesteś dziwką? – Usłyszał jeszcze Piotr, wsiadając do autobusu.

– Tosia, co ty mówisz! – oburzyła się Jagoda.

– No, bo ty chyba nie masz ciężkich obyczajów, prawda?

Niestety, w tym momencie drzwi autobusu zamknęły się i Piotr nie zdążył się dowiedzieć, jak Jagoda wybrnęła z tej sytuacji.

– Dzień dobry, chciałabym wynająć pana do czytania.

– Do czytania? – zdziwił się Piotr. – Proszę powiedzieć dokładniej, na czym miałyby polegać moje zadanie.

– Chodzi o to, żeby pan przeczytał mojemu mężowi książkę o wychowaniu dzieci.

– Miałbym czytać głośno pani mężowi książkę?

– Tak. Bo on już od dwóch lat obiecuje, że ją przeczyta i jeszcze tego nie zrobił. A nasze dzieci na tym cierpią, że ojciec taki niewydukowany wychowawczo. Kilka dni temu, jak zrobiłam mu awanturę, to się wreszcie zabrał do tej książki, ale po dziesięciu minutach zasnął. I następnego dnia było tak samo. A on zamiast się zmobilizować, to się cieszył, że nareszcie znalazł dobry środek nasenny, bo ostatnio miał kłopoty ze spaniem. A jak wczoraj sama próbowałam mu czytać, to zaczął mnie rozpraszać... no i sam pan rozumie, że w takiej sytuacji czytać się nie da. I dlatego dzwonię do pana. Tylko mam jedno zastrzeżenie – gdyby czasami mój mąż zaproponował panu, żeby pan sam przeczytał tę książkę i potem mu streścił, to niech pan absolutnie się na to nie zgadza, dobrze?

Kobieta mówiła tak szybko, że Piotr nie miał czasu przemyśleć jej propozycji.

– Proszę pani... chwileczkę.

– Książka ma około dwustu stron, ale sporo jest wstawek komiksowych i takich hasłowych podsumowań w ramkach, więc dość szybko się czyta. Nie wiem, czy woli pan to zlecenie zrealizować za jednym razem i czytać kilka godzin od razu, czy rozłożyć na dwugodzinne sesje? Aha, i jeszcze jedno, gdyby czasami mój mąż zasypiał w czasie czytania, to pana obowiązkiem jest go budzić. To kiedy możemy zacząć?

Piotr właściwie nie miał nic przeciw głośnemu czytaniu, ale przypomniał sobie sytuację z Heniem. Nie, drugi raz już nie da się wkręcić w rozgrywki małżeńskie.

– Proszę pani, jeśli pani mąż zechce mnie wynająć do czytania, to niech zadzwoni do mnie osobiście i wtedy się umówimy.

– On sam nie zadzwoni, ale jak go umówię, to nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Nie przyjmuję zleceń przez pośredników – powiedział stanowczo Piotr.

– Ile to było ostatnio? Cztery-trzy dla pana? To teraz będzie pięć-trzy. Wygrywa pan.

ROZDZIAŁ 23

Ostatnim razem na osiedlu Piastowskim Piotr był tego dnia, kiedy wzywał pogotowie do Zuzanny, potem już tam nie zaglądał. I wcale go na Piastowskie nie ciągnęło. Ale dzisiaj montował meble na ulicy Mieszka I, więc przy okazji zabrał ze sobą ogłoszenia. Nie wiedział, czy wandal nadal działa. Co prawda nie znalazł żadnej swojej ulotki, ale przecież trudno oczekiwać, żeby wisiały trzy miesiące. Ich miejsce zajmowały teraz ogłoszenia różnej treści. Piotr szybko rozwieszał swoje, mając nadzieję, że nie natknie się na Zuzannę Gładką. Żeby nie kusić licha, ominął tablicę ogłoszeniową w pobliżu jej domu.

Montaż mebli zajął mu mniej więcej trzy godziny. Wracając do samochodu, rzucił okiem na jedną z tablic ogłoszeniowych. Jego ulotka znikła. Mimo że miejsca na tablicy nie brakowało, informacja o zajęciach wakacyjnych w świetlicy środowiskowej wisiała dokładnie na miejscu ogłoszenia męża zastępczego. Piotr miał jeszcze kilka ulotek. Powiesił jedną tuż obok tej ze świetlicy. Postanowił sprawdzić sąsiednie tablice. Kolejne dwie wandal zdążył odwiedzić przed Piotrem. Ale na następnej ulotka jeszcze wisiała. Piotr usiadł na ławce w pewnej odległości od tablicy i rozglądał się uważnie, lecz żadnego potencjalnego wandala w pobliżu nie widział. Dziewczynka z psem, kobieta z maluchem w wózku i z drugim uczepionym jej ręki, mężczyzna z teczką, starsza pani, która właśnie wychodziła ze sklepu – nikt z nich nie wyglądał na osobnika czającego się na ulotki.

Nagle starsza pani potknęła się o wystającą płytkę chodnikową. Piotr poderwał się z ławki.

– Moja ręka – wyjęczała kobieta, próbując podnieść się z ziemi.

– Pomogę pani. Spokojnie. – Piotr pomógł staruszce wstać i usiąść na ławce. Podniósł z ziemi torebkę. Kobieta wzięła ją lewą ręką. Prawą dłoń miała nienaturalnie opuszczoną.

– Bardzo... panu... dziękuję – powiedziała drżącym głosem. – Ręka... Nie mogę ruszać dłonią.

– Nie wygląda to dobrze – wyjaśnił Piotr, widząc, że ręka zaczyna puchnąć. – Może być złamana. Bez lekarza się nie obejdzie.

Kobieta spojrzała na zegarek.

– Ojej, już siódma! A gdzie ja teraz lekarza znajdę? Trzeba by do szpitala jechać. – Westchnęła. – A może ja do jutra z tą ręką poczekam? Okład zrobię, jakieś leki przeciwbólowe w domu mam.

– Ja na pani miejscu nie czekałbym – odezwał się Piotr. – Puchnie coraz bardziej.

Starsza pani spróbowała poruszyć dłonią i skrzywiła się z bólu.

– Chyba ma pan rację. Pójdę na autobus. – Podparła się zdrową ręką i próbowała wstać. Syknęła z bólu i usiadła z powrotem. – Ojej, plecy też... Chyba wezmę taksówkę.

– Podwożę panią – zaproponował Piotr. – Tylko muszę iść po samochód. To niedaleko. Za pięć minut będę. Poczekaj pani na mnie na ławce?

– Nie chcę pana fatygować...

– To żaden problem. Naprawdę.

– Dziękuję – uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Przypominała Piotrowi jego babcię. Ale nie taką, jaką pamiętał z dzieciństwa – babcię, która potrafiła przepędzić nocne koszmary i piekła najlepsze placki z jabłkami na świecie, która dopingowała go: „no dalej, Piotruś, zobaczysz, że ci się uda”, gdy pierwszy raz wdrapywał się na drzewo, gdy uczył się jeździć na rowerze i gdy bał się zjechać na sankach z dużej górki.

Przypominała mu babcię z tych późniejszych lat, kiedy chorowała i tak trudno było jej pogodzić

się ze swoją nieporadnością. Ona, która miała radę na wszystko, którą wołano do chorych w nagłych przypadkach, zanim wezwano lekarza, ona, która przepędzała ze snów małego Piotrusia nocne potwory, teraz musiała korzystać z pomocy wnuka, żeby pójść do łazienki i musiała pozwolić, by patrzył na jej słabość. To chyba było dla niej większym cierpieniem niż ból fizyczny, który znosiła, zaciskając zęby i tylko, kiedy myślała, że nikt jej nie słyszy, pozwalała sobie czasem na jakieś stęknienie.

Ta kobieta też wyglądała na zawstydzoną swoją nagłą nieporadnością.

– A może ja jednak taksówkę wezmę? – zaproponowała, gdy Piotr podjechał samochodem. – Nie chcę panu robić kłopotu. Pan ma przecież swoje sprawy...

– Spokojnie, zawiozę panią.

Widok szpitala wzbudził niemiłe wspomnienia. Na szczęście Zuzanna nie odzywała się więcej.

– Dziękuję panu bardzo. Już teraz sobie poradzę. – Przez twarz staruszki przebiegł grymas bólu.

– Zaprowadzę panią. – Piotr pomógł jej wysiąść z samochodu. – Pewnie to trochę potrwa, najpierw lekarz, potem rentgen, potem znowu lekarz. Czy ktoś może po panią przyjechać?

– Proszę się nie przejmować. Wrócę taksówką.

– Poczekam i odwiozę panią do domu.

– Ale ja nie mogę tak pana wykorzystywać. – Kobieta miała łzy w oczach. – Przecież pan mnie nawet nie zna.

– Babcia nigdy by mi nie darowała, gdybym zostawił kobietę w takiej sytuacji. – Piotr uśmiechnął się.

Staruszka odpowiedziała uśmiechem.

– A w jakim wieku jest pana babcia?

– Moja babcia nie żyje od kilkunastu lat. Ale na pewno śniłaby mi się po nocach. Nie straszylaby mnie, wystarczy, żeby spojrzała na mnie zza okularów i powiedziała: „Nie tak cię wnuczku uczyłam, nie tak”.

– Chciałabym, żeby mój wnuk w podobnej sytuacji zachował się tak jak pan. – Kobieta westchnęła.

W portierni Piotr dowiedział się, że chirurg przyjmuje na pierwszym piętrze. Usiedli w poczekalni. Pielęgniarka poprosiła o dowód osobisty, żeby spisać dane pacjentki. Staruszka sięgnęła po torebkę.

– Może mi pan pomóc otworzyć? – poprosiła.

Piotr rozpiął zamek i rozchylił torebkę.

– Proszę potrzymać. – Kobieta podała mu plik kartek w przezroczystej koszulce. Zajęta szukaniem dowodu nie zwróciła uwagi na zaskoczoną minę Piotra. Podała dowód pielęgniarce, odebrała od Piotra kartki i weszła do gabinetu. Wyszła stamtąd zaraz ze skierowaniem na zdjęcie rentgenowskie. Na szczęście nie było kolejki, więc po niedługim czasie miała już za sobą i zdjęcie, i powtórny wizytę w gabinecie lekarskim.

– Pierwszy raz w życiu mam złamaną rękę. Sześć tygodni kazali mi ten gips nosić – powiedziała Piotrowi. – Bardzo jest mokry i nieprzyjemny.

– Jak wyschnie, będzie dobrze. Przyzwyczaj się pani. Ja miałem szynę na palcu jako dzieciak. To było w lecie, upały straszne, więc nie było mowy, żeby mnie na brzegu utrzymać. Kiedy kąpałem się w jeziorze z tą szyną, rękę trzymałem nad wodą, żeby nie zamoczyć i dzięki temu mama zawsze widziała, gdzie jestem.

– Bardzo, bardzo panu dziękuję – rzekła starsza pani, gdy Piotr zatrzymał się przed jej domem. – A to za benzynę – dodała, próbując wcisnąć mu pieniądze, ale ich nie przyjął.

– Nie, proszę pani, ja tego dla pieniędzy nie robiłem – stwierdził stanowczo. – Ale gdyby pani chciała mi trochę pomóc, to proszę przy okazji rozdać moje ulotki reklamowe znajomym.

– Ależ oczywiście. A czym się pan zajmuje? – spytała, biorąc od Piotra ulotki. Rzuciła okiem na treść i zarumieniła się gwałtownie.

– To pan?! – Patrzyła na Piotra z niedowierzaniem. – Pan jest tym mężem zastępczym?!

– To pani? – odpowiedział pytaniem Piotr. – Pani zrywała moje ulotki?

– Tak. A skąd pan wie? – spytała podejrzliwie.

– Prosiła mnie pani o potrzymanie ulotek świetlicy środowiskowej, które wisiały zamiast moich. Podejrzywałem młodocianych wandalów. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że winowajczynią może być kulturalna starsza pani. Dlaczego się pani uwzięła na moje ogłoszenia?

– Nie chciałam dopuścić do szerzenia się bezceństwa – odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

– Gdzie pani widzi tu bezceństwo? – Piotr wskazał na ulotkę.

– O, tu. – Wskazała „zlecenia nietypowe”.

– Proszę pani, jako mąż zastępczy działałam już prawie rok i ani razu nie zrobiłem niczego, czego mógłbym się wstydzić przed moją babcią albo przed kimkolwiek innym. I to nie dlatego, że nie miałem takich propozycji. A w ramach zleceń nietypowych na przykład łapałem nietoperza, który wpadł pewnej pani do mieszkania, a innej pani pomagałem kupić wiertarkę na prezent dla męża. Chyba nie ma w tym nic nagannego, prawda?

Starsza pani spuściła wzrok.

– Przepraszam. No cóż, człowiek się uczy do śmierci. Pan mieszka na naszym osiedlu?

– Nie.

– Wobec tego proszę mi przywieźć więcej tych ulotek. Znajomym oczywiście rozdaję, ale jak mi ręka wyzdrowieje, to będę je na bieżąco rozwieszając w okolicy.

*

– O, cześć! Fajnie cię słyszeć. A z którego lochu dzisiaj dzwonicz?

– Wyobraź sobie, że z żadnego.

– Czyżbyś planowała kolejnego niezwykłego sylwestra? – dociekał Piotr. – Jeszcze masz kilka miesięcy.

– Na razie nie planuję. – Aldona Ptaszyńska zaśmiała się.

– No to może chcesz mnie zaprosić na wernisaż? – zgadywał Piotr.

– Jeszcze nie teraz, ale w przyszłości, kto wie...

– No to świetnie! Będę czekał na zaproszenie.

– Oczywiście, że cię zaproszę. A dzisiaj proza życia mnie do ciebie, Piotrze, sprowadza. Mówiąc kolokwialnie, kibel mi się zapchał.

– Nie ma sprawy. Zapchany kibel mi niestraszny. Mogę być za chwilę, jeśli ci pasuje.

– Świetnie. Wobec tego czekam.

Aldona ucieszyła się na widok Piotra. Opalona, uśmiechnięta, pełna wewnętrznej energii wcale nie przypominała zmarzniętej kobiety z zamkowej piwniczki.

– Czy nasza wspólna noc daje mi prawo do przywitania się w sposób mniej oficjalny? – spytała.

– Oczywiście. – Piotr zaśmiał się, przytulając ją i całując w policzki. – Rysujesz?

– Popatrz. – Uchyliła drzwi pokoju.

Piotr dostrzegł sztalugi, pojemniki z pędzlami, ołówkami i kredkami, szkice na stole, gotowe rysunki i obrazy na ścianach. Wszystkie były utrzymane w tym samym niezwykłym baśniowym klimacie.

– To znaczy, że dotrzymałaś noworocznego postanowienia. Jestem z ciebie dumny. Będę mógł później obejrzeć twoje obrazy?

– No jasne. Jeśli tylko masz ochotę.

– Ale najpierw obowiązek, potem przyjemność. Prowadź do tego zapchanego kibla.

Piotr szybko uporał się z robotą. Aldona zrobiła kawę i wyjęła czekoladowe ciasteczka.

– Wyjeżdżasz? – Piotr spojrzął na częściowo spakowaną walizkę stojącą w kącie pokoju.

– Tak, pojutrze. Na plener malarski. Nie znam tam nikogo, ale co mi tam. Podobno większość to amatorzy, ale kilku profesjonalistów też jedzie – opowiadała Aldona z przejęciem. – I jeszcze ci się pochwalę, że robię ilustracje do felietonów w takiej lokalnej gazetce. Moja koleżanka pisze tam teksty i poleciła mnie. Tak obiektywnie to właściwie nic wielkiego, ale dla mnie to ważne.

– Wyszłaś z rysunkami do ludzi? Świetnie!

– Wiesz, w tamtym roku też miałam urlop w tym samym czasie. Kilka dni spędziłam u mamy, resztę w domu. Budziłam się około południa, a potem godzinami leżałam w łóżku, użalając się nad swoim beznadziejnym życiem. Żałowałam, że w ogóle brałam ten urlop. A teraz... teraz jest zupełnie inaczej. Już nie mogę się doczekać wyjazdu.

Podsunęła Piotrowi talerzyk z ciasteczkami.

– A co ja robiłem rok temu? – zastanowił się Piotr. – Ale numer! Czas zatoczył koło. Wyobraź sobie, że rok temu robiłem dokładnie to samo, co teraz.

– To znaczy?

– Przepychałem toaletę u mojej sąsiadki. Byłem wtedy kompletnie załamany. Ciągle nie mogłem przeboleć odejścia Karoliny, rzuciłem czwartą pracę w ciągu trzech miesięcy, a moje poczucie własnej wartości osiągnęło dno. I wtedy właśnie usłyszałem w radiu o firmach oferujących takie usługi jak ja teraz. To było dla mnie niczym objawienie. Przestałem użalać się nad sobą i następnego dnia rozpocząłem działalność. Odbiłem się od dna. Aż trudno uwierzyć, że to już rok...

*

– Wiktoria Terlicka – przedstawiła się dziewczyna, obrzucając Piotra zaciekawionym spojrzeniem. – Proszę wejść.

Zza drzwi w głębi korytarza wyjrzały kolejne dwie dziewczyny.

– Dzień dobry – rzuciły i schowały się z powrotem w pokoju. Drzwi zostały jednak uchylone.

– Ta szuflada jakoś źle się otwiera. – Wiktoria wskazała kuchenną szufladę na samym dole w szafce pod oknem.

– Dobrze, zaraz się nią zajmę – powiedział Piotr. – I co jeszcze jest do naprawy?

– Szczerze mówiąc – nic. Facet, od którego wynajmujemy mieszkanie, dba, żeby wszystko było w porządku i niestety nic innego nie mogłam znaleźć.

– Ale w rozmowie wspominała pani o kilku rzeczach.

– Myślałam, że coś jeszcze wykombinuję. A dla jednej szuflady to pewnie pan nie chciałby przyjść?

– Nie ma problemu, ale uprzedzałem panią, że minimum to zapłata za czterdzieści pięć minut.

– Wie pan, właściwie ta szuflada to pretekst, my jej nigdy nie używamy, ale gdybym zaprosiła pana na szampana i tort, to odmówiłby pan, prawda?

– Pewnie odmówiłbym.

– Widzicie, dziewczyny, miałam rację.

Piotr odwrócił się i zobaczył, że dziewczyny stoją na korytarzu, tuż za jego plecami. Poczul się odrobinę nieswojo.

– Obawiałam się, że mógłby się pan wykręcić nawet, gdybym wyjaśniła, z jakiej okazji ten tort, więc wołałam działać z zaskoczenia – kontynuowała Wiktoria. – Bardzo chciałam pana poznać osobiście i wyjaśnić panu całą sytuację.

– Ja też chciałam pana poznać. – Wysoka krótko ścięta blondynka uśmiechnęła się. – Anka. – Wyciągnęła do Piotra rękę.

– I ja – dodała niewysoka czarnulka – Kinga.

– Nie rozumiem, o co paniom chodzi.

Wszystkie trzy uśmiechały się tajemniczo.

Piotr nie miał pojęcia, co tu się dzieje. Czego chciały od niego te trzy całkiem sympatyczne dziewczyny, które zwabiły go tu podstępem? A może to jakaś pomyłka? Może zamierzały zwabić kogoś innego, a on znalazł się tutaj tylko przez przypadek?

– Bo widzi pan, Wiktoria dostała się do szkoły teatralnej – oznajmiła Kinga.

– I musimy to uczcić – dodała Anka. – Rozumie pan?

– Nie za bardzo – przyznał się Piotr. – Oczywiście gratuluję, pani Wiktorio, ale nadal nie rozumiem, czego panie ode mnie oczekują.

– Że wypije pan z nami szampana z tej okazji i zje tort. A tort jest naprawdę pyszny, moja mama piekła – oznajmiła Wiktoria.

– A dlaczego akurat ja mam paniom towarzyszyć w tej uroczystości?

– Bo ma pan swój udział w sukcesie naszej koleżanki – odpowiedziała Kinga.

– Ja?! – zdziwił się Piotr. – To jakieś nieporozumienie. Nie mam nic wspólnego ze szkołą teatralną!

– Ze szkołą teatralną nie. Ale pomógł mi pan w przygotowaniu do egzaminów – oznajmiła Wiktoria.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Wobec tego kolejny punkt dla mnie! – wykrzyknęła triumfalnie Wiktoria. – To ile teraz mamy? Pięć-cztery dla pana! Wygrał pan! Ale i ja wygrałam. Dostałam się do szkoły teatralnej.

– To pani?! – spytał z niedowierzaniem Piotr. – Te wszystkie telefony – skunks, suknia ślubna, bażant, pozowanie do aktu, wywiadówka, czytanie książki mężowi, majtki na drzewie, list miłosny od kochanka – to pani?

– Mam nadzieję, że pan się na mnie nie gniewa. – Wiktoria wyglądała na autentycznie skruszoną. – Bo widzi pan, to wszystko zaczęło się tak...

– Wika, ty tu pana i nas o suchym pysku nie trzymaj, usiądźmy przy stole jak ludzie i wtedy możesz opowiadać – zaproponowała Kinga.

– Masz rację. Zapraszam do stołu.

– A szuflada? – spytał przekornie Piotr.

– Szuflada nie zając, nie ucieknie.

Przeszli do pokoju, gdzie na środku stołu przykrytego kolorowym obrusem stał czekoladowo-śmietankowy tort z napisem: „Gratulacje!”, a obok butelka szampana i nakrycia dla czterech osób.

– Naprawdę ma pan uczulenie na alkohol czy to tylko taki bajer? – spytała Anka, gdy Piotr odmówił szampana.

– Naprawdę.

– W życiu nie słyszałam o uczuleniu na alkohol – zdziwiła się Wiktoria, nalewając mu colę.

– No to chociaż tym jednym panie zaskoczyłem. – Piotr zaśmiał się. – Pani Wiktorio,

czekam na opowieść.

– W tamtym roku złożyłam papiery na polonistykę i dostałam się na studia – zaczęła Wiktoria. – Wszystkie trzy się dostałyśmy. Opijałyśmy nasz sukces, rozmawiając o marzeniach i wyobrażałyśmy sobie, co będziemy robić za pięć lat. I wtedy wymknęło mi się, że ja wcale nie cieszę się z tej polonistyki, bo tak naprawdę to chciałabym zostać aktorką, ale na pewno nie miałabym żadnych szans. One powiedziały, że zrobią mi egzamin wewnętrzny i zobaczymy. Zaczęłyśmy się wygłupiać, improwizować, wymyślać różne scenki i całkiem nieźle się bawiłyśmy.

– Bawiłyśmy się świetnie – wtrąciła Kinga – a Wika była w tych improwizacjach bezkonkurencyjna.

– No, a potem otworzyłyśmy drugie wino – dodała Anka – i zaczęłyśmy namawiać Wiktorię, żeby w przyszłym roku startowała do szkoły teatralnej, bo wtedy było już niestety za późno. A ona tłumaczyła się, że jest nieśmiała, że ma tremę i jak stanie przed komisją, to zeszywnieje i języka w gębie zapomni, że ona się do tego nie nadaje i dopóki nie spróbuje, to przynajmniej może mieć złudzenia, że ma jakieś zdolności aktorskie, a jak obleje egzamin, to się przekona, że naprawdę jest do niczego, więc już woli się nie przekonywać. Jak jej mówiłam, że całe życie będzie żałować, jeśli nie spróbuje, to najpierw wcale nie chciała mnie słuchać. Ale im mniej było wina w butelce, tym Wika stawała się skłonniejsza do zmiany zdania.

– Postanowiłam spróbować – odezwała się Wiktoria. – Ale nie mogłam iść na egzamin bez przygotowania. Jakieś tam doświadczenie miałam – od podstawówki występowałam w teatrze amatorskim, lecz to było za mało. Zapisalam się więc na warsztaty teatralne. Ale najbardziej bałam się tego, że kiedy stanę przed komisją, nie będę umiała się swobodnie zachować i trema mnie zje, że mnie czymś zaskoczą i nie będę umiała improwizować. Wtedy Anka wymyśliła te telefony. Żebym ćwiczyła przełamywanie tremy, dzwoniąc do obcych ludzi i proponując im różne rzeczy.

– To ja trafiłam na pana ogłoszenie w internecie – powiedziała Kinga – spodobały się nam te zlecenia nietypowe.

– A ja sobie pomyślałam, że większym wyzwaniem aktorskim byłoby zadzwonić kilka razy do tej samej osoby, bo za każdym musiałabym wykombinować coś innego i nie dać się rozpoznać. Co było dalej, to już pan wie.

– To sobie pani wymyśliła! A ja podejrzewałam pewną Bogu ducha winną autorkę kryminałów, że wykorzystuje mnie do jakiegoś eksperymentu, żeby to potem opisać.

– Wybacz mi pan?

– Ale tylko pod jednym warunkiem... – Piotr zrobił surową minę.

– Tak?

– Że teraz pani zrobi coś dla mnie.

– A co takiego? – spytała niepewnie Wiktoria.

– Ukroi mi pani jeszcze jeden kawałek tego wspaniałego tortu.

*

Lipiec był piękny; słoneczne dni i noce tak ciepłe, że aż nie chciało się wracać pod dach. Kiedy Marek zajechał do Piotra po drodze do domu, postanowili wypożyczyć na kilka dni zagłówkę. Piotr godzinami mógł siedzieć przy sterze, wpatrując się w przestrzeń i współpracując z wiatrem. Nie musiał nic mówić. Marek też niewiele się odzywał. Nocami zapach ogniska wplątywał się w ubranie, dniami rozwiewał go wiatr.

Tyle się wydarzyło w ciągu tego ostatniego roku.

Rozwód... przecież to nie stało się wczoraj, powinien już przywyknąć do nowej sytuacji,

a jednak myśl o tym wciąż kłuła jak drzazga. Czy kiedykolwiek uda mu się od niej uwolnić, czy już na zawsze pozostanie pod skórą? I jeszcze ta głupia sprawa o zaprzeczenie ojcostwa. Dwie sprawy sądowe w odstępie dwóch miesięcy. Ale na szczęście miał to już za sobą.

Praca... Kiedy o niej myślał, widział przed sobą drzwi. Dziesiątki drzwi. Różnych. Starych i nowych. Prosty i ozdobnych. Drewnianych, metalowych, plastikowych. Były wśród nich drzwi gościnnie otwarte na oścież i ostrożnie odrobinę uchylone. Drzwi antywłamaniowe i beztroskie drzwi, które można wyważyć jednym pchnięciem. Drzwi, z których odpryskiwały kolejne warstwy farby, a korniki wydrążyły w nich długie korytarze, i takie, które nie zdążyły nawet jeszcze się pobrudzić. Drzwi w blokach rozpaczliwie siłące się na odrobinę indywidualności i drzwi w zabytkowych kamienicach, które na nic nie musiały się silić. Dziesiątki drzwi. A za każdymi drzwiami inny świat, inna ludzka historia... Drzwi otwierały się, żeby wpuścić Piotra, a potem zamykały za nim, gdy wychodził. Ludzkie historie na moment, a czasami na dłużej splatały się z jego historią. Dobrze było wiedzieć, że Aldona wróciła do rysowania, Jagoda zaryzykowała, pani Józefina tryska energią, Jola wydała książkę, Wiktoria dostała się na wymarzone studia, Henryk z Klaudią przeżywają drugi miodowy miesiąc, dobrze było wiedzieć, że zostawiło się drobny ślad w czyimś życiu.

*

Dzwonek do drzwi zaskoczył Piotra. Od kiedy Karolina odeszła, rzadko go ktoś odwiedzał. Listonosz, kurier, czasami pani Augustyna (zanim jeszcze zaczęła jadać u niej obiady) i właściwie nikt więcej. Na listonosza za późno, paczki się nie spodziewał, a pani Augustyna tego samego dnia, kiedy Piotr wrócił z urlopu, wyjechała do siostry, zostawiając mu pod opieką swoje kwiatki.

Otworzył drzwi.

– Co pani tu robi? – zapytał zaskoczony jej widokiem.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Zmieszła się. – Niedawno się tu wprowadziłam.

Mieszkam na parterze. Pani Augustyna mówiła, że pan ma firmę usługową i mógłby mi pan zamocować szafki w kuchni.

– To ja przepraszam. Byłem zaskoczony i tak głupio mi wyrwało, bo ja już panią kiedyś widziałem w Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem. A w ogóle to mi się wydaje, że widziałem panią już wcześniej, tylko nie mam pojęcia gdzie.

– Tak, w Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem! Pamiętam pana!

– I z tą walizką jechała pani wtedy tutaj?

– Tutaj. Do Piwnicy przyjechałam po klucze. Wynajmuję mieszkanie od Dory – ciotki Weroniki.

– Niesamowite. Gdybym wiedział, tobym panią podwiózł.

– A gdyby mnie pan podwiózł, tobym nie zmokła. Wtedy była taka straszna burza.

Wysiadłam z autobusu i myślałam, że to bliźniutko koło przystanku, a okazało się, że poszłam w złą stronę. Przemokłam do suchej nitki.

– Pamiętam tę burzę. Zdążyłem dobiec do samochodu, gdy leciały pierwsze krople, ale potem po drodze musiałem się zatrzymać, bo przez strugi wody na szybach niewiele było widać. Pewnie, że pani zrobię te szafki. A teraz zapraszam na sąsiedzką kawę albo herbatę. – Otworzył szeroko drzwi.

Kobieta rozejrzała się po przedpokoju.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się – Piotr Kowalczyk.

– To ja powinnam pierwsza, przysłałam przecież do pana – Jasmin Nowak. – Podała mu rękę.

– Jasmin? – Nie puszczał jej ręki. – Czy ty... czy pani... Nowak, nie Borowska?
Kobieta drgnęła.
– Skąd pan wie? – spytała nieufnie.
– Byłaś kiedyś na wakacjach u dziadka. – Piotrowi łamał się głos. – Pamiętasz, jak spadł ci łańcuch z roweru?
– Piotrek? Piotrek, to ty? – W jej głosie niedowierzanie mieszało się z radością.
– Tak...
– Trochę się zmieniłeś.
– Trochę... Czekałem na ciebie cały rok. Twój dziadek mówił, że przyjedziesz pod koniec wakacji.
– Ale nie chciałeś mojego adresu.
– Bo się wstydziłem, że robię błędy. Jak miałem pisać listy do dziewczyny z błędami?
– Naprawdę? – zdziwiła się. – Tylko dlatego nie chciałeś?
Piotr zrobił minę zbitego psa. Jasmin zaczęła się śmiać. Po chwili śmiali się już razem. To był dobry śmiech. Oczyszczający. Łamiący lody.
– To jak, kawę czy herbatę? – spytał, gdy wreszcie przestali się śmiać.
– Herbatę.
– Wtedy w Piwnicy pod Liliowym Kapeluszem kupiłem... zaraz, gdzie ja ją mam? Jeszcze nawet nie próbowałem – Piotr przesunął na półce puszkę i słóiczki z przyprawami. – No, gdzieś tu przecież była...
– A to nie ta czasami? – Jasmin wskazała liliową torebkę, którą Piotr zdążył już kilka razy przesunąć z miejsca na miejsce.
– Tak! Zar Pustyni, pamiętałem, że jakoś dziwnie się nazywa. Ale skąd wiedziałaś, że to właśnie ta?
– Widziałam u Weroniki takie torebki.
– Kobiety to zwracają uwagę na takie szczegóły, że się w głowie nie mieści. – Spojrzał na jej ręce, szukając obrączki. Zauważył tylko srebrny pierścionek. – Jesteś mężatką?
– Już nie. – Westchnęła. – Ale to smutna historia. A ty jesteś żonaty?
– Już nie. Ale to też smutna historia. Możesz wziąć cukier? – spytał, żeby zmienić temat.
– Bo już mi się na tacy nie zmieści.
– Jasne. – Sięgnęła po cukierniczkę. – Łyzeczki też?
– Zupełnie zapomniałem o łyżeczkach. Są tutaj. – Piotr otworzył szufladę ze sztućcami.
Nie mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Jasmin w jego domu. Wie, gdzie leży herbata. Pamięta o łyżeczkach. Jej szczupłe palce obejmują żółtą cukierniczkę. Pokrywka cukierniczki kołysze się, to dlatego, że nie ma wgłębienia na łyżeczkę. Biodra Jasmin też się kołyszą. Włosy ma spięte w kitkę jak ostatnio, ale kilka krótszych kosmyków wymknęło się spod spinki i sięga wycięcia sukienki na plecach.
Jasmin zatrzymuje się w progu pokoju. Stawia cukierniczkę na stole. A potem... Piotrowi wydaje się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie... Jasmin podchodzi do ściany... wyciąga rękę...
– To ta sama? – pyta szeptem, dotykając maski.
– Ta sama...
Palce Jasmin błędzą po twarzy wojownika...

[1] T. Dołęga-Mostowicz, *Świat pani Malinowskiej*.

[2] Jan Kochanowski, *Tren VIII*.

[3] Bolesław Leśmian, *Dziewczyna*.

[4] Przeł. J. Szwykowski.

